

Daniela Krien

Kiedyś wszystko sobie
opowiemy

Dla Christiana, Clary i Rosy

A miłość jest początkiem świata i świata władczynią, choć
wszystkie jej drogi pełne są kwiatów i krwi, kwiatów i krwi.
Knut Hamsun, z opowiadania Wiktorja

Rozdział 1

Jest lato, gorące, wspaniałe lato. Zagroda ma kształt trójkąta. Pośrodku stoi dwukondygnacyjny dom z wysokim poddaszem; z lewej strony przylega do niego stodoła. Duża drewniana frontowa brama prowadzi do środka, a z tyłu druga wiedzie na zewnątrz. Kilka metrów dalej znajduje się szeroki, płaski drewniany budynek - to tartak. Łąki i pastwiska ciągną się aż do rzeki; kawałek dalej, niedaleko dawnej śluzy, stoi na wpół zawalona szopa. Na drugim brzegu wznosi się gęsto zalesione zbocze.

Budynek z prawej strony przeznaczony jest dla krów i kur. Za nim, w drewnianej budzie wypełnionej trocinami i sianem, mają swoje miejsce gęsi. W przybudówce, która przedłuża trzydziestometrową stajnię o kolejne dziesięć metrów, stoją maszyny rolnicze. Podobnie jak do stodoły i stajni, tutaj także wchodzi się dużą bramą, a drugą, równie dużą, można wyjechać na drugą stronę. Kiedy spojrzy się stamtąd w lewą stronę, na skraju ogrodu warzywnego widać owczarnię; na wprost rozciągają się ogrodzone łąki i nasyp kolejowy, a za torami, w pewnym oddaleniu, ale dobrze widoczna, znajduje się zagroda Hennera.

Zagrody Brendela i Hennera są największe w całej osadzie. Mówi się, że u Hennera wszystko jest jeszcze jak przed wojną: meble, piece, podłogi, małe, nieszczelne okna. Zimą musi tam być chłodno. Brendelowie są bardziej nowocześni, mają nawet centralne ogrzewanie. Przekraczając próg domu, wchodzi się do małego przedpokoju w przyziemiu. Drzwi po obu stronach prowadzą do kuchni i pomieszczeń mieszkalnych, a schodami wchodzi się na górę; z tyłu za schodami schowane jest wyjście do ogrodu warzywnego i drzwi do piwnicy.

Pokoje na dole zamieszkują Zygfried, Marianna i Łukasz, na górze Fryda i Alfred, a na poddaszu mieszkamy my: Johannes i ja.

W kuchni, największym ze wszystkich pomieszczeń, stoi jeszcze stary piec kuchenny, na którym można gotować. Babka Fryda dawno przyzwyczała się jednak do pieca elektrycznego. Meble kuchenne są starsze niż Fryda, zarówno duży stół jadalny, jak masywny kredens. Tylko wiszące szafki i płyta kuchenna pochodzą z czasów NRD. Wszystko jest czyste i posprzątane, ale jakieś przygnębiające. Teraz, latem, okna zazwyczaj są otwarte. To stare okna z obrotowymi gałkami; z ram łuszczy się biała emalia. Niski sufit przytłacza i chroni jednocześnie.

Zygfried, ojciec, siedzi przy stole. Wielki kasztanowiec rosnący na podwórzu przepuszcza przez okna jedynie skrawki wieczornego światła. Nikt nic nie mówi; twarze rodziny są tak słabo oświetlone, że z trudem je rozpoznaję.

Ciągle dosiadają się następni. Matka - Marianna, babka, stary Alfred, którego dawniej nazywano by parobkiem, bracia Johannes i Łukasz.

Zygfried kroi grubą jak kciuk pajdę wiejskiego chleba i smaruje ją masłem. Bierze do tego kilka kawałków czerwonej papryki, pokrojonych przez żonę. Je powoli, bez słowa. Potem uśmiecha się i mówi:

- Dobrze, że można teraz kupić czerwoną paprykę, jest bardzo zdrowa, wiecie? - Patrzy w górę, nie podnosząc głowy.

Synowie nie odpowiadają. Marianna, jego żona, potakuje i mówi:

- Niedługo będzie jeszcze więcej wszystkiego.

Zygfried bierze talerz z papryką i unosi w kierunku Frydy:

- Spróbuj, matko - mówi i zachęcająco kiwa głową.

Rozglądam się wokół, próbuję zrozumieć reguły, według których w tym domu toczy się życie; jestem tu od niedawna. Pewnego niedzielnego poranka Johannes powiedział:

- Dziś nie odwiozę cię do domu. Moi rodzice chcą cię poznać.

Pozostałam u nich. A teraz jest już czerwiec.

Znowu jemy w milczeniu. W kuchni słysząc odgłosy przeżuwania. To Alfred. Mruczy, nie patrząc na Zygfrйда:

- Liza najpewniej będzie się cielić tej nocy. Zygfryd potakuje i spogląda przez okno w stronę obory.

Johannes podnosi się ociężale, oczy ma spuszczone.

- Wyjeżdżam jeszcze na spotkanie ze znajomymi. Do miasta.

- Motorowerem? - pyta Marianna i również wstaje.

- Siadajcie! - w cichym głosie ojca pobrzmiwa teraz groźny ton, który lubię i którego odrobinę się obawiam. Pozostali się go nie boją.

- Nie zabierzesz mnie ze sobą, Johannesie? - pytam i wpatruję się uporczywie w jego spuszczoną głowę. Ale on nie patrzy. I nie odpowiada. Nadal stoi, a potem wychodzi z pomieszczenia.

Milcząc.

Szosa biegnie wzdłuż dwóch gospodarstw, a dwie wąskie ścieżki wiodą od niej do domów. Po drugiej stronie drogi, jakieś trzysta metrów dalej, rozciąga się wieś. Prowadząca przez nią droga po obu stronach obsadzona jest lipami, które teraz, w czerwcu, wydzielają ciężką woń. W pobliżu przerzuconego przez rzekę mostu znajduje się gospoda „Pod Lipami”.

Za nią, półkolem otaczającym wiejski staw, stoją domy z małymi podwórkami, poczta, sklep i kościół. Wzdłuż domów wiją się wąskie uliczki prowadzące do następnych zagród. Jedna z tych dróg, gwiazdziście odchodzących od centrum

wsi, biegnie prościutko do dwóch płaskich betonowych budynków, które sprawiają wrażenie, jakby przez przypadek spadły na łąkę. Jest to administracja spółdzielni produkcyjnej. Za nią rozciąga się dumnie wielka chlewnia.

To szczególna wieś. Fryda chętnie powtarza, że nie zniszczyła jej ani wojna, ani nawet NRD.

Oprócz kilku domów i spółdzielni niewiele tu nowego. Nieczęsto już spotyka się coś takiego; w weekendy przyjeżdżają tutaj ludzie z miasta i spacerują.

Po podwórzu chodzą kury. Marianna zapomniała je zamknąć. Z jednego z górnych okien wygląda Fryda i woła:

- Marianno, lis porwie kury, jeśli nie zapędzisz ich na noc do kurnika. Po dwudziestu latach jeszcze tego nie wiesz?

Stary kasztanowiec rzuca cień na cały dom, ale Zygfryd zapowiedział, że już niebawem go zetnie. Chce posadzić nowy, bo ten stary zanadto się rozrósł.

Marianna biegnie do rogu stodoły i patrzy, jak jej syn odjeżdża swoją pomalowaną na czarno emzatką. Obserwuję ją z progu domu. Na ramiona zarzuciłam szal, który wzięłam z jej garderoby.

- Dobrze ci w nim - mówi, wracając, i dodaje: - Nic mu się nie stanie.

Ja nie mam obaw. To ona nie zazna spokoju, póki Johannes nie wróci. W ostatnim czasie na tej drodze zdarzały się śmiertelne wypadki, w jednym z nich brał udział przyjaciel Johanna. Stoję spokojna, wydmuchuję siwy dym papierosowy w czyste wiejskie powietrze; potem pomagam przy zapędzaniu kur do kurnika.

Jest już prawie północ, gdy słyszę warkot motoru i w końcu cichnący silnik. Pokoje na poddaszu kumulują ciepło całego dnia; z letniej sukienki przebrałam się w białą koszulę nocną, którą znalazłam w jednej z licznych skrzyń stojących na poddaszu. Wcześniej zapewne nosiła ją Fryda.

Kiedy wyglądam przez okno, przed moimi oczami rozciąga się pagórkowaty teren i szemrząca rzeka; widzę lasy i krowy na łąkach. Z drugiej strony okno wychodzi na podwórze i na koronę kasztanowca, w której mieszkają ptaki, a ze szczytowego okna widać łąki, owczarnię i odcinek kolei aż do Hennera. Dopiero kiedy się tu wprowadziłam, pojęłam, jak piękny jest ten krajobraz. W tej chwili nie potrafię wyobrazić sobie lepszego miejsca.

Teraz jednak jest noc, a ja widzę tylko Johannesesa, który wprowadza motorynkę do szopy, wychodzi, zapala papierosa i spogląda w górę. Nie widzi mnie. Zgasłam światło, żeby nie oglądać pajaków spuszczających się bezustannie po przezroczystej nici z sufitu. Napęłniają mnie wstrętem, a wiem, że on uważa ten mój dziecinny strach za śmieszny.

Był w mieście, u artystów.

Gdy wchodzi do pokoju, udaję, że śpię. Obojętnie rzuca ubrania na podłogę, myje zęby, jak zawsze zbyt krótko. Jest późno, a rano musimy wcześnie wyjechać. Znowu będę kłamała, powiem, że zaczynam dopiero od trzeciej lekcji, a w końcu po prostu zostanę w łóżku aż do jego powrotu. Johannes jest w ostatniej klasie; chodzimy do tej samej szkoły, on do dwunastej klasy, ja do dziesiątej. Kiedy jeszcze mieszkałam u matki i dziadków, musiałam codziennie schodzić z góry do miasteczka - marszem szło się trzy kwadranse - a potem jechać autobusem do miasta powiatowego. Razem zajmowało mi to jakąś godzinę i piętnaście minut. Z powrotem nie szło już tak szybko, bo musiałam iść pod górę.

Teraz jeżdżę zazwyczaj motorynką z Johannesem, ale od pewnego czasu rzadko chodzę do szkoły. Nie liczę nawet godzin nieobecności. Wiem, że nie dam rady. Przedpołudnia spędzam z papierosem nad książkami; po południu często jeździmy po okolicy, czasami do miasta, do kawiarni artystów.

Tam jeszcze przed zmierzchem pije się wódkę i wino i stale się gada. Johannesowi się to podoba; ja jeszcze nie wiem, co o tym myśleć.

Później wchodzimy schodami na górę do naszych pajęczych pokoi i kochamy się. Johannes gasi światło, pod kołdrą jest czuły i delikatny; jeszcze nigdy nie zadał mi bólu. Jest moim pierwszym mężczyzną. Myślę, że go kocham.

Rozdział 2

Następnego ranka o dziesiątej - Johannes od dawna jest w szkole - pod bosymi stopami drży mi podłoga. Stoję przed lustrem przy umywalce i szczotkuję z dumą swoje długie włosy; tego stukania nie mogę jednak zignorować. Dochodzi z mieszkania pod nami: to Fryda stuka. Stoi w izbie Alfreda z miotłą w spracowanych rękach i uderza końcem kija w sufit. Nie ma rady, muszę zejść na dół. Gdybym nie poszła, waliłaby łyżką w kaloryfer - aż do skutku. Ona wie, że wagaruję. Nie zgadza się na to, ale uważa, że skoro już tu jestem, mogę pomóc przy gotowaniu. Fryda jest praktyczną kobietą.

Na gzymsie szczytowego okna leży moja książka; właściwie chciałam iść do ogrodu i poczytać. Jestem trochę zła na Frydę, ale to nic nie pomoże. Los Dymitra Karamazowa musi poczekać, aż obiorę ziemniaki i pokroję cebulę.

Biedny Dymitrze, czy Gruszeńka cię wysłucha?

Na znak, że zrozumiałam, trzykrotnie uderzam w kaloryfer drewnianym uchwytem szczotki do włosów. Nie powinnam chodzić boso, bo łuszczy się farba na podłodze i Alfred musi ją zmiatać. Przed wyjściem otwieram okna, w skrzynce na kwiaty podlewam lawendę i palę pierwszego papierosa. Przez chwilę wspaniały zawrót głowy powoduje, że aż się zataczam. Podpieram się o parapet i wyglądam na podwórze. Przed oborą stoi Marianna i ogląda nowe cielę. Udało się Lizie. Od trzeciej do piątej nad ranem się męczyła i wreszcie z niewielką pomocą urodziła zdrowego cielaczka. Koło czwartej przyszedł Zygfyrd, długo się przypatrywał, a w końcu naciągnął na swoją silną dłoń długą gumową rękawicę, zawiązał linę na przednich nogach cielęcia i wyciągnął je. Teraz małe stoi na chwiejnych nogach obok matki i ssie z jej wymion pierwsze mleko. Jest słoneczny dzień. Może później będę leżała z Johannesem na brzegu rzeki i gładziła jego jasne włosy. Wydaje się, że są jedyną rzeczą, jaką ma po ojcu: grube jasne

włosy. Kiedy upał nas rozkłada, idziemy do starej szopy przy tamie i uprawiamy miłość. Tak nazywa to Marianna, kiedy stoi przed drzwiami do łazienki, które się nie zamykają, a my z Johannesem się wspólnie kąpiemy.

- Dlaczego to trwa tak długo? Uprawiacie miłość? Zygryd zaraz przyjdzie, nie powinien oglądać cię nagiej, Mario.

Muszę wtedy prychać, a Johannes zanurza głowę pod wodę.

Na obiad jest jakaś potrawa z mięsem, oczywiście z własnego uboju. Ja właściwie jestem wegetarianką. Nie tknęłam mięsa od chwili, gdy w którąś Niedzielę Wielkanocną babka Traudel poczęstowała mnie pieczenią z mojego ulubionego królika Matze, a dziadek Lorenz dopiero po posiłku powiedział mi, skąd pochodziło mięso na tę pieczeń. Zwymiotowałam biednego Matze; miałam wtedy dwanaście lat, więc to już prawie pięć lat temu.

Zygryd nie lubi wegetarian, choć dotąd jeszcze żadnego nie spotkał. W niedziele bez słowa kładzie mi na talerz najlepszy kawałek mięsa, a ja również bez słowa odkładam go z powrotem. Kilka razy ukradkiem go spróbowałam - było naprawdę dobre.

Przy obiedzie zwykle niewiele się rozmawia. Zygryd jest oszczędny w słowach, tak jak większość mężczyzn we wsi. Ale kiedy już mówi, wszyscy milkną i słuchają, nawet jeśli mówi bez sensu, co się jednak rzadko zdarza.

Teraz wygląda na zmęczonego. Już od ośmiu godzin jest na nogach, a przed nim kolejne osiem. W tartaku trzeba pociąć pnie na deski, owce przepędzić na inne pastwisko, naprawić zepsuty płot i wyrzucić gnój z obory. Dwa razy dziennie doi się krowy, o piątej rano i o siedemnastej. Cysterna mleczarska przyjeżdża co dwa dni i opróżnia schłodzony zbiornik.

Marianna ma zajęcie w sklepiku. Wiosną Zygfryd przerobił jej dawną przykuchenną spiżarnię na mały gospodarski sklepik. Jest naprawdę mały, nie ma nawet dziewięciu metrów kwadratowych. Biało pomalowane drzwi, latem zawsze otwarte, prowadzą do pomieszczenia bez okien, na którego ścianach umieszczone są proste regały z nawoskowanych desek z przydomowego tartaku. Można tu kupić wszystko, co wytwarza gospodarstwo: jajka, mleko, pieczony przez Frydę chleb, mięso i wędlinę z baraniny, wołowiny i drobiu, niektóre warzywa i owoce, pończochy z własnej wełny, a później, przed Bożym Narodzeniem, także gęsi. Owce i krowy bije się poza zagrodą, natomiast kury i gęsi w piwnicy.

Kiedy ktoś wchodzi do sklepiku, rozbrzmiewa przytłumiony dźwięk dzwoneczka; to pierwsza rzecz, jaką Marianna kupiła na Zachodzie, kilka miesięcy po otwarciu granicy. Tutaj, w gospodarstwie, wydarzenie to przeszło prawie bez echa. Obrazy z Berlina pokazywane w telewizji traktowano jak zdarzenia z jakiegoś innego kraju. Fryda powiedziała:

- Że też ja tego doczekałam...

Marianna płakała, a Zygfryd kiwał głową. Raz po raz unosił w górę i opuszczał swoją wielką czaszkę, a potem poszedł karmić zwierzęta. Tak to opowiada Johannes, którego wtedy trudno było utrzymać, bo najchętniej z miejsca pojechałby do Berlina. Ale Zygfryd mu nie pozwolił.

Siedzimy przy stole, przy krótszych bokach Zygfryd i Fryda, przy dłuższym, plecami do okna Alfred i Marianna, a naprzeciwko siedzę ja. Johannes i Łukasz są jeszcze w szkole. Zygfryd mimo zmęczenia jest w dobrym nastroju. Rzuca dwuznaczne spojrzenie żonie. Ona lekko się uśmiecha. Jest lato 1990 roku. Pora sianokosów.

Po południu stoimy wszyscy z grabiami do siana na jednej z wielkich nadrzecznych łąk. Zygfryd, Fryda, Marianna, Łukasz, Johannes, ja i Alfred.

Alfred spędził tu całe swoje życie. Jeden jedyny raz na kilka tygodni opuścił gospodarstwo.

Matka Alfreda była podkuchenną i w 1933 roku wyszła za mąż za parobka Alwina. Pięć miesięcy później na świat przyszedł Alfred. Fryda miała już wtedy trzy lata; są jej zdjęcia. Była małą, okrągłą dziewczynką z warkoczykami i okazywała wielką czułość Alfredowi. Była młodszą z sióstr Schenke. Starsza, Anneliese, chodziła już do szkoły, natomiast Fryda od rana do wieczora ciągała małego Alfreda po podwórzu, układała go wśród kwiatów na łące albo wozila małym wózkiem po warzywniku. Dwaj bracia Frydy, trzy - i pięcioletni, zmarli na ciężką gripę. Po śmierci włożono ich w porządne niedzielne ubrania, ułożono na białym prześcieradle i w ten sposób po raz pierwszy i ostatni uwiecznił ich zawodowy fotograf z miasteczka G. Oprawione w ramy, zdjęcia te zawisły w białej izbie nad komodą, w której przechowywano bieliznę stołową.

Po twarzy spływa mi pot. Niechętnie wracam do domu i jak inne kobiety przewiążuję sobie chustkę na głowie. Oczy pieką mnie od wszechobecnego pyłu, nogi - pełne śladów po ukąszeniach komarów, podrapane sianem - swędzą okropnie.

Grabie wydają mi się nieznośnie ciężkie. Fryda mimo swych sześćdziesięciu lat haruje niezmordowanie i bez słowa skargi. Marianna także pracuje w ciszy. Johannes rzuca mi ostrzegawcze spojrzenie; jest najwyżej czwarta, mamy pracować jeszcze kilka godzin. Widzę, jak Alfred wyciąga z kieszeni spodni małą piersiówkę i z wyraźną przyjemnością potajemnie z niej popija. Ja także jestem spragniona, a Fryda musi chyba umieć czytać w myślach, bo przerywa pracę, opiera się na swoich grabiach i woła do mnie:

- Przynieś z kuchni kilka butelek wody i kanapki. Zrobimy przerwę.

- Zaraz przyniosę - odkrzykuję w jej stronę i biegnę łakami w kierunku domu.

Kiedy zjawiam się ponownie, w tartaku zgrzytają maszyny. Tylko my, kobiety, jesteśmy na łące. To znaczy nie tylko, jest jeszcze Alfred, ale on się nie liczy. Cała jego samodzielność polega na picciu, co tutaj kwituje się takim samym milczeniem, jak niemal wszystko inne. Poza tym jest niewolnikiem Frydy - i to już od czasu, gdy wozila go po podwórzu, okazując oseskowi kuchennej dziewczyny swą niezdarną dziecięcą troskę. Teraz już za późno na jakikolwiek gest emancypacji. Bez żony i dzieci Alfred stał się dodatkiem do rodziny, która traktowała go niemal jak własnego syna. Po śmierci obu synów Schenków był u nich w domu jedynym chłopcem i jakaś nadzieja popchnęła jego biologicznych rodziców do oddania go pod opiekę Ingeborgi i Wielanda, rodziców Frydy. Fryda kochała małego Alfreda ponad wszelkie wyobrażenie i kto wie, myśleli może, że i później będzie go kochać, gdy przyjdzie czas zamążpójścia i przejęcia gospodarstwa. Rzeczywiście przebąkiwano tu i ówdzie, że Volker, najstarszy Frydy, jest synem Alfreda. Pije w każdym razie jak tamten. Poślubiła jednak Heinricha Brendela, silnego i pracowitego syna wiejskiego nauczyciela. On także od małego bawił się często na podwórzu i jemu także nieustępliwie matkowała. Gdy Fryda miała niespełna siedemnaście lat, ten opiekuńczy instynkt przerodził się w ofiarną miłość. A później zagrodę Schenków przemianowano na zagrodę Brendelów.

Krótko po weselu z Heinrichem, w 1948 roku, na świat przyszedł pierwszy syn Frydy, Volker. Kilka tygodni przed jego narodzinami Alfred nagle gdzieś przepadł - czy był to dowód ojcostwa uciekiniera? Fryda najzarliwiej temu

zaprzeczała, spuszczone więc na to nieprzyjemne posądzenie zasłonę milczenia. Jakiś czas później Alfred pojawił się znowu, obdarty i wychudzony jak zbity pies. Na jego widok matka osunęła się przy piecu.

Marianna rzuca się nagle na jedną z kop siana. Czerwona chustka na głowie zsunęła jej się do tyłu, odsłaniając gęste włosy. Ze zwilżonymi świeżą wodą ustami, podciągniętą spódnicą i silnymi nogami wygląda młodo. Ma trzydzieści dziewięć lat, jej synowie osiemnaście i dwanaście.

- Mamo - mówi Johannes - twoja spódnica...

Marianna śmieje się i pociąga jeszcze jeden duży łyk wody z butelki. Potem wstaje i patrzy w stronę tartaku.

- Za chwilę wrócę - woła do nas, idąc. - To nie potrwa długo.

Johannes mości się koło mnie i kładzie mi głowę na kolanach. Ręką pełną wody zmywam mu z twarzy kurz i kładę chłodne dłonie na jego oczach. Z lewej strony czuję spojrzenie - obserwuje nas Łukasz. Tylko Fryda patrzy na rzekę; jak wrośnięta w ziemię stoi na szeroko rozstawionych nogach wsparta o grabie i patrzy. My też tam patrzymy, ale niczego szczególnego nie możemy dostrzec - tylko wodę, która płynie jak co dzień. W tartaku po drugiej stronie maszyny ucichły.

Gdy wreszcie siedzimy przy stole, jest już po dziesiątej. Na dużym porcelanowym półmisku leży zimna pieczeń, pokrojona w cienkie plastry. Obok stoi koszyk z ciemnym chlebem, masło w ceramicznej miseczce, butelka wina i ciasto cytrynowe. Jem, jakbym długo głodowała, zjadam nawet kawałek mięsa. Zygfyrd z aprobatą kiwa głową. Mówi, że musimy nająć kilku pomocników do zbioru siana, Volker też mógłby się zjawić. Ale Volkera teraz nie ma, odpowiada Fryda, a jej głos brzmi nerwowo. Bracia Zygfyryda są źródłem kłopotów w życiu Frydy. Najstarszy, Volker, w wieku szesnastu lat poszedł do spółdzielni, do pracy w chlewni. Tam

z paroma innymi zaczął pić. Mieszka teraz w małym mieszkanku w powiatowym mieście i nie pracuje, chociaż ma dopiero czterdzieści dwa lata. Nie ma żony ani dzieci. To wszystko brzmi jak historia Alfreda, tak że kiedy rozmowa schodzi na Volkera, wszyscy milczymy zakłopotani. Tylko Alfred spogląda przyjaźnie na Frydę, która ze swej strony karci go brakiem zainteresowania. Średni syn, Hartmut, złożył podanie o wyjazd w 1967 roku, krótko po swoich osiemnastych urodzinach. Treść tego podania doprowadziła do jego natychmiastowego aresztowania. Dwa i pół roku później został sprzedany na Zachód, o czym Fryda i Heinrich nic nie wiedzieli. Odezwał się ponownie dopiero, kiedy znalazł pracę i kupił mieszkanie w Rosenheim, w Bawarii. Nie domyślali się jego planów opuszczenia kraju, o co Fryda do dziś robi mu wyrzuty. Natomiast mąż Frydy, Heinrich, który kilka lat temu zmarł na raka, do końca był dumny z syna, choć więcej go nie zobaczył.

Piję kieliszek wina i jestem zmęczona jak nigdy dotąd. To moje pierwsze lato w gospodarstwie Brendelów, moje pierwsze lato bez matki, pierwsze lato z ojcem, choć nie z moim własnym.

Po jedzeniu wlecemy się na górę i idziemy do łóżka, nie myjąc się, nie myjąc nawet zębów. Zanim zmorzy mnie niesłychanie ciężki sen, postanawiam absolutnie nie iść jutro do szkoły. W następnym tygodniu i tak zaczynają się wakacje; nie opłaca się - ten rok jest już stracony.

Rozdział 3

Budzę się i jestem sama. Johannes pojechał do szkoły.

Dziś muszę przeczytać, czy Aleksy Karamazow dotarł na czas do klasztoru, żeby być u starca Zosimy w godzinie jego śmierci. I dlaczego starzec pokłonił się do ziemi przed Dymitrem? Słońce jest już wysoko, pewnie jest koło południa. W kuchni na dole stoi przygotowany dla mnie talerz, chleb jest w drewnianym pojemniku, masło dobrze schłodzone. Jest też marmolada - pierwsza domowa marmolada w tym roku. Zygryd wita mnie na schodach z wyjątkowo przyjaznym uśmiechem, a Mariannę słyszę rozprawiającą w sklepiu. Kotka Selma ociera mi się o nogi, całe podrapane po wczorajszym grabieniu siana. Rzadko bywam tak szczęśliwa. Policzki mam brązowe od słońca, ręce i kark wręcz spalone na ciemny brąz, choć to dopiero początek lata.

Wewnętrzne drzwi do sklepiu stoją otworem. Marianna się śmieje. To Henner jest w sklepie i tak sobie razem żartują. Może prawi jej komplementy. Marianna jest wciąż piękną kobietą, silnie zbudowaną, ma długi, gruby, ciemny warkocz, zaróżowione policzki - i słabość do Hennera. Pewnie przyszedł kupić chleb lub może po prostu porozmawiać, bo poza tym jest całkiem samotny. Fryda uważa go za dzikusa. Od czasu, gdy przed wielu laty odeszła od niego żona, Henner żyje w odosobnieniu. O tym jego małżeństwie krążyły po wsi różne dziwne opowieści. Ludzie mówią też, że Henner w ciągu kilku lat doprowadził do ruiny odziedziczone po ojcu gospodarstwo. Tylko do koni ma rękę, zdaje się, że jest to jego pasja. Podobno ma pierwszej klasy trakeny.

Zygryd twierdzi, że to NRD go złamała. Mężczyzna o takiej sile powinien uprawiać własną ziemię, a nie pracować w spółdzielni. Ktoś taki jak Henner musi sam być sobie panem.

Kiedy czasami wpada w ciąg alkoholowy albo znika w pogoni za kobietami, zapomina nawet nakarmić psy, które

włóczą się wtedy po okolicy i zagryzają owce. Zygryd także stracił przez nie kiedyś jagnięta i teraz patrzy niechętnym okiem, jak jego żona żartuje z przystojnym sąsiadem. Henner jest bowiem postawnym mężczyzną; podobno jest też odcytany. W domu ma cały regał książek, a czegoś takiego nikt tutaj we wsi nie widział. Ludzie mówią, że całkiem wdał się w matkę, która pochodziła z miasta i też była taką dziwaczką.

Słyszę, jak Henner pyta Mariannę:

- Czy Maria nadal jest u was? Ładniutki pisklę sobie tu sprowadziliście.

Śmieje się gromkim śmiechem, a Marianna mówi:

- Miła dziewczyna, ale nie do gospodarstwa.

- Też tak myślę, ona tu nie zostanie. Pójdzie do miasta i będzie studiować.

- No tak, ale co mamy zrobić. Johannes jest w niej zadurzony po uszy. A ona całymi dniami czyta i jeszcze do tego wagaruje.

- Tak? To wyślijcie ją do pracy w stajni, szybko jej przejdzie to czytanie, ha, ha...

- I kto to mówi... - w głosie Marianny brzmi teraz lekka nagana. - Przecież sam siedzisz z nosem w książkach. Daj spokój, Henner, tak po prostu jest, ona w domu też nie miała lekko.

Uczucie szczęścia zostaje zachwiane. Zostawiam bułkę i idę do sklepiku. Patrzą na mnie.

- Wszystko słyszałam - mówię i podnoszę głowę.

- Ach tak - odzywa się Henner - zuchwała, ale diabelsko śliczna. Teraz rozumiem Johannesesa.

Taksuje mnie bezwstydnie, Marianna marszczy czoło, a ja przed wyjściem na podwórze uśmiecham się do niego.

Młodemu Karamazowowi się udało. Zosima jest jeszcze przy życiu, ale kiedy umiera, dzieje się coś trudnego do przewidzenia.

Muszę być pożyteczna. Nikt tutaj nie traktuje mnie poważnie i być może nie bez racji. Idę do ogrodu po cebulę, kalarepę i marchew. W kuchni już działa Fryda. Tłucze garnkami tak głośno, że słycać ją w całym domu i w ogródku. Wcześniej przyszła poczta. Dostała list od Hartmuta, syna z Bawarii. List leży otwarty; później wyjmę go z koperty i przeczytam:

Kochana mamo,

nie myślałem, że będę Cię mógł jeszcze kiedyś odwiedzić. Teraz to jest możliwe, bo Niemcy się jednoczą. Tato byłby bardzo szczęśliwy. Upłynęło tyle czasu, nie wiem właściwie, co powiedzieć, a nie potrafię dobrze pisać listów. Chętniej bym z Tobą porozmawiał. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, przyjadę w odwiedziny do domu w trzecim tygodniu lipca. Zabiorę ze sobą rodzinę: Gizelę oraz dzieci, Roberta i Annę. Nie wiesz, jak się z tego cieszę. Wybacz, że wtedy nie mogłem Ci nic powiedzieć. Naraziłbym Was wszystkich na niebezpieczeństwo. Pisałem do Ciebie z więzienia, ale oni nie wysyłali moich listów. Później także do Ciebie pisałem, ale nigdy nie dostałem żadnej odpowiedzi.

Bardzo mi przykro z powodu tego wszystkiego. Teraz zebrałem się na odwagę i napisałem, choć od dwudziestu lat nie miałem od Ciebie znaku życia.

Twój Hartmut

PS Jeśli nie dostanę odpowiedzi, uznam, że się zgadzasz na nasze odwiedziny w trzecim tygodniu lipca, w poniedziałek, na pewno nie przed południem. Dzieli nas przecież znaczna odległość.

Kiedy wchodzę, Fryda siedzi przy kuchennym stole. Rzucam warzywa na stół i mówię:

- Dziś ja gotuję.

Płakała. W pomarszczonych dłoniach trzyma zgniecioną chusteczkę, twarz również wygląda, jakby była zmięta. Wąskie usta zapadają się do środka - pewnie zapomniała protezy. Siwe włosy, związane na karku w węzeł, przerzedziły się - prześwituje przez nie skóra. Kiwa głową, wstaje, przynosi ostry nóż i podaje mi go bez słowa. Gotuję swoją pierwszą zupę. Często obserwowałam Frydę i robię wszystko jak ona. Biorę łyżkę masła, wrzucam do garnka, po czym duszę na nim cebulę, czosnek i dwa listki laurowe. Dorzucam warzywa: kartofle, marchewkę, seler, kalarepę, potem kostki rosółowe, sól, pieprz i przyprawy. Na stole leżą przylepki z chleba, które będziemy maczać w zupie. Zygfyrd lubi mięso w zupie, kroję więc resztki pieczeniowej wołowiny i dodaję je do zupy tuż przed końcem gotowania. Zupa smakuje rzeczywiście jak zawsze, więc niemal pękam z dumy. Wydaje się, że Zygfyrd niczego nie zauważył, je jak zazwyczaj, powoli, jak należy.

- Połóż rękę na stole! - zwraca się do mnie Marianna, bo trzymam rękę na kolanach. Kiedy kończymy, szepcze: „Podziękuj Frydzie!”. Uśmiecham się i mówię grzecznie:

- Dziękuję, Frydo, za dobrą zupę. Fryda patrzy na mnie pytająco:

- Czemu mi dziękuje, kiedy przecież sama ją ugotowała?

Teraz dopiero patrzy na mnie uważnie on, ojciec; uśmiecha się i kilkakrotnie kiwa z uznaniem głową.

- Aaa... - mówi głośno Marianna - naprawdę zaczyna gotować, no, to już jest coś, to jest pożyteczne.

Wczesnym popołudniem wraca Johannes. To jego ostatnie dni w szkole; można powiedzieć, że maturę ma już w kieszeni. W naszych dwóch pokojach na górze wszędzie leżą porozrzucane książki. Dużo się uczył. A teraz nadchodzi

ostatnie lato czasów szkolnych. Co potem, nie wie nikt - teraz jest tyle możliwości.

Bierze mnie za ręce i ciągnie na łóżko.

- Chodź! - mówi - zdejmij sukienkę, tu na górze jest tak gorąco.

Poddaję się bez sprzeciwu. Okno jest otwarte na oścież, na zewnątrz jakby pijane szczęściem lata ćwierkają ptaki. Pająków nie widać, wyjdą dopiero wieczorem i będą prząść swoje delikatne nici. Johannes zatyka mi usta, żeby nikt nas nie usłyszał. Żeby nikt nie usłyszał, jak brzmi miłość.

*

Minęły dwa tygodnie. Jest lipiec, mamy teraz zachodnie pieniądze. Nie było ani kropli deszczu, pierwsze siano zostało zebrane, Johannes ma w garści świadectwo - dobrze zakończył naukę. Otrzymał prezenty pieniężne od rodziców, dziadków ze strony matki i od Frydy. Od niej najwięcej. Postanowiliśmy pojechać do Monachium; to mój drugi raz na Zachodzie.

Niechętnie wspominam pierwszy pobyt. Upokarzające było to czekanie w kolejce na „powitalne pieniądze”, poniżające spojrzenia sprzedawcy owoców i warzyw, którego pytałam o nazwy niektórych owoców i o to, jak należy je jeść. Wcześniej staliśmy kilka godzin na przejściu granicznym i marziliśmy: spadł pierwszy śnieg - wczesny śnieg - a my nie byliśmy przygotowani na setki aut, które chciały przejechać przez granicę. Kilka godzin czekaliśmy w lodowatym samochodzie tylko po to, żeby odebrać te pieniądze i poczuć, jak smakuje Zachód. Byłam rozczarowana. Nadzieja, jaką żywiłam przez całe swoje życie, że będzie to budujące doświadczenie, nie wytrzymała zetknięcia z rzeczywistością pluchy listopadowego dnia. Jedyńm sklepem, do jakiego weszłam, był właśnie ten z owocami i warzywami, którego właściciel tak chłodno nas taksował wzrokiem. Mieliśmy wypisane na twarzach, skąd jesteśmy.

Teraz, latem, jedziemy po raz drugi. Stary wartburg pojeżdża z wysiłku, nienawykły do pokonywania takich odległości; po przekroczeniu granicy jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki drogi stają się o niebo lepsze. Na przejściu granicznym pokazaliśmy dowody tożsamości i zostaliśmy przepuszczeni. Ciągle jeszcze wydaje się to niepojęte. Po prostu pojechaliśmy dalej.

Na autostradzie wyprzedzają nas nawet wielkie ciężarówki. Opuszczamy szyby i palimy papierosy. Czujemy się bosko. Po sześciu godzinach dojeżdżamy do Monachium. Ja nie mam w ogóle pieniędzy, ale gdybym nawet miała, nie wiedziałabym, co kupić. Jest wszystko, a ja nie mogę się na nic zdecydować. Ale Johannes ma jakiś plan. Idziemy kawałek, razem z innymi oglądamy wystawy sklepów, wchodzimy do środka, znowu wychodzimy i dalej; wyrywam dłoń z ręki Johannaesa i patrzę, patrzę, patrzę. Zachód inaczej brzmi i pachnie inaczej.

Zostaję sama w ulicznej kawiarni, a on „idzie coś kupić”. Wcześniej składa zamówienie, jakby to robił codziennie. Zadaję sobie pytanie, co on tu ma do kupowania, ale tak naprawdę wcale mnie to nie interesuje. Siedzieć tu, patrzeć i pić kawę z mlekiem, a do tego jeść to bajecznie dobre ciasto - to i tak więcej, niż jestem w stanie udźwignąć. Wpatruję się w ludzi. Tutaj panuje taka inność, taka zarozumiałość, taka pewność siebie - trudno to wysłować. Wypiłam kawę, od razu zamawiam następną, a do niej jeszcze lampkę wina. W rękach trzymam mały notes. Obiecałam sobie, że będę zapisywała wszystko, co widzę, a czego jeszcze nie znam, i za czym nieraz tęskniłam. Okazuje się, że nic z tego nie znam, że musiałabym zapisać wszystko, zaczynając od zapachu sklepów, przez czystość ulic, jasne fasady domów, modę tutejszych dziewczyn i pyszną kawę, po urodę kobiet, ich wygolone ciała, gładką, miękką skórę, zalotne spojrzenia

mężczyzn, turkusową Izarę, lekkość. I ciągle na nowo te kolory! Niczego nie zapisuję; nagle zrobiło mi się smutno. Teraz powinien przyjść Johannes, powinien mnie zabrać do domu. Od razu. Mój zachwyty w okamgnieniu zamienia się w prawdziwą rozpacz. Czuję się biedna, brzydka, samotna. Ja też noszę piękną sukienkę, ale jest coś we mnie, nie wiem co, ale coś innego, lepiej nie potrafię tego określić. Teraz nie umiem się już niczym cieszyć; oczekuję na Johannaesa z drżeniem niepokoju. Nagle myślę, że on może w ogóle nie przyjdzie, a ja sama się tu nie odnajdę. Co wtedy? Szepczę bezgłośnie: „Przyjdź, przyjdź, przyjdź już teraz, proszę...”. Przy sąsiednim stoliku szczyrzy się jakaś parka i spogląda w moją stronę. W rzecze przechodniów szukam tej jednej znajomej twarzy. Pospiesznie i niezręcznie opróżniam pękaty kieliszek, czerwone wino kapie na jasną sukienkę, wstydzę się za wszystko. Wreszcie widzę go, jak idzie z foliową torbą w ręce.

Johannes promienieje - wydaje mi się to zupełnie niewłaściwe - siada przy mnie, również zamawia wino, szybko je pije i coraz to mnie całuje.

- Gdzie byłeś tak długo? - pytam natarczywie i z wyrzutem.

- Zobaczysz... - szepcze ze śmiechem. - Niespodzianka, rozpakujemy ją w domu.

Jest przy tym bardzo tajemniczy.

Trudno nam uwierzyć w wysokość rachunku: dwadzieścia jeden i pół marki! To majątek, ale okazuje się niczym w porównaniu z pieniędzmi, jakie wydał sam Johannes.

Potem jedziemy do domu, nie mamy tu już czego szukać. Do domu - jak to pięknie brzmi. Kiedy dojeżdżamy, jest głęboka noc, nie pali się żadne światło, słychać tylko puszczyka. Johannes przynosi z piwnicy zakurzoną butelkę wina, a ja piję, jakbym konała z pragnienia, i nie mogę przestać.

- Johannesie - proszę - przynieś jeszcze jedną!

- Nie, ojciec zauważy i będzie zły.

- Wszystko wezmę na siebie - odpowiadam lekko, a on idzie i zaraz wraca. Przeszkadzamy pająkom nad nami, które przesuwiają się w górę. Zataczam się na sofę, padam do tyłu; sukienka unosi mi się w górę, a Johannes wypakuje swoją niespodziankę. Przywołuje mnie do siebie, przyjemny zawrót niesie mnie przez pokój; to aparat fotograficzny, bardzo, bardzo dobry aparat, jak mnie co chwila zapewnia, podczas gdy ja z niedowierzaniem wpatruję się w rachunek: tysiąc dziewięćset osiemdziesiąt marek - za aparat, który w dodatku wcale nie jest nowy.

- Możemy teraz wszędzie jeździć, nie ma już granic - mówi, mocując obiektyw. - Będę fotografował wszystko, ale przede wszystkim ciebie.

Rozdział 4

Dzisiaj wybieram się do matki. Na piechotę to jakieś czterdzieści minut. Droga prowadzi najpierw wzdłuż szosy, a później przez pola. Mieszkamy w jednej z większych wsi, liczącej około pięciuset mieszkańców. Nawet w połowie nie dorównuje ona urodą wsi Brendelów - jest poprzerynana rozpadlinami i nie posiada wyraźnego centrum. Pozostały tu już tylko trzy zagrody, za to na obrzeżach stoją nowe bloki. Babka Traudel zawsze mówiła, że są w nich doskonałe mieszkania. Matka i ja tak nie uważaliśmy; mieszkania są małe, bez ogródków, no i każdy słyszy, kiedy sąsiad kaszle.

Natomiast my mieszkamy w starej części wsi. Nasz dom jest pięknie położony i znajduje się niemal naprzeciwko stawu. Obok niego biegnie wąska dróżka, przy której rosną różne drzewa owocowe. Jako dzieci spędzaliśmy na nich dawniej całe popołudnia. Dom nie jest najstarszy we wsi, ale zapewne najbardziej staroświecki. Dziadek Lorenz nie godził się na żadne unowocześnienia - nie ma w nim nawet ubikacji ze spłuczką. Nie wiem, dlaczego tak robił, ale babka Traudel ma o to do niego żal i uważa, że chciał ją w ten sposób ukarać, bo ona zawsze marzyła o nowym domu.

Z okien naszego domu widać piekarnię i gospodę. W nowszej części wsi jest też duży sklep, urząd gminy z małą biblioteką, przedszkole i szkoła podstawowa z ogrodem. Posadziliśmy w nim warzywa i latem zaopatrywaliśmy w nie nawet szkolną kuchnię.

Z ogrodu rozciąga się widok na kościół i plebanię. Pastor obsługuje nie tylko naszą wieś, ale i inne w okolicy. Nie ma wiele do roboty - do kościoła chodzą już tylko starzy ludzie. Z niektórymi spośród siedmiorga dzieci pastora byłam zaprzyjaźniona. Pamiętam, jak bardzo podobała mi się modlitwa przed jedzeniem, kiedy wszystkie dzieci i rodzice mówili chórem: „Wszystkie oczy kierują się ku Tobie, Panie.

Ty o właściwej porze dajesz nam pokarm. Ty otwierasz swą dłoń i wypełniasz radością wszelkie stworzenie". Pamiętam też, jak bardzo smuciły mnie nasze samotne kolacje w domu, tylko z matką, bez modlitwy, w ogóle bez słów.

Nasz dom pomalowany jest na ciemnobrazowy kolor i posiada z tyłu duży, niewidoczny z drogi ogród. Znajdują się w nim dwie wiśnie, jedna jabłoń i jedna grusza, krzewy porzeczek, maliny i grządki truskawek, kilka rzędów sałaty, marchwi, cebuli i kartofli, a także ziół z pietruszką, szczypiorkiem i koprem. Poza tym kurnik i pomieszczenia dla królików.

Gdy przychodzę, matka siedzi na leżaku w ogrodzie, pod jabłonią, i czyta książkę. Schudła okropnie. Cienkie nogi sterczą pod sukienką jak szudła i jakoś mnie zawstydzają. Matka jest tu jedyną osobą, która posiada książki. Podobnie jak dawniej, najchętniej czyta Effi Briest i Annę Kareninę. Ja też spędzałam nad nimi wspaniałe godziny, marząc i cierpiąc razem z bohaterkami.

Babka Traudel wcale nie była z tego czytania zadowolona - ona czyta przecież tylko gazetę - ale przyzwyczaiła się z czasem. Upodobanie do czytania książek moja matka ma po swoich rodzicach: matce Sigrun i ojcu Hannonie. Sigrun pochodziła z hamburskiego mieszczaństwa, ale dwa lata po wojnie - miała wtedy osiemnaście lat - zakochała się w Hannonie Breede, a on był komunistą. Pojechała za nim na północ sowieckiej strefy okupacyjnej. Osiedlili się wśród wrzosowisk i tam znaleźli swoje miejsce na ziemi. Dla rodziny Sigrun był to w jakimś sensie szok; nigdy tak naprawdę nie polubili Hannonia. Sigrun i Hanno mieli pięcioro dzieci: Ernsta, Wilhelma, Hannah, Torbena i Waltera. Moja matka była więc ich środkowym dzieckiem i jedyną córką. Pierwszego i ostatniego syna stracili: Ernst zmarł wkrótce po urodzeniu, a Walter w wieku czterech lat wypadł z okna. To

właściwie nie było wysoko, zaledwie trzy i pół metra, ale zabił się na miejscu. Hanno pracował jako redaktor w najbliższym miasteczku, a później stał na czele administracji miejscowej spółdzielni.

- Przyszłaś wreszcie? - pyta matka i wstaje. - No, jak tam jest u Brendelów, jak ci się mieszka? - Przekrzywia głowę na lewą stronę. - Chodzisz jeszcze do szkoły? Nie zabrałaś książek do matmy i fizyki.

Próbuję nie kłamać tak od progu, nie chcę jej jednak straszyć bardziej niż to konieczne.

- U Brendelów jest w porządku, przyjęli mnie jak córkę... ale do szkoły za często nie chodzę... choć oni tego też nie pochwalają - odpowiadam.

Patrzy na mnie prosząco, wyczekująco, a ja mówię:

- Nie wiem, mamó... Może w ogóle nie będę robiła matury, może przyuczę się do jakiegoś zawodu albo będę pomagać w gospodarstwie. Jeszcze nie wiem. Myślę, że nie dam rady ze szkołą.

Patrzy na mnie dotknięta. Pokłada we mnie nadzieję, a ja nie mogę jej spełnić.

- Ach - mówi tylko po krótkiej przerwie. - W takim razie musimy pisać podania. Nowy rok nauki zawodu zaczyna się we wrześniu, nie ma tak dużo czasu.

Nie wiem, co powiedzieć. Oczekiwałam, że będzie się wściekała i zmuszała mnie do dalszego chodzenia do szkoły. To by mnie właściwie nawet ucieszyło. Jest przecież moją matką. A ja jej dzieckiem.

Ale ona milczy, a ja pytam cicho:

- Masz jakieś wieści od taty?

- A jakże! - jej głos przy drugim „a” unosi się. - Będzie się żenił!

- Co?! A z kim? - pytam przerażona i zarazem zadowolona, że ten temat odwróci uwagę od moich spraw.

- Ma na imię Nastia i pochodzi z Leningradu. Ale mieszkać będą tu, w pobliżu. Myślę, że ona jest już w ciąży.

Czuję każdy centymetr swojego ciała.

- A tak poza tym to ona ma dziewiętnaście lat - dorzuca matka i zagryza wargi.

- To może zostaniemy przyjaciółkami - odpowiadam świadomie nieporuszona.

Robi wrażenie, jakby mnie nie słyszała. Obcięła włosy i wygląda na zmęczoną. W ubiegłym tygodniu zamknięto fabrykę, w której przepracowała dziesięć lat jako pomoc biurowa. Ale czy z tego powodu trzeba aż obcinać tak piękne włosy? Grube i lekko falowane, znacznie ładniejsze niż moje?

- Musimy kiedyś poważnie porozmawiać, Mario - mówi teraz z pewnym naciskiem, choć jej cienki głos zapowiada coś innego. - Wiesz, że nie mam pracy ani widoków na nową. Nie wiem, jak będzie dalej. Jakoś oczywiście zawsze jest dalej, ale nie wiem w tej chwili, z czego będziemy żyć. - Dłubie chwilę przy paznokciach. - No tak... - ciągnie - mam jeszcze trochę pieniędzy ze sprzedaży domu. Ale twój ojciec nie płaci w ogóle na twoje utrzymanie i szczerze mówiąc, najbardziej chciałabym, żebyś wyuczyła się jakiegoś zawodu. A pozostanie w gospodarstwie Brendelów to chyba nie jest najlepszy pomysł, co?

Stoimy naprzeciwko siebie. Matka nie patrzy na mnie. Ma bose stopy, szkoda mi jej; chciałabym coś odpowiedzieć, chciałabym zaproponować jakieś rozwiązanie, czuję się wręcz zobowiązana do tego, by posiadać jakiś plan, ostatecznie wyprowadziłam się z domu w wieku szesnastu lat! Człowiek nie wyprowadza się ot tak, mając szesnaście lat, jeśli nie ma pomysłu, co ze sobą zrobić. Tymczasem ja właśnie nie mam takiego pomysłu. Czuję się zupełnie pusta.

Patrzy teraz na mnie tym szczególnym spojrzeniem, które pyta: „Masz może jakiś pomysł także dla mnie, co powinnam zrobić? Powiedz mi, Mario!”.

Mamo, ja przecież nie mam nawet pomysłu na siebie, nie rozumiesz tego?

Jest tak jak zawsze - albo sama podejmę decyzję, albo sprawa pozostanie nierozstrzygnięta.

Co za okropna pustka...

Wchodzę do domu, idę schodami na górę do swojego pokoju na poddaszu, tego prastarego pokoju z szafami z ubiegłego stulecia i równie starym łóżkiem z poprzecznym trzyczęściowym materacem. Nad nim wisi wielka kopia obrazu jakiegoś symbolisty pod tytułem Nimfy i Saturn, który tak długo był przestrzenią moich marzeń. Ta nimfa pośrodku, której twarz najlepiej można rozpoznać, ta z błękitną opaską na włosach, wydawała mi się podobna do matki z czasów jej młodości. Matka dostała ten obraz od swego ojca; pasuje do niej.

Mojego biurka, stojącego pod szczytowym oknem, nie widać już spod książek i papierów. Wyciągam w pośpiechu parę rzeczy na wierzch: ołówki, blok, kilka starych zdjęć paszportowych, jakąś książkę. Wyjmuję z szafy kilka sukienek i wrzucam wszystko do walizki. Będę musiała znaleźć jakąś pracę, przecież w ogóle nie mam pieniędzy.

Następnie zostawiam walizkę, zbyt ciężką na tak daleką drogę. Zbiegam schodami na dół, mijam dwa małe pokoje matki oraz mały pokoik Mildy, prababki, która całe dni spędza na pakowaniu resztek jedzenia do plastikowych torebek i upychaniu ich w szafach, gdzie w spokoju porastają pleśnią, obok mieszkania dziadków na parterze, i tylnymi drzwiami wychodzę do ogrodu, gdzie matka wciąż jeszcze bez ruchu stoi pod jabłonią. Obejmuję ją mocno, ale krótko i obiecuję, że niedługo przyjdę znowu. Potem wychodzę na

ulicę, opuszczam wieś, uciekam, uciekam, byle dalej. Uspokajam się dopiero wtedy, gdy nie widzę wsi.

Z powrotem idę na przełaj przez kukurydzę. Młode roślinki sięgają mi do kolan, do żniw jeszcze dobrze ponad dwa miesiące. Rzadko chodzę tą drogą. Prowadzi koło zagrody Hennera, a więc koło psów i dzikich koni, na których jeździć potrafi tylko on. W swoje dobre dni Henner pędzi galopem przez łąki, a obok biegną psy. Wygląda wtedy jak właściciel majątku, jak człowiek z innych czasów. To taki typ, który nie pasuje do współczesności, jeden z tych, którzy jakby urodzili się w niewłaściwych czasach. Marianna mówi, że lepiej by mu zrobiło, gdyby przestał pić. Nikt nie wierzy, że mógłby, ale ostatnio w sklepiku był trzeźwy jak świnia.

Kukurydza łaskocze mnie w nogi, a sukienka zaczepia o liście. Przyglądam ją rękami, które po odwiedzinach u matki są zupełnie zdrętwiałe.

Już z daleka widzę Hennera. Stoi na wybiegu dla koni, ma na sobie wytarte buty do konnej jazdy, wąskie brązowe spodnie i białą niegdyś, ale teraz po prostu brudną koszulę. Psy leżą ociężałe w cieniu jabłoni. Marianna mówi, że w ostatnim roku rozszarpały nawet jednego źrebaka. Bił je wtedy kijem tak mocno, że skowyczały.

Idę powoli i myślę o matce: wyglądała tak smutno. Co z nią będzie bez ojca, bez pracy, w domu teściów? To ten jej smutek wypędził mnie z domu. To ona wysysa mi siły z całego ciała i radość z serca.

Henner jest prawdziwie pięknym mężczyzną. Rzuciło mi się to w oczy ostatnio w sklepie: potężne, masywne ciało, ruchy znamionujące siłę, ale twarz bardzo delikatna. Oczy głęboko osadzone, pełne wyrazu, ciemne, otoczone drobnymi zmarszczkami, jakiś wyraz goryczy wokół ust, który jednak znika, kiedy Henner się śmieje. Nie widać po nim, że pije.

Aż tu nagle się obraca. Psy zrywają się jak na komendę i kilkoma susami dobiegają do ogrodzenia wybiegu.

- Henner! - wołam. - Zabierz je! Śmieje się i patrzy w dół.

- One nie lubią chudych dziewczyn! - odkrzykuje, ale gwizdże na psy.

Trzęsą mi się nogi, czuję się tak dziwnie - Marianna powiedziała by „osuwicie” - opadam na ziemię i zaczynam płakać; nie potrafię się opanować. Nie wiem, co mi jest, płaczę i płaczę, trzymając dłonie przy twarzy. Dochodzę do siebie dopiero wtedy, gdy czuję ręce Hennera, gdy nazbyt silnie otacza mnie jego ciężki, cierpki męski zapach. Gładzi mnie po głowie - nigdy bym go nie podejrzewała o taką łagodność - i powoli podnosi. Nie mam odwagi otworzyć oczu, a on szepcze do mnie uspokajająco:

- Już dobrze, Maryjko, już dobrze, nic się nie stało, wszystko w porządku, zaprowadzę cię teraz do zagrody.

Ledwie idę; Henner obejmuje mnie ręką, a jego dłoń dotyka mojej piersi. Czuję to jak wypalane piętno. Zatrzymuję się.

- Szszszaaaa... - mówi. Trzyma mocno moją rękę i płynnie głaszcze mnie od szyi przez piersi, brzuch aż po uda, a potem trochę wyżej. Wyrywam się i biegnę, ale chwytą mnie znowu i teraz patrzy już na mnie inaczej.

- Przepraszam - mówi. - Nie chciałem cię przestraszyć, bardzo przepraszam, Maryjko, nie mów o tym nikomu, słyszysz?

A potem trzyma mnie mocno wyciągniętymi rękami i mówi cicho dalej:

- Nic się przecież nie stało, nic się nie stało... Przytakuje milcząco, puszcza mnie, a ja odchodzę, nie oglądając się za siebie.

*

W zagrodzie zdenerwowanie. Zygryd odkrył poniżej kierownicy swojego wartburga cieką przezroczystą rurkę. Sprawdził, dokąd prowadzi i pod pokrywą chłodnicy znalazł plastikowy pojemnik z wódką. Zainstalować go tam mogła tylko jedna osoba - to było oczywiste. Kiedy wchodzę do zagrody, spostrzegam Zygryda i Alfreda stojących obok drzwi wejściowych do domu: Alfred opuścił głowę, Zygryd gwałtownie gestykuje. Przemykam obok nich - nawet mnie nie zauważają - idę schodami na poddasze i biorę do łóżka Braci Karamazow. Starzec Zosima umarł, ale wcześniej pouczył współbraci mądrością swego życia:

Bracia, nie bójcie się grzechu ludzkiego, miłujcie człowieka i w grzechu jego, albowiem to jest podobieństwo Bożej miłości i szczyt miłości na ziemi. (Dostojewski, Bracia Karamazow, przekład Adam Ważyk, Wydawnictwo Dolnośląskie 1994.)

A potem rzecz niesłychana: jego ciało rozkłada się od razu w dniu śmierci!

W porze podwieczorku schodzimy się wszyscy w ogrodzie. Jest ciasto ze świeżymi truskawkami, do tego kawa i woda. Marianna pyta, jak było u matki. Kiedy próbuję jakoś ułożyć odpowiedź, z piersi wyrywa mi się nagle niemożliwy do opanowania śmiech, wywołujący zdziwienie wszystkich przy stole. Zygryd patrzy na mnie poważnie, a ja próbuję przez łzy wytłumaczyć, co powiedziała madame Chochlakowa o starcu Zosimie: że nie spodziewałaby się po nim takiego zachowania. Takiego zachowania! Skręcam się ze śmiechu: jakby Zosima świadomie się rozkładał, jakby sobie to ułożył: „Spłatom im figła i od razu zgniję, nie po kilku dniach albo w ogóle, jak przystoi świętemu”. Rodzice wymieniają spojrzenia, Fryda siedzi jakby nigdy nic, nikt się nie śmieje.

Johannes uśmiecha się, na ile to możliwe, gdy ma się usta wypełnione ciastem truskawkowym. Na kolanach trzyma

aparatu, z którym od wielu dni się nie rozstaje. Były kwasy o te wydane pieniądze, za które mógł być kupić samochód albo wyjechać w podróż, jak wolałaby Fryda. Powiedziała, że powinien pojechać kiedyś do Grecji, gdzie jest rajsko pięknie, tak właśnie powiedziała: rajsko pięknie! W telewizji był program o Santorini. Teraz, kiedy można wszędzie wyjeżdżać, trzeba koniecznie pojechać albo lepiej polecieć do Grecji. Tak, to chłopak powinien zrobić. Ale Johannes ma inne plany. Na górze jest jedno puste pomieszczenie bez okien. Johannes skrywa tam swoją tajemnicę. Powiedział, że niedługo mi ją wyjawia.

Spieszmy się z jedzeniem ciasta, szybko pochłaniamy drugą porcję i wreszcie idziemy na górę. Takie podekscytowanie. Najpierw nie widzę zupełnie nic, w pomieszczeniu jest ciemno choć oko wykol, gorąco nie do wytrzymania, a w dodatku cuchnie jakimiś chemikaliami. Johannes prowadzi mnie do krzesła, a potem włącza światło.

Przy ścianie przede mną ustawiony jest blat kuchenny, na nim jakieś dziwne duże urządzenie i kilka płaskich pojemników wypełnionych płynami, oprócz tego butelki z napisem „wywoływacz” i „utrwalacz” i kilka pojemników papieru fotograficznego. Nad tym wszystkim rozpięty jest sznur do suszenia bielizny ze spinaczami. Wiszą na nim zdjęcia. Na wszystkich jestem ja: rano w łóżku, naga podczas mycia zębów, pochylona nad lekturą Braci Karamazow, w ogrodzie, oparta o starą szopę przy służbie - naga, z zaplecionym warkoczem. Johannes uśmiecha się i mówi:

- Teraz wiem już, czego chcę, będę studiował sztukę, wyjedziemy stąd.

Patrzy na mnie przenikliwie.

- Ojciec chce, żebym przejął gospodarstwo. Mówi, że ziemia może znowu być nasza, że będzie to naprawdę opłacalne. Ale ja muszę stąd wyjechać.

Krew uderza mi do głowy, nie wiem, co powiedzieć, a on wygląda na szczęśliwego. A ja? Ja przecież dopiero przyszedłam. Mówi jeszcze i jeszcze, on, który poza tym raczej nie mówi dużo:

- Wiesz, ja zrobiłbym tak samo jak Hartmut, też złożyłbym podanie o wyjazd i też bym nikomu nie powiedział, dokładnie tak jak Hartmut. Ale teraz możemy jechać, dokąd tylko chcemy, możemy robić, co nam się żywnie podoba. - Jego prawa ręka gestykuje energicznie w powietrzu. - Ty nie możesz jeszcze studiować - ciągnie - nawet nie skończyłaś szkoły. A musisz ją skończyć, i tak długo właśnie tu pozostaniemy, ja już i tak nie zdążę zapisać się na ten semestr. Popracuję jeszcze trochę u ojca, a potem wyjedziemy.

Oczami wyobraźni widzi już szczęście i nieograniczone możliwości. Wtedy przychodzi mi na myśl Henner i na piersi czuję to miejsce. Pałace. Johannes przyklęka przede mną na podłodze i kładzie mi głowę na kolanach.

- Ach, Mario - mówi - będziemy żyli zupełnie inaczej, niż myśleliśmy.

Dopiero teraz dostrzegam zdjęcia na ścianie. Pięć sztuk, w małych czarnych ramkach. Pięcioro dzieci. Trzy dziewczynki, dwóch chłopców. Leżą z zamkniętymi oczami. Ponieważ żadne z nich nie żyje.

Rozdział 5

W domu i w gospodarstwie trwa niespokojne ożywienie. Zaczyna się trzeci tydzień lipca. Zbliża się wizyta Hartmuta. Z Frydą nie da się rozmawiać, w kuchni inaczej niż zazwyczaj panuje chaos. Pieczenie, gotowanie, czyszczenie. Cała wieś już wie: jutro przyjeżdżają ci z Zachodu!

Stoję obok Frydy pochylona nad górą drożdżowego ciasta, a ona pokazuje mi, jakie musi być w dotyku, żeby było dobre: ma być jak miękka pierś kobieca. Dla porównania dotykam najpierw swoich piersi, a potem ciasta; Fryda śmieje się głośno. Nie da się zaprzeczyć, istnieje pewne podobieństwo w konsystencji. Będzie baba drożdżowa, ucierane ciasto z owocami - potrafiłabym je zrobić nawet w środku nocy - na obiad jarzynowa z kluseczkami grysikowymi, na drugie pieczeń wołowa z knedlami turyńskimi i czerwoną kapustą, a na deser krem waniliowy z prawdziwą wanilią. Wanilię zawdzięczamy Hennerowi, który był wczoraj na Zachodzie i przywiózł trochę prezentów, ponieważ Marianna jest dla niego zawsze taka hojna. Kiedy mu się źle wiodło, czasami dawała mu coś - kurczaka, parę cebul, warzywa. Czuje się więc słusznie zobowiązany do wyrównania tego długu. Mnie także przywiózł prezent: torebkę karmelków i spinkę do włosów w kształcie motyla, wysadzaną czerwonymi kamieniami. Marianna obdarzyła mnie za to nieufnym spojrzeniem. Mówią, że Hennerowi wiedzie się teraz lepiej. Być może zwrócą mu ziemię, która dawniej należała do jego rodziców. Zygfyrd też ma taką nadzieję. Nikt dokładnie jeszcze niczego nie wie. W NRD Brendelowie byli jednymi z nielicznych rolników, którzy nie należeli do spółdzielni rolniczej. Same zwierzęta użytkowe nie wystarczały jednak do życia, stąd pomysł Zygfyda z tartakiem. Ale Henner przez lata pracował w spółdzielni, aż do chwili, kiedy powrócił na gospodarstwo,

bo wszyscy inni wymarli i nie miał kto na nim pracować. Było to też chyba po jego myśli.

Po wywłaszczeniu Heinrichowi i Frydzie pozwolono zachować jedynie trzy czwarte hektara. To było dużo, ale przecież musieli zmniejszyć pogłowie zwierząt. Reszta ziemi, co najmniej czterdzieści hektarów, przeszła na własność spółdzielni. Wielkie nadrzeczne łąki na siano Zygfyrd tylko dzierżawił. W rodzinie Hennera było podobnie.

Słyszałam, że Henner teraz trochę uporządkował gospodarstwo. Psy są przyjazne, konie czyste i zadbane. Powiedział, że mogę kiedyś przyjść, pojeździć konno, z Johannesem oczywiście, ale ja nie ufam tym jego koniom.

Fryda zwalnia mnie na godzinę z mrocznej kuchni, więc idę z Johannesem nad rzekę. Jeszcze kilka tygodni temu woda każdego dnia wyglądała inaczej: zielona, niebieska, żółta, rdzawoczerwona - i cuchnęła zgniłymi jajkami. Wszystko za sprawą fabryki produkującej chemikalia, położonej w górze rzeki, gdzie pracowała moja matka. A teraz w upalne dni w nadrzecznych zaroślach stoją krowy i piją z niej do woli.

Już wiem, dlaczego starzec Zosima pokłonił się Dymitrowi. Krótco przed śmiercią powiedział do Aleksego: Pokłoniłem się wczoraj przed jego przyszłym cierpieniem. Aleksy był tym bardzo zmartwiony.

*

Siedzimy nad rzeką i trzymamy stopy w wodzie. Johannes patrzy na mnie już tylko przez obiektyw aparatu. Każdy gest staje się obrazem, każde spojrzenie nieskończonością. Wyzwała mnie z mocy czasu i zatrzymuje chwilę, która bezpowrotnie mija - każde zdjęcie jest taką małą śmiercią.

Potem włączymy się wzdłuż łąk aż do szyn kolei. Szynami idziemy do mostu. Most przecina ukośnie rzekę i ma jakieś pięćdziesiąt metrów długości. Na drugą stronę przechodzi się środkiem torów po zmurszałych podkładach

kolejowych; po obu stronach nie ma właściwie wolnego miejsca poza torami. Kładziemy głowy na szynach, żeby usłyszeć szum i poczuć lekką wibrację nadjeżdżającego pociągu. Żadnego szumu. Nie widać też nikogo z dozoru kolei. Aby umknąć w tym miejscu przed jadącym pociągiem, nie można nawet skoczyć do rzeki, która jest tutaj płytka i pełna dużych kamieni. Ale dalej, po drugiej stronie, rosną najpiękniejsze łąkowe kwiaty i jest miejsce, które tylko my znamy. Kiedy do niego dochodzimy, rozbieram się i wchodzę do rzeki. Johannes woła coś do mnie i grzebie przy aparacie. Odpowiadam, żeby też przyszedł, bo tu jest wspaniale, ale on mnie nie słyszy.

Wracamy dopiero wieczorem. Fryda coś tam mamrocze, gdzie też ona była, ta Maria, mogła przecież być potrzebna. Potem macha ręką i mówi:

- Jakby mogła jeszcze przynieść z ogrodu trochę szczypiorku...

Spieszę się.

Na kolację jest ciemny chleb z masłem, na to cienkie plasterki jajek na twardo i pokrojony szczypiorek. Do tego sałata z dressingiem z oliwy, octu winnego, wody i cukru - słowo „dressing” znamy od niedawna. Dla Zygfrieda smaży się dodatkowo kotlet. Siedzimy przy stole na podwórzu, między kwiatami w donicach, kiedy Zygfried mówi, że naprawdę się cieszy na przyjazd Hartmuta. Wtedy też chętnie by zwiął, a nie zrobił tego tylko ze względu na matkę, żeby nie łamać jej serca. Tak mówi. Fryda siedzi bez ruchu. Marianna spogląda to na jedno, to na drugie, pewnie zastanawia się, co powiedzieć, i w końcu nic nie mówi. Jutro przyjeżdżają ci z Zachodu, z Bawarii, z Rosenheim.

Kiedy przychodzę, dziadkowie siedzą na ławce pod domem. Zatrzymuję się przy nich na krótko, opowiadam najważniejsze rzeczy, pytam ich o ojca, Ulricha, najstarszego

z ich czterech synów. A więc jednak żeni się z tą Nastią, dziewiętnastolatką. Dziadek potrząsa głową. Babcia pyta, czy wracam, bo przecież teraz dom jest odnowiony, mamy nawet ubikację ze spłuczką, mówi. A stara pralnia została przebudowana na szopę na narzędzia. Do tej pory babcia raz w tygodniu urządzała w niej pranie. Było tam tak gorąco, że ogromne kłęby pary unosiły się pod sufit, a następnie znowu ociekały kroplami. Każdą z praniem była niemal tak duża jak sama babka. Szerokim, długim drewnianym mieszadłem mieszała pranie najpierw w prawo, potem w lewo, powtarzając tę czynność tak długo, aż wszystko było czyste. Bardzo brudne rzeczy prała na tarze.

Matka także dostała teraz własną łazienkę z kabiną prysznicową. Nie ma już starego pieca łazienkowego i wanny, w której kąpałyśmy się jedna po drugiej w każdy piątkowy wieczór. Niewielkie pomieszczenie za kuchnią dziadków ma teraz pełnić rolę pokoju dla gości. Nikomu nie jest łatwo z tym, że matka znowu tutaj mieszka. Przez kilka lat posiadałyśmy własny dom, tam dalej, w nowej wsi. Miałam dziesięć lat, kiedy się tam wprowadziliśmy; wcześniej mieszkaliśmy u dziadków. Ja dostałam piękny, jasny pokój na drugim piętrze, wersalkę, zasłonki w biało - niebieską kratkę i kwiecistą tapetę w kolorze bzu. W salonie był otwarty kominek, w którym w okresie świąt Bożego Narodzenia codziennie palił się ogień. Był to zupełnie nowy dom, który ojciec zbudował sam.

Pozostałyśmy tam także po rozwodzie rodziców, kiedy ojciec ostatecznie przepadł w ZSRR. Ja miałam trzynaście lat, matka trzydzieści trzy. Jednak pół roku później spakowałyśmy się do pudeł, a babka znów przygotowała nasze dawne pokoje. Utrzymanie domu bez pieniędzy ojca było niemożliwe. Matka ten dom sprzedała.

Wynalazłam dla siebie u dziadków pokój na poddaszu. Byłam tam całkiem sama, w sąsiednich pomieszczeniach stało mnóstwo starych mebli i rupieci, których nikt nie potrzebował. I znowu miałam pod łóżkiem nocnik, bo do latryny w sieni droga była długa i zimna. Rano zawartość nocnych naczyń opróżniano, a babka płukała je gorącą wodą.

Mnie ten powrót jakoś szczególnie nie przeszkadzał, za to matka cierpiała okropnie.

Pamiętam jej głos - taki niepewny, cienki, ostrożny głos, jakby się skradała. Ona właściwie ciągle czuje się tutaj nie u siebie. Stawia przede mną walizkę, pod ciężarem której aż się ugięła. Dziadkowie przekazują pozdrowienia dla Frydy: od Traudel i Lorenza, powtarzają jeszcze dwukrotnie, jakbym nie znała ich imion. Matka kiwa głową na znak wyjazdu. Czuję się znowu lżej.

Teraz matka wyprowadza z garażu trabanta. Ojciec go nie zabrał, i tak nie mógłby go wziąć ze sobą do ZSRR, to przecież tysiące kilometrów, zbyt wiele na takie stare auto. Bak jest prawie pusty, ale wystarczy jeszcze, by dojechać do Brendelów, droga przez cały czas prowadzi w dół. Siadam obok matki z przodu, przytrzymuję nogami walizkę i szybko opuszczam korbką szybę. Nie wiem, dlaczego to robię, bo przecież jest mi od tego chłodniej.

Kilkaset metrów przed gospodarstwem Brendelów matka wyłącza silnik i jedziemy na jałowym biegu. Chce zaoszczędzić benzynę na odcinku, gdzie jest tylko z górki. Potem widzę, jak wyciąga kluczyk ze stacyjki. Dziwne.

Po lewej stronie znajduje się nasyp drogowy, po prawej, w dół ku dolinie, rozciągają się łąki i las. Nagle słyszę jakieś kłapanięcie. Zaskoczyła blokada kierownicy. Droga skręca w prawo, ale my jedziemy prosto. Chwytam matkę za rękę, ona patrzy na mnie szeroko otwartymi oczami, a trabant wjeżdża na nasyp, powoli, bardzo powoli, przechyla się w prawo,

przewraca się najpierw na bok, a potem - w zwolnionym tempie - na dach. Nie jesteśmy przypięte pasami, więc w zupełnej ciszy przewracamy się najpierw na bok, a później sztywnie z przerażenia leżymy głowami w dół. Przez chwilę jest zupełnie cicho. Nie słyszę nawet jej oddechu.

To ja najpierw próbuję otworzyć drzwi, ale po kilku nieudanych próbach wyczołguję się na zewnątrz przez otwarte okno. Matka, wciąż milcząc, robi to samo.

A potem siedzimy roztrzęsione obok wywróconego do góry nogami niebieskiego trabanta. Matka trzyma w dłoniach kluczyk, który z niewiadomych powodów wyciągnęła ze stacyjki. Tak, to właśnie zrobiła. Nic nie mówi i ja nie mówię nic, jest mi za nią wstyd. Nie wiem, jak długo tak siedzimy, na pewno jest to kwestia minut, ale mnie się wydaje, że minęła cała wieczność. I wtedy słyszę z tyłu psy. Ich ujadanie przywraca mnie do rzeczywistości, z której wytrącił mnie nasz wypadek. To Henner, który wraca z lasu. Przez plecy ma przerzucony jakiś worek, a ja od razu zastanawiam się, co on w nim ma. Jestem pewna, że coś w nim ukrywa. Zauważa nas, podchodzi, ogląda samochód, kręci głową i mówi:

- Postawimy go.

W głowie mam całkowitą pustkę. Widzę, jak Henner odstawia swój worek, z którego odtąd nie spuszczam już wzroku, jak rozmawia z matką, jak ona potrząsa głową, wstaje, jak oboje jednym szarpnięciem podnoszą samochód - nie mam wątpliwości, że siła tego szarpnięcia pochodzi wyłącznie od Hennera - a więc jednym jedynym ruchem z powrotem stawiają trabanta na kołach. Potem matka wyciąga walizkę, stawia ją przede mną, po prostu u moich stóp, i nie patrząc na mnie, wsiada i odjeżdża.

Później czasami powtarzałam sobie, że wszystko, co się stało, musiało być spowodowane szokiem. Wiele, ale na pewno nie wszystko.

Biorę walizkę i odchodzę. Henner zarzuca sobie znowu worek na plecy, robi kilka długich kroków, dogania mnie, bierze ode mnie walizkę i mówi:

- Chodź!

Jego dom jest niedaleko. Skręcamy w prawo w drogę, idziemy, milcząc, i wchodzimy na podwórze. Psy skaczą na mnie, na co im pozwalam; obserwuję worek, ale nic się w nim nie rusza. Idę więc za Hennerem do domu, do kuchni. Stawia walizkę na krześle, worek rzuca koło pieca. Drewno, myślę, w środku jest tylko drewno, ale dlaczego on musi grzać? Przecież jest lato. Przesuwa mnie do stołu, sadza na krześle z oparciami na ręce, kręci głową i mówi:

- Z wami to są historie!

Stoi teraz przede mną kieliszek z przezroczystym napojem. Biorę go i piję; to wódka. Henner zdejmuje mi z ramion chustkę. Psy drapią w drzwi, bo zostawił je na zewnątrz. Nie chce świadków, myślę, mogłyby to rozszczękać w świat. Ta myśl mi się podoba. Niewiele brakuje, żebym się roześmiała. W worku to jednak nie drewno, coś się w nim porusza. Henner staje za mną i kładzie mi ręce na szyi. Teraz umieram. Jeśli teraz nie umrę, to nigdy już nie będę odczuwała lęku. Psy szaleją, a ja piję dalej. Puszczają mnie znowu, a ja opróżniam kieliszek do końca. Widzę teraz swoje nagie stopy. Na nogach nie mam butów; Henner trzyma je w ręce i niedbale rzuca obok pieca, koło worka. Nie myślę się, coś się w nim rusza.

- Teraz cię złapałem - mówi żartobliwie - i przywlokłem do swojej jaskini.

Potem się śmieje, a mnie ten śmiech wydaje się grzmotem.

Zając, myślę, w worku jest zając, on zastawił sidła i złapał zająca. Dla psów, dla tych bestii.

Nie wiem, w jaki sposób zaniósł mnie do innego pokoju. Może po prostu z nim poszłam. Okno otwarte, pożółkła

firanka wybrzusza się pod wpływem wieczornego wiatru. Pomiędzy lipami widzę szczyt domu Brendelów, w oknie światło - tam czeka na mnie Johannes. Moja sukienka ma boczny zamek, koniuszkami palców dotykam górnej ramy okna, farba łuszczy się i kawałkami opada na parapet, a ręce Hennera są szorstkie. Jak lunatyczka wychodzę z opuszczonych majtek i sukienki, przykrywającej teraz na podłodze moje stopy. Jego oddech na moim karku jest spokojny i równomierny, ale moje serce, jestem o tym głęboko przekonana, za chwilę się zatrzyma. Na chwilę się zatrzymuje, potem przyspiesza, moje ciało przenika dreszcz, całkowicie niekontrolowany dreszcz, kilka, jeden po drugim. Wtedy nagle Henner przytrzymuje mnie, aż miną. Pod stopami czuję małe kamyki; psy umilkły. Jego ręce naciskają z tyłu na moje biodra i wędrują w dół, ku wewnętrznej stronie ud. Potem tą swoją spokojną siłą rozkłada mi szeroko nogi. Ręce wspieram na parapecie, żeby nie upaść. Przypomina mi się wtedy starzec Zosima cytujący Ewangelię i mówiący do Aleksego: Jeżeli ziarno pszenicy wpadłszy w ziemię nie obumrze, zostanie tylko samo, ale jeżeli obumrze, przynosi plon obfity.

A potem opadam na łóżko i zapadam w głęboki rausz.

Niczego mu nie zabraniam, nawet kiedy podnosi mnie z łóżka i mówi, że mam uklęknąć. Nie sprzeciwiam się, kiedy okręca sobie rękę moim warkoczem i z góry patrzy jak robię, czego żąda. Teraz to jego przeszywa dreszcz. Niedługo będę miała siedemnaście lat. Kiedyś w tym wieku było się kobietą. Moja babka w wieku siedemnastu lat urodziła swoje pierwsze dziecko; tak to było dawniej.

Trochę też płaczę. Wtedy mnie unosi i sadza na brzegu łóżka. Osuwam się do tyłu i zamykam oczy. Czuję ciepłą wilgoć jego oddechu między nogami, potem jego usta, jego język - opadam. Z niego wydobywa się jakiś dźwięk jak z umierającego zwierzęcia - takie wściekłe, zrozpaczone

dyszenie. Nie ważę się otworzyć oczu. Chwyta moje nogi, rozwiera je szeroko, wchodzi we mnie, napiera coraz szybciej i szybciej, coraz gwałtowniej. Przesuwam się do tyłu, ale on trzyma mocno moje ręce, obraca mnie na brzuch i wsuwa mi poduszkę pod biodra. Nie rozumiem tego, chcę się obrócić, chcę zobaczyć jego twarz, ale on kładzie mi swoją ciężką dłoń na karku i mocno przytrzymuje. Zamykam oczy.

Krótko przed północą opuszczam dom Hennera z walizką w ręku. Na pożegnanie obejmuje rękami moją głowę i całuje mnie w czoło. Potem kładzie palec wskazujący na ustach. Kiwam głową, chyba nie dość wyraźnie, gdyż jego wzrok, który czuję na plecach, nie ma właściwej sobie pewności. Obracam się więc jeszcze raz i powtarzam gest, o który prosił.

Rozdział 6

Rankiem dzień po wstaję wcześniej niż Johannes. Kiedy wróciłam, on już smacznie spał - myślał pewnie, że zostanę na noc u matki.

Położyłam się obok niego całkowicie ubrana. Drżąc i pocąc się. Mój pot mieszał się z zapachem Hennera; jego zaschnięte nasienie tworzyło wyraźne wyspy na mojej skórze, która w tych miejscach była napięta. Okropnie się bałam, że Johannes się obudzi, dotknie mnie i będzie wiedział, co się stało - a jednak nie mogłam się zdecydować na zmycie go, tego zapachu. Zamknęłam oczy i głęboko wciągnęłam powietrze.

Nie mogłam spać.

Nie potrafiłam też zapomnieć.

A teraz to poranne słońce ze swoim odkrywającym wszystko światłem. Wymykam się z pokoju, schodzę na dół do łazienki i nupuszczam wodę do wanny. Marianna jest w sklepiku, Zygfryd w stajni, a Fryda w oczekiwaniu na gości stoi przy bramie. Jest dokładnie ósma, a ci z Bawarii nie przyjadą przed obiadem.

Kiedy się rozbieram, na całym ciele widzę jego ślady. Ogarnia mnie całkowita rozpacz. Co ja narobiłam? Co narobił ten Henner? Ślady są widoczne, wszyscy je zobaczą, oczywiście najpierw Johannes. Jak to ukryć? Na szyi mam odciski jego rąk, to samo na ramionach i udach. Nie ma co zaprzeczać ani wyjaśniać. Odeślą mnie z powrotem do matki, a hańba przylgnie do mnie jak smoła. Choć jest rok 1990, to w naszej wsi od wieków nic się pod tym względem nie zmieniło.

Na niebie kłębią się chmury, będzie deszcz. Powietrze się ochładza, podnosi się wiatr. Pogoda mnie uratuje! Przynoszę z walizki niebieską sukienkę z rękawkami do łokci, niebieską w białe kropki; sięga mi powyżej kolan. Na nią zakładam białą

kamizelkę, wokół szyi owijam szal. Twarz niczego nie zdradzi, twarz oszczędził.

Na samym dnie walizki leży koperta, ale to nie ja ją tam włożyłam. Nie jest zaklejona, a w środku znajduje się kartka, na której napisane jest tylko jedno zdanie: On w nocy leżał i ogarnęło go pożądanie. I dostał ją (Knut Hamsun, Błogosławieństwo ziemi.). Patrzę na Johannesesa, ale on śpi i o niczym nie wie. Strasznie mi wstyd, a mimo to zachowuję kartkę.

Później, podczas drugiego śniadania, gadam jak najęta, po prostu zagaduję Johannesesa z kretelem. Mówię o dziadkach i przebudowie domu, po tylu latach, kiedy Traudel zazdrościła innym, że od dawna mają pralkę automatyczną, podczas gdy ona wciąż jeszcze prała w balii, opowiadam o matce i jej bezrobociu, o ojcu i młodej Rosjance, z którą może się zaprzyjaźnić, a może ją znienawidzę, jeśli jest bardzo ładna, to znienawidzę ją z pewnością, a podobno jest niezwykle ładna, dziadek widział jej zdjęcie i powiedział „coś podobnego!”, a dziadek zna się na pięknych kobietach, co rusz wyruszał na łowy, jak to kiedyś określił właściciel gospody „Pod Lipą”, ale teraz to już dawne dzieje, teraz jest już przecież za stary. Johannes nic na to nie mówi. Tylko przy opowieści o młodej Rosjance spogląda w górę i stwierdza:

- Przecież ona jest tylko o rok starsza ode mnie.

Kiwam głową i spieszę dalej opowiadać, a w końcu do kuchni przychodzi Zygryd i mówi, że ci z Zachodu powinni wkrótce przyjechać.

- Tak - odpowiadam. - Już niedługo. Trwa to rzeczywiście niedługo i dobrze, bo

Fryda wystaje w oczekiwaniu już od kilku godzin. Robi wrażenie nieobecnej. Od czwartej rano krzątała się w kuchni. Kiedy zeszłam na śniadanie, wszystko było już ugotowane, tylko do podgrzania. Wreszcie słyszymy zupełnie nowy, cichy

szmer przy bramie wjazdowej. Najdłużej zapamięta ten moment Łukasz. Nigdy jeszcze nie widział takiego samochodu; nie sądziliśmy, że mogą przyjechać prawdziwym mercedesem. Fryda odsuwa się na bok i nadal patrzy gdzieś w dal, jakby oczekiwała jeszcze jakichś gości. Ale potem zamyka bramę i z opuszczoną głową idzie w kierunku Hartmuta, który wysiadł z samochodu. Ręce złożyła na dużym brzuchu i nieustająco kiwa głową.

- A więc jesteś? - pyta i kiwa jeszcze kilka razy.

Hartmut jest niewątpliwie bratem Zygryda. Nie to, że jest do niego bardzo podobny z wyglądu, ale ruchy, gesty, sposób unoszenia głowy, co raz to taki sam przelotny uśmiech. Podobnie jak Zygryd ma dużą czaszkę i szeroko rozstawione jasne oczy z dość gęstymi blond rzęsami, ale nos nieco smuklejszy i trochę węższe usta. Wygląda blado w porównaniu z Zygrydem, którego cerę zahartowały i przyciemniły codzienna praca w gospodarstwie, palące latem słońce i smagające zimą wiatry. Bracia witają się silnym uściskiem dłoni. Marianna rzuca mu się na szyję, płyną łzy. Ach, ta Marianna, jakże ona o siebie zadbała. Założyła szeroką czarną spódnicę w róże i dopasowaną czerwoną bluzkę z głębokim dekoltem.

Potem z samochodu wysiada żona Hartmuta. Obserwowałam ją już wcześniej. Opuściła osłonkę przeciwsłoneczną, na której zapewne jest lustro, poprawiła szminkę i brwi. A teraz kieruje się wprost ku Frydzie, wyciąga do niej rękę i mówi:

- Gizela. Cieszę się, że wreszcie możemy się poznać.

- W porządku - odpowiada Fryda, nie przyglądając jej się dokładnie.

Gizela ma na sobie szary damski garnitur z białą bluzką pod spodem. Jest blondynką, włosy ma wysoko upięte. Wygląda na osobę zadbaną. Ma płaskie czarne buty; jest

niemal tak wysoka jak Hartmut, a więc także jak Zygryd. Marianna, która zawsze chodzi w szpilkach, nawet do obory, sięga jej zaledwie do nosa. Witamy się wszyscy po kolei, podajemy sobie ręce, przedstawiamy się, a potem wspólnie patrzymy przez błyszczące szyby samochodu na tylne siedzenie, gdzie śpią dzieci. Mają siedem i dziewięć lat, Hartmut nie spieszył się z ojcostwem.

Fryda już pobiegła do kuchni, żeby podgrzewać jedzenie. My stoimy w kręgu przed domem. Marianna wzięła pod rękę Gizelę i tak uczepiona pokazuje jej gospodarstwo, Zygryd i Łukasz stoją przed otwartą maską mercedesa i zagląдают do środka. Johannes idzie za Hartmutem, który chyba zaraz zacznie płakać. Dobrze to rozumiem. Alfred kręci się trochę wokół, a potem wraca do swojej zwykłej codziennej pracy.

Mną nikt się nie zajmuje, Johannes też nie dziwił się mojemu strojowi: owiniętej wokół szyi chustce i kamizelce, kiedy nawet po ochłodzeniu jest jakieś dwadzieścia stopni. Wykorzystuję więc czas do obiadu i idę na spacer z Braćmi Karamazow. Aleksy odwiedził w końcu Gruszeńkę, choć musiał rozumieć, że ona, uwodząc go, chce go doprowadzić do upadku. Ale wszystko poszło innym torem.

Leżę w trawie za tartakiem. Słowa w książce wirują i rozplywają się.

Teraz sen morzy mnie jak złodziej: przychodzi z pochmurnego nieba i opada ciężko na moje umęczone miłością ciało. Znowu czuję ręce Hennera - szorstkie, delikatne, brutalne, pożądliwe - i tęsknię za nimi.

*

Kiedy wracam, dzieci już nie śpią. Biegają po podwórzu i wykrzykują do siebie głośno gardłowe słowa. Trudno mi je zrozumieć. Gizela stoi przy oknie w kuchni i patrzy na nie, a potem przyzywa nas wszystkich ruchem ręki do środka, na jedzenie. Hartmut siedzi obok Frydy i trzyma jej ręce w

swoich. Ta chwila należy tylko do nich. W tym niemym geście jest całe cierpienie syna uznanego za marnotrawnego i radość z jego powrotu. Kuchnia zrobiła się zbyt mała, my wszyscy byliśmy jak intruzi, jedzenie - niemożliwe. Wycofuję się bez słowa na górę, do królestwa pajaków, do mojej nowej ojczyzny.

Dzisiejszej nocy coś we mnie umarło.

Wyciągam kartkę, którą Henner włożył mi do walizki, i piszę kilka słów po drugiej stronie. Potem wsuwam ją z powrotem do koperty i najszybciej jak potrafię idę do jego domu. A tam ciągle jeszcze jest otwarte okno, przez które wczoraj patrzyłam na zagrodę Brendelów. Wrzucam kopertę do środka.

W tym samym momencie, kiedy koperta ląduje na podłodze, ogarnia mnie okropny wstyd. Zanim się obejrzałam i upewniłam, że nie ma nikogo w pobliżu, wspinam się na to okno, zabieram kopertę i chcę wychodzić, gdy Henner otwiera drzwi tego pokoju. Po raz pierwszy na jego twarzy maluje się zdziwienie. Zatrzymuje się, patrzy w stronę okna, potem spogląda na mnie i w tej chwili wiem, że muszę to wykorzystać, by się stamtąd wydostać. Jedno jedyne spojrzenie może zmienić całe życie. Jego spojrzenie zatrzymuje się na kopercie w mojej ręce, nagle się uśmiecha, a ja pojmuję, że zwłoka jest dla mnie przekleństwem. Podchodzi do mnie, wyjmuje mi kopertę z ręki, otwiera ją, wyciąga kartkę i odczytuje głośno słowa: „...i może ją mieć jeszcze raz

·

Nie ma słów na opisanie wstydu zmuszającego mnie do opuszczenia wzroku. Niech rozstąpi się ziemia. Stoję, a on milczy. Nie wiem, które uczucie jest silniejsze: nieokiełznana tęsknota za kolejną taką nocą, upokorzenie tamtej chwili i pragnienie, żeby się to wszystko powtórzyło, strach,

dziewczyńska duma i życzenie, by ktoś tę dumę złamał...? Stoję nieporuszona.

On podchodzi krok bliżej; znowu pił. Spowija mnie jego alkoholowy oddech, powoduje lekki zawrót głowy i mdłości.

- Aaaa... - mówi powoli i przesuwa dłonią po krótko ostrzyżonej głowie. - Aaaa, a więc może ją mieć jeszcze raz.... Hmm....

Przechodzi obok mnie i zamyka okno.

- Aaaa...

Pod drzwiami siedzą psy. Wydaje mi się, że nawet kiedy siedzą, są tak duże jak ja.

- Odważna jest - mówi znowu Henner. - Udziela mu więc łąski ostatnich odwiedzin... No to na co czeka, niech się rozbiera.

Wpatruję się w niego z niedowierzaniem, próbuję zrozumieć, co mogło go tak zboleć, ale nie rozumiem, jeszcze nie, a psy pilnują drzwi. Chwyta mnie z tyłu głowy i przyciąga do siebie. Potem odwija szalik z mojej szyi i nieruchomieje. Patrzy, otwiera usta, znów je zamyka. Jego palce dotykają śladów, jakie porobił mi wczoraj, spojrzeniem pyta mnie, czy ktoś wie, czy wie Johannes, czy za chwilę do domu nie przyjedzie policja, co zrobię, czy go wydam, czy teraz wszystko jest skończone? Wszystko.

Mój wstyd znika. Czekam na jedno jego słowo. A on wciąż patrzy na mnie i gładzi moją szyję. Oczy ma zaczerwienione od wódki. Pewnie oboje myślimy o tym samym.

On ma czterdzieści lat, ja szesnaście. Thorsten Henner i Maria Bergmann. To nie był gwałt, chociaż wszystko na to wskazuje. Teraz to ja mam nad nim przewagę. Ale ktoś taki jak Henner nie pozwoli szesnastolatce sobą rządzić.

Pojmuję to natychmiast. Szukam jego spojrzenia, błędzącego niespokojnie po pokoju, ale nie mogę go uchwycić.

- Nie, Henner, nikt nie wie, naprawdę nikt - mówię. - I ja nikomu nie powiem. Na pewno nie.

Przeszywa mnie wzrokiem, próbuje czytać we mnie, ale mi nie wierzy.

- Przyrzeknij mi to, Maryj ko! - mówi i chwyta mnie za ramiona, a ja przytakuję skwapliwie i odpowiadam:

- Tak, tak, przyrzekam!

Potem wychodzi z pokoju, a ja stoję tak sama; wraca jednak raz jeszcze, trzymając w ręku maść. Smaruje mi nią te miejsca na szyi, a potem je jeszcze całuje, te miejsca, te zdradzieckie znamiona jego winy, która nie była przecież tylko jego winą. I z każdym jego dotykiem czuję się tak, jakbym patrzyła na siebie jego oczami. Dziewczyna, ciemna blondynka z długim warkoczem, niezbyt wysoka, szczupła, wyprostowane plecy, poważna twarz. Wąski nos, małe usta, ale wargi pełne, duże oczy, bardzo jasne, w słońcu zielone.

Kiedy chcę iść, prosi, bym poczekała. Krążę po dawno nieużywanych pomieszczeniach, a psy towarzyszą mi nieufnie; nie są przyzwyczajone do dzielenia się z kimś swoim panem. Zatrzymuję się przed przeszkloną bieliźniarką. Henner jest znowu za mną, wkłada mi w rękę jakąś kartkę i obejmuje mnie. Cisza w tym domu jest większa niż gdzie indziej. Warczenie psów, skrzypiące progi, ciężki oddech - nie słyszę nic więcej. Są odgłosy, które nie mają żadnego związku z czasem. Tak jest tutaj, u Hennera. Opieram się o niego, a on pyta:

- Co ty właściwie teraz czytasz? Marianna mówi, że czytasz dużo...

- Braci Karamazow - odpowiadam z niemalą dumą, że to właśnie ta książka.

- A kto ci się bardziej podoba, Katarzyna Iwanowna czy Gruszeńka? - chce wiedzieć, a ja odpowiadam bez zastanowienia:

- Gruszeńka.

- Dlaczego ona?

- Bo jest namiętna. I szczerą. Myślę, że Katarzyna Iwanowna właściwie nie kocha Dymitra. Ona jest obłudna.

Henner śmieje się:

- To dobra odpowiedź, Maryjko. Uspokoiła mnie.

*

U Brendelów już mnie wyglądają. Siadają powoli do obiadu i Fryda mówi na mój widok:

- No, gdzie była tak długo? Wszyscy już jej szukali.

Przyjmuję to jako oznakę prawdziwej przynależności; brakowało im mnie, coś dla nich znaczę. Przyjemne uczucie. W odpowiedzi mamrocę coś o zmęczeniu i spacerze, ale jest tylko Alfred, który patrzy na mnie badawczo. Hartmut i Zygfyrd pogrążeni są w rozmowie. Wiele do opowiadania ma przede wszystkim Hartmut: o trudnych początkach w Bawarii, o studiach, dyplomie inżynierskim i o pierwszej posadzie u jakiegoś przedsiębiorcy budowlanego, wreszcie o założeniu własnego biura projektów i małżeństwie z Gizelą, córką nauczyciela z Garmisch - Partenkirchen. Spotkał ją w schronisku górskim podczas jazdy na nartach, są już prawie dziesięć lat razem. Dzieci były zaplanowane, a Gizela nie musi pracować. To interesuje głównie Mariannę, która musiała oddać do żłobka ośmiotygodniowego Johannesesa, co kosztowało ją wiele przepłakanych dni.

W tamtym czasie, kiedy jeszcze pracowała w mieście, było to normalne. Marianna nie jest ze wsi. Zygfyrd poznał ją na jakimś wieczorze tanecznym w mieście. Jej rodzice byli zatrudnieni w państwowej fabryce papieru, gdzie ona także pracowała na zmiany.

Gdy pojawił się Łukasz, od dawna pracowała w gospodarstwie. Potrzebowała lat, by przyzwyczać się do wiejskiego życia. Fryda bardzo odradzała Zygfrydowi to małżeństwo. Mówiła, że kobiety z miasta nigdy nie będą prawdziwymi gospodyniami - choć sama była przecież żoną nauczycielskiego syna. W każdym razie Marianna nie miała wiele czasu dla dziecka, ale nie musiała go oddawać do żłobka. Na ile to było możliwe, małym zajmowała się Fryda, nawet Alfred czasami przejmował obowiązki przy nim. Fryda powtarza często, że on jest w gruncie rzeczy poczciwą duszą. Ale tego to już nie jestem pewna.

Po mojej lewej stronie siedzi Johannes z aparatem, a po prawej Alfred, który zawsze ma pełne usta. On je w taki sposób, który mnie całkowicie odpycha, ale tutaj z jakiegoś powodu toleruje się wszystko, co on robi, nawet głośne mlaskanie, nawet to, że podczas jedzenia niemal dotyka głową brzegu talerza. Fryda uważa, że Alfred skraca sobie drogę od talerza do ust i mniej pokarmu mu spada. Jest jeszcze wiele niezrozumiałych dla mnie rzeczy w rodzinie Brendelów.

W każdym razie Hartmutowi powiodło się na Zachodzie. Ma swoje biuro z dwoma pracownikami, własny dom z ogrodem, mercedesa, miłą, choć nieco przeczuloną żonę (sądząc po tym, że zwraca uwagę na czarne paznokcie Alfreda i zupełnie zapomina wtedy o jedzeniu) i dwoje zdrowych dzieci, którym „trochę brakuje ogłady”, jak się później wyrazi Marianna. Fryda nie spuszcza z niego oczu i ilekroć jedzenie znika z jego talerza, natychmiast mu dokłada.

Goście będą mieszkać na tym samym poziomie co Fryda. Jest tam sześć pokoi: dwa Alfreda, a cztery pozostałe Frydy. Miejsca jest zatem dosyć. Te odwiedziny wypadły w najlepszym dla mnie momencie, bo pomogą mi zachować tajemnicę. Wieczorem jest gwałtowna burza, więc siedzę przy

oknie i spoglądam ku zagrodzie Hennera. Panuje tam całkowita ciemność.

Rozdział 7

Następnego ranka powietrze jest tak chłodne i ożywcze, jak nie było już od wielu tygodni. Apaszka na szyi ma pełne uzasadnienie. Zaraz po śniadaniu Johannes znika w swojej ciemni i nie wychodzi z niej nawet na obiad. Ta jego obsesja daje nam, a zwłaszcza Mariannie, wiele do myślenia. Obok zdjęć nieżyjących dzieci wiszą teraz zdjęcia gospodarstwa. Wszystko sfotografował: Alfreda wyrzucającego gnój ze stajni, Mariannę podczas karmienia kur, Zygfyda w tartaku, krowy na łące, owce, gęsi, kury, Frydę nad rzeką, jak wpatruje się w wodę, Frydę przy bramie, kiedy wygląda na drogę. No i mnie, ciągle mnie.

Już prawie ze sobą nie rozmawiamy, ciągle słyszę tylko: „Teraz jest dobre światło, usiądź tam. Nie, nie, nie tak, patrz w prawo. Nie, Mario, nie odwracaj w prawo głowy, tylko patrz w prawo!”.

Johannes właściwie nie widzi już mnie, tylko zdjęcia.

Jeszcze kilka dni temu robiłabym wszystko, żeby odzyskać jego zainteresowanie. Mówiłabym dużo, mamiała go, szalała - robiłabym po prostu to, co robi się w takich przypadkach, kiedy ukochany się odwraca. Teraz jednak zachowuję się cicho, niby to wspaniałomyślnie pozostawiam go czarowi nowego zamiłowania - jestem zupełnie na to obojętna. Tak naprawdę interesuje mnie tylko mężczyzna z sąsiedztwa.

Spaceruję po zagrodzie, kartkę trzymam w prawej ręce. Mija mnie Alfred człapiący do stajni. Błyska małymi oczami, policzki ma zapadnięte z powodu brakujących zębów. Gdy znika, czytam wiadomość. Tym razem kartka była bez koperty. To ta sama kartka, na której było zdanie „On w nocy leżał i ogarnęło go pożądanie. I dostał ją”. Pod spodem napisał: „Jutro po Ciebie przyjadę!”.

Jutro - to znaczy dziś. Koniec mojego spokoju.

Na dole w sklepie stoją Marianna i Gizela. Wydaje się, że się do siebie zbliżyły, rozmawiają o dzieciach i o tych dwudziestu latach bez rodziny, których nikt Hartmutowi nie zwróci.

Pozostawiam je same. Są rzeczy tak trudne do wypowiedzenia, że problemem jest każde słowo. Przeszkadzałabym im tylko.

Na zewnątrz widzę Hartmuta. Założył niebieski kombinezon Zygryda i idzie na drugą stronę, do tartaku. Dzieci biegną za nim z okrzykami radości. Dla nich to musi być wielka przygoda.

W kuchni siedzą Fryda i Volker. To ona ściągnęła go z miasta, ponieważ Hartmut chciał zobaczyć także drugiego brata. Niestety, bez wzajemności. Volker ledwie na niego spojrzał, a i Zygrydowi od dawna schodzi z drogi. Mnie zdaje się w ogóle nie dostrzegać. Jego tępe spojrzenie ożywia się nieco tylko wtedy, gdy na stole pojawia się coś do picia. Przypomina mi Alfreda. Jest zupełnie inny niż tamci bracia. Ma w sobie coś podstępnego, coś, co czyni mnie nieufną wobec niego. Towarzyszące mu opary alkoholu zasmradzają całą kuchnię. Teraz brakuje tylko Alfreda. Od samego początku miałam wrażenie, że mnie nie lubi, że mu przeszkadzam. Może przyzwyczał się do ściśle ustalonej hierarchii domowników, którą zaburzyło moje pojawienie się.

Jeśli Henner rzeczywiście po mnie przyjedzie, chcę mieć dla niego w prezencie ciasto; dlatego zostaję w kuchni i dokonuję pierwszego w życiu wypieku bez niczyjej pomocy. Volker i Fryda przenoszą się do pokoju obok. Sześć jajek, dwieście sześćdziesiąt gramów cukru, po tyle samo masła i mąki. Bez proszku do pieczenia. Starta skórka z całej cytryny, trochę wanilii, sok z czterech cytryn, mała szczypta soli. Czas pieczenia sześćdziesiąt minut, czterdzieści minut w temperaturze stu osiemdziesięciu stopni, dwadzieścia minut w

dwustu, należy uważać, żeby nie przypaliło się z wierzchu. Fryda często mi to powtarza.

Tutaj, w domu, czuję się bardzo dorosła. Okna na podwórzu są otwarte, do środka zagląda Alfred, wacha, co tak pachnie, kiwa głową i uśmiecha się tajemniczo. Inni się porozchodzili. Potem wszystko układa się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Ciasto wyszło piękne, ciemnozłote i wspaniale pachnie, a po drugiej stronie w sklepie słychać jego głos i śmiech kobiet. Zapewne prawi im komplementy. Natychmiast staję się zazdrosna o Gizelę. Ma dziś na sobie sukienkę, a jasne włosy opadają pachnącymi lokami na jasne ramiona. Ona niesamowicie pięknie pachnie. Nie mogłyśmy ustalić, co to za zapach, a wstydziłyśmy się zapytać. Chyba jakaś mieszanka róż i drzewa sandałowego. Ona pewnie myśli, że jesteśmy bardzo zaściankowe, Marianna i ja.

Nie rozumiem, co powiedział, ale Marianna woła:

- Mario, chodź do nas na chwilkę! Henner przyprowadził konie!

Pokroiłam właśnie ciasto i zapakowałam w papier śniadaniowy. Wkładam je do torby, podobnie jak kartkę i długopis.

Kiedy wchodzę do sklepiku, w okamgnieniu się uspokajam. On wprawdzie z nimi żartuje, ale jego spojrzenie jest tylko dla mnie. Odzywa się spokojnym, niemal obojętnym tonem:

- Aaa, tu jest Maria. Przyprowadziłem klacz, chciałaś przecież dziś ze mną pojeździć.

- Tak - powiadam. - Idę.

Pomaga mi wsiąść na osiodłaną Jellę, na jego ogierze leży tylko derka.

- Przywieź ją całą z powrotem, Henner! - woła za nami Marianna.

Kiwa szybko głową, a ja wstydzę się okropnie.

Jedziemy kłusem drogą do lasu wzdłuż torów kolejowych, a potem zawracamy do zagrody. Henner wprowadza konie do stajni i zamyka bramę. Nie jestem pewna, ale chyba na końcu drogi widziałam Alfreda.

W kuchni Henner gotuje kawę, a ja wyciągam ciasto. Jest jeszcze ciepłe i obłędnie pachnie cytryną. Henner bierze kawałek i je.

- Fryda upiekła? - pyta.

- Nie, to upiekłam sama.

Uśmiecha się i zapewne jest trochę zdziwiony.

- Jest doskonale w smaku, Maryjko - odpowiada. - Już od dawna nikt dla mnie nie piekł ciasta.

Kiedy to mówi, twarz mu ciemnieje, dziwnie na mnie patrzy. Wstaję, podchodzę bardzo blisko niego, a on pociąga mnie na kolana.

Potem kładzie mnie na stole w kuchni i tam mnie bierze. Przy drzwiach leżą psy. Poukładały swoje ciężkie łby na łapach i patrzą na nas w ciszy.

Później pijemy zimną kawę i palimy. Na stole leży tomik poezji. Trzymałam na nim głowę, kiedy Henner stał przy stole i unosił mi spódnicę. Jedna zwrotka jest zakreślona, obok ktoś napisał coś nieczytelnie. Myślę, że to nie Henner pisał, to kobiece pismo. Wiersz mi się podoba, choć nastraja mnie nostalgicznie.

Jesteśmy wędrowcami, co celu nie znają, Chmurami, które pędzi wiatr, Kwiatami, co w chłodzie śmiertelnym czekają, Drżąc, na ścięcie, swój ostatni akt. (Georg Traki, Pieśń do nocy.)

- To książka mojej matki - mówi. - Wszystkie książki tutaj należały do niej.

Długo na mnie patrzy.

- Ona też nie była stworzona do pracy w gospodarstwie. Dokładnie tak jak ty.

A potem opowiada mi o matce, o której dotąd słyszałam tylko, że piła i była zdziwaczała.

Helena Henner, z domu Mannsfeld, po pierwszym mężu Bechert, matka Hennera, w chwili jego urodzin miała już trzydzieści pięć lat. Urodziła się w stolicy w 1915 roku i pochodziła z mieszczańskiej rodziny. Była jedynaczką. Jej ojciec poległ na wojnie; zmarł w lazarecie po amputacji obu nóg. Rodzinie żyło się coraz trudniej. Majątek matki wystarczył jeszcze na kilka lat, ale na początku lat trzydziestych nie pozostało już nic. Matka Heleny nie wyszła już później za mąż.

Helena poszła do dobrej szkoły i otrzymała solidne wykształcenie, miała dobre maniere, ale brakowało jej pieniędzy. W wieku osiemnastu lat spotkała prawnika Ernsta Becherta, który z miejsca się z nią ożenił, choć nie posiadała posagu. Ernst robił karierę i został członkiem NSDAP. Nie mieli dzieci. W 1940 roku został powołany do wojska, skąd wrócił w 1945 z ciężkimi obrażeniami głowy i bez jednego oka. Kiedy weszli Rosjanie, powiesił się w kuchni. Helena nie uciekła na czas. Ulice pełne były rosyjskich żołnierzy, a jej urodę trudno było ukryć nawet pod brudnymi chustkami, jakie zakładała na głowę. Dopadli ją w piwnicy domu: nie wiedziała, ilu ich było, w każdym razie dziesiątki. Jeden z nich tak ją poranił, że następni, którzy dopiero czekali na swoją kolej, nie chcieli jej już mieć, takiej półżywej. Przez kilka miesięcy krwawiła jak zaszlachtowane zwierzę. Wyznała to mężowi dopiero, gdy leżał na łożu śmierci - i on dopiero wtedy wszystko zrozumiał.

Latem 1945 roku wyniosła swoje udęczone ciało z miasta. Nikt dokładnie nie wie, w jaki sposób przybyła do Turynii, do naszej wsi. W gospodarstwie Hennerów dostała pracę i mały pokoik, a rok później ożenił się z nią najmłodszy syn gospodarzy, Franz, który przeżył wojnę mimo

odmrożonych palców u nóg i odłamków granatów w ciele. Miał dwadzieścia dziewięć lat, ona trzydzieści jeden. Pozostali synowie polegli na wojnie.

Wreszcie w roku 1950 na świecie pojawił się Henner. Nikt nie liczył, że ona jeszcze urodzi dziecko. W czasie ciąży zaopatrzyła się w książki i ku ubolewaniu rodziny Hennerów całe dni spędzała na czytaniu. A później całkowicie zamknęła się w świecie książek i alkoholu i nigdy już z niego nie wyszła.

Henner wzdycha i kładzie głowę na moim łonie, a ja przykrywam go swoją sukienką. Płacze. Tak, płacze, a jego łzy płyną po moich nagich nogach, które wciąż jeszcze drżą. Widziałam go w takim stanie tylko raz, potem już nigdy. To miłość go zmiękczyła.

Rozdział 8

Kiedy wracam do gospodarstwa Brendelów, Marianna wita mnie słowami:

- Długo jeździliście.

Kiedy przechodzę obok niej, nieoczekiwanie podchodzi bardzo blisko i wacha mnie. Nigdy tego nie zapomnę: jej nos niemal mnie dotyka, a ona unosi głowę i przygląda mi się badawczo. Wstrzymuję oddech i żałuję, że nie zmyłam z siebie zapachu Hennera. Nagle uśmiecha się i mówi:

- Pachniesz jak stajnia pełna koni. Idź i weź szybką kąpiel przed kolacją.

W milczeniu kiwam głową. Tym razem mi się upiekło.

Hartmut wreszcie nabrał kolorów. Wstał wcześniej razem z Zygfydem i pomagał mu w pracy. Policzki mu się zaróżowiły, ochoczo pochłania też jedzenie. Gizela ciągle patrzy w jego stronę, ale nic nie mówi. Dzieci przekomarzają się z Łukaszem i nieustannie paplają. Nikt z nas nie jest przyzwyczajony do takiego rejuwachu przy stole. Alfred rozgląda się ponuro dookoła; na mnie zawiesza wzrok na dłużej. Wpatruję się w kieliszek z winem i pocę się ze strachu.

Nagle Hartmut pyta, czy zajrzemy do swoich akt Stasi, jeśli będzie taka możliwość i jeśli do tego czasu wszystkie nie zostaną zniszczone. Zygfyd śmieje się i mówi, że on nie musi, bo i tak wie, co tam może być i kto mógł być informatorem. Potem stwierdza, odwracając się ku mnie:

- Z pewnością jedyną osobą przy tym stole, która ma zupełnie czyste akta, jeśli w ogóle je ma, jest Maria.

Za te słowa najchętniej cisnęłabym w niego swoim talerzem. Przecież byłam na pierwszej demonstracji w P. i razem ze wszystkimi krzyczałam na całe gardło: Wir sind das Volk! ((niem.) Naród to my!), choć przyznaję, że razem z moją przyjaciółką Katią byliśmy tam nie tylko ze względu na

demonstrację: później chcieliśmy pójść jeszcze na lody włoskie. Ale Zygfryd nie zaprzestaje docinków.

- Maria - mówi z poważną miną i skrzyżowanymi ramionami - była kiedyś na obozie w głównym Pionierlager (W dawnej NRD istniały komunistyczne obozy dla pionierów, miejsca wypoczynku i indoktrynacji dzieci i młodzieży szkolnej. Największy i najbardziej znany był obóz o nazwie „Pionierrepublik Wilhelm Pieck” nad jeziorem Werbellinsee w Brandenburgii.). Superinformacja do akt kadrowych, co? Wciągano tam przecież całą przyszłą elitę, prawda, Mario?

Jestem bliska płaczu. Skąd on znowu wie o obozie w Pionierrepublik? Gizela patrzy na mnie nic nierozumiejącym wzrokiem, więc muszę opowiadać. Nie spuszcza przy tym oczu z Zygryda. Z każdą chwilą robi się coraz cichszy, a na końcu jest nawet trochę blady.

Miałam dwanaście lat, byłam najlepszą uczennicą i zastępcą przewodniczącego rady koleżeńskiej szkoły Ericha Weinerta w R. Pewnego dnia dyrektorka szkoły wezwała do siebie mnie i matkę i powiedziała nam, że zostałam wytypowana z naszego powiatu do wyjazdu na obóz do centralnego ośrodka pionierów „Wilhelm Pieck”. Na sześć tygodni, w czasie roku szkolnego. Takiego wyróżnienia nie można było odrzucić. W ten sposób w lutym 1986 roku wraz z wieloma innymi dziećmi z innych powiatów i grupą opiekunów pojechałam pociągiem w kierunku stolicy.

Dalej, nad jezioro Werbellinsee zawiozły nas autobusy. Już pierwszy dzień okazał się katastrofą: nie miałam pionierskiej czapki, chustę zawiązywałam węzłem harcerskim, a nie pionierskim, nie miałam też emblematu na rękawie białej bluzki. Nigdy nie miałam bluzki z emblematem. Matka zakładała mi na wierzch dzianinową bluzę i nikomu to nigdy nie przeszkadzało. Na pierwszym uroczystym apelu musiałam stać najpierw na końcu pierwszego rzędu, potem na środku

placu apelowego, gdzie wobec wszystkich dostałam specjalną naganę za brak szacunku do organizacji pionierów, a tym samym do demokratycznego państwa niemieckiego. Później zostałam wezwana do biura kierownika. Za pośrednictwem znajdującego się we wsi urzędu gminy o sprawie powiadomiono matkę, która jeszcze tego samego dnia nadała przesyłkę z brakującymi rzeczami i trzy dni później wyglądałam jak wszystkie inne dziewczynki: ciemnoniebieska spódnica, biała pionierska bluzka, porządnie zawiązana czerwona chusta i niebieska furazerka na głowie.

Było mnóstwo reguł, których musieliśmy przestrzegać: jak należy wieczorem składać zdjęte ubranie i przewieszać je przez krzesło, żeby chusta leżała zawsze na wierzchu, jak właściwie ścielić po wojskowemu łóżka, kiedy trzeba wstać, żeby przy wtórze głośników, zainstalowanych we wszystkich domach na całym terenie obozu, robić poranną gimnastykę. Podczas tej gimnastyki z głośników płynęła melodia marsza, którego refren pamiętam do dziś:

Naprzód, pionierzy, ruszajmy przed siebie,

Flaga niech łopocze na bezchmurnym niebie! Droga nas prowadzi w światło nowych dni, Dumnych, że pionierzy - to jesteśmy my!

Potem był długi dzień: nauka jak w szkole, zwiększona liczba godzin rosyjskiego i wychowania obywatelskiego. Posiłki jadaliliśmy wspólnie w dużej sali, gdzie pod stołami biegały karaluchy. Wcześniej nigdy nie widziałam karalucha i brzydziłam się nimi okropnie. Trzy razy dziennie były apele, które zaczynały się i kończyły zawołaniem: „Pionierzy Thalmanna, czuwajcie!” i naszą odpowiedzią: „Czuwamy!”. Wieczorem wspólnie oglądaliśmy programy Aktuelle Kamera, czasami także Schwarzer Kanal z Karlem - Eduardem Schnitzlerem. W którymś z programów pokazano stoisko owocowo - warzywne w Niemczech Zachodnich: piękne,

błyszczące owoce. Następnie reporter brał niektóre owoce do ręki i pokazywał ich drugą stronę, a tam brązowe plamy i pleśń. Nieapetyczne.

- Sami widzicie: nie wszystko złoto, co się świeci - powiedziała wtedy triumfalnym tonem nasza kierowniczką. W następnym ujęciu pokazany był bezdomny, który unosił rękę w proszalnym geście. Byliśmy zaszokowani.

Każdy z nas pisał pamiętnik; mieliśmy pisać wszyscy i już wkrótce dowiedzieliśmy się dlaczego. Pewnego ranka przyszła bowiem jakaś osoba z nadzoru i wszystkie pamiętniki zabrała ze sobą. Następnego dnia nasze dzieła leżały na dole we wszystkich domach, w których kwaterowaliśmy, i każdy mógł do nich zajrzeć. Nasze myśli stawały się własnością wszystkich. Nie mieliśmy tam nic swojego: wszystko było wspólną własnością.

Konfiskowano nam przedmioty i zabawki, które w sposób widoczny pochodziły z imperialistycznego Zachodu. Ja miałam taki piórnik z małą brytyjską flagą i koszulę nocną z nadrukiem jakiejś postaci z amerykańskiej kreskówki, ponieważ od czasu do czasu dostawałyśmy z matką używane ubrania od jej dalekiej krewnej z Zachodu.

Moje koleżanki z pokoju nie posiadały takich kompromitujących rzeczy.

Listy, jakie pisałam do domu - zawsze tej samej treści - oddano mi otwarte, a następnie zostałam wezwana do biura kierownika. Siedziało tam trzech ludzi, z których jeden odczytywał je na głos. Już po wysłuchaniu pierwszego z nich starałam się skupić i odgadnąć, czy to moja jedyna przyjaciółka Silke idzie wzdłuż widocznej przez okno drogi. Trudno było ją rozpoznać, ponieważ nosiła takie same rzeczy jak wszyscy. Czytający napomniął mnie, żebym uważnie słuchała, choć przecież znałam na pamięć te parę linijek, napisanych w każdym liście:

Kochana mamó, ten obóz jest jak więzienie. Proszę, zabierz mnie do domu. Nie mogę tu zostać. Jestem bardzo smutna i często płacę, przede wszystkim w nocy. Twoja Maria.

Potem powiedzieli mi, że jeśli jeszcze raz napiszę coś takiego, to i ja, i cała rodzina popadniemy w takie tarapaty, o jakich mi się nie śniło.

Właściwie wtedy już się nie bałam. Myślałam sobie, że gorzej być nie może. I nie było gorzej. Matka nigdy nie dostała moich listów i nikt nie przyjechał, żeby mnie zabrać. Po jakichś trzech tygodniach z zaplanowanych sześciu ja sama nie chciałam już w ogóle wracać. Mieliśmy na obozie marsz z pochodniami: wszyscy razem, a było nas kilkaset osób, szliśmy w morzu świateł i śpiewaliśmy Małego trębacza i Bagiennych żołnierzy. Drogę pochodu po terenie obozu aż do wielkiego placu apelowego oświetlały nam pochodnie. Tam pochód się zatrzymał, a my odśpiewaliśmy ostatnią zwrotkę Bagiennych żołnierzy.

Był to moment mojej wewnętrznej przemiany, coś we mnie naprawdę pękło, umarł mój opór. Czułam, że stanowię jedność ze wszystkimi pozostałymi, że jesteśmy silni i niepokonani. Była to podniosła, trudna do opisania chwila i zarazem najbardziej niesamowity moment w trakcie całego pobytu.

Gizela prosi mnie, żebym zaśpiewała te piosenki, a ja nie bez wzruszenia intonuję Bagiennych żołnierzy, a po chwili dołączają do mnie Zygfyrd, Hartmut, Marianna, Alfred i Fryda, dokładnie w takiej kolejności.

Jak okiem sięgnąć dookoła Pustkowie i bagniska w krąg. Ptak nam nadziei nie przywoła Nie da schronienia krzywy dąb. Myśmy bagienni żołnierze, Szpadłami idziemy kopać torf.

Marianna jasnym głosem nuci tylko melodię, ponieważ nie zna tekstu. W ostatniej zwrotce, przy słowach:

Ale my skargi nie znamy, Minie wreszcie zimy czas.
Kiedyś znowu zaśpiewamy: Kraju miły, kraju nasz!

Zygfyrd nie może się pohamować i ostatnie słowa śpiewa tak głośno ponad naszymi głowami, że wszyscy milkniemy, a Gizela mocno zaciska dłonie na krześle. Potem nastaje cisza, a ja trochę się wstydzę za Zygfyda. Każdy z nas ma teraz w głowie swoje własne obrazy. Kiedy milczenie nazbyt się przeciąga, opowiadam do końca swoją historię. Mówię o tym, jak po sześciu tygodniach wróciłam do domu, a matka spytała mnie z płaczem: „Co oni z tobą zrobili?“, bo przy obiedzie śpiewałam rosyjskie pieśni bojowe. I o tym, jak bardzo tęskniłam za koleżankami. Musiało upłynąć trochę czasu, nim znowu odnalazłam się w swoim świecie, a tęsknota za obozowym życiem przerodziła się ostatecznie w niechęć do wszystkiego, co kolektywne.

Zygfyrd nie tak to sobie wyobrażał. Teraz patrzy na mnie jakby z lekkim współczuciem, Gizela uważa, że to wszystko było „barbarzyńskie“, tak samo jak naziści, Hartmut jej przytakuje, chociaż przed chwilą żarliwie nam wtórował w śpiewie. „Świnie!“ - powtarza co chwila. „Nędzne dranie. Dzieci tam łamali“. Fryda podaje deser. Tiramisu. Coś, czego jeszcze nigdy nie jedliśmy. Już sama nazwa brzmi obiecująco. Przygotowała to Gizela, która przywiozła też potrzebne składniki. Zastanawiam się, czy Hartmut ma rację i czy mnie rzeczywiście złamali, ale myślę, że przesadza.

Nikt z nas nie zauważył, że podczas śpiewu Johannes robił nam zdjęcia. Jeszcze dziś wieczorem zobaczę na tych zdjęciach zawieszony na mnie wzrok Alfreda. Późno, późno kładziemy się spać, a Johannes delikatnie otacza mnie ramieniem.

Po drugiej stronie, w drugim pokoju leży moja torebka, a w niej nowa kartka, jaką dostałam od Hennera. Niech poczeka do jutra.

Rozdział 9

Zaniedbałam Braci Karamazow. Akurat teraz, kiedy stało się coś okropnego. Fiodor Karamazow nie żyje. Zamordowany - i wszystko wskazuje na to, że mordercą jest jego syn Dymitr. W tym głębokim nieszczęściu, kiedy jest mu już wszystko jedno, Gruszeńka okazuje mu swoją miłość. Czasami miłość wszystko ratuje.

Zanim zacznę czytać następny rozdział, szybko wyciągam wiadomość od Hennera: „Przyjdź i zostań ze mną, tylko jeden dzień...”. Kiedy czytam jego słowa, czuję się, jakbym leciała w otchłań, i za każdym razem chcę zostawić wszystko, nawet Johannes, i biec do niego. Nie robię tego jednak. Mam takie przeczucie, jakie miał starzec Zosima, kiedy kłaniał się Dymitrowi. Nie wiem, jakie cierpienie może czekać w przyszłości Hennera, ale obawiam się, że ma ono związek także ze mną.

Na dole wszyscy siedzą przy śniadaniu. Dzieci pochłania podwórze. Kręcą się po stajni, po łąkach i przy stole pojawiają się tylko podczas posiłków. Ja nie mam ochoty na jedzenie, całą mnie wypełnia Henner i nie ma we mnie miejsca na cokolwiek innego. Johannes opowiada w tej chwili, jak mnie poznał w P., podczas pierwszej demonstracji. Były na niej tysiące ludzi, nie widać było początku ani końca pochodu. Przechodziliśmy koło wielkiej kawiarni i dalej w kierunku rynku, porwał nas nurt demonstrantów. „Naród to my! Naród to my? - skandował tłum, a ja miałam podobne odczucie jak dawniej w Republice Pionierów, tyle że tam było to jeszcze silniejsze, może przez te pochodnie i pieśni.

Obie z Katią byłyśmy już zmęczone skandowaniem i chciałyśmy właśnie skręcić do lodziarni, kiedy nagle zauważyłyśmy koło siebie armatki wodne. Ludzie zaczęli krzyczeć, niektórzy dalej skandowali „Naród to my? - a my z Katią straciłyśmy się z oczu. Obok mnie szła jakaś kobieta z

wózkiem. Wszędzie byli policjanci z karabinami maszynowymi. Były wymierzone w nas. A potem chlusnął strumień wody. Kobieta z wózkiem potknęła się, wózek przechylił się na bok i poleciał w tłum. Ktoś go chwycił i wyjął ze środka dziecko, które kwiczało jak prosię, kobieta leżała na ziemi i krzyczała, krzyczała, a gdy ten mężczyzna chwycił ją i pociągnął ze sobą, dziecko niemal wysliznęło mu się z rąk. Zakryłam sobie twarz rękami i stałam bez ruchu. Wszyscy bezładnie biegali, ale nikomu nie udało się uciec. Myślałam, że będą strzelać. Po prostu wymierzą i kule dosięgną tych, którzy stoją z przodu. A ja byłam na przedzie. Katia się nie odnalazła, ale obok mnie był Johannes - znaliśmy się z widzenia od dzieciństwa - który mnie odciągnął, przepchnął przez tłum i wyprowadził w boczną ulicę. Biegliśmy i biegliśmy, nie wiedząc dokąd, a za nami podniósł się wielki tumult. Coś się stało, ale my już nie wiedzieliśmy co. Johannes wciągnął mnie do jakiejś bramy, zatrzasnął drzwi i wepchnął do środka. Tam pierwszy raz mnie pocałował. To było w październiku 1989 roku. Wtedy mieliśmy wrażenie, że udało nam się ujść z życiem, ale później okazało się, że nic nadzwyczajnego się nie stało.

Gizela patrzy z takim zdumieniem i niedowierzaniem, jakby Johannes opowiadał jakąś baśń. Pewnie myśli, że jest w tym wiele przesady, ale nie, Johannes wcale nie wydobyl dramatyizmu tamtej sytuacji. Gizeli najwyraźniej i to już wystarczyło. Skoro tak ją zaszokowała ta niewinna historia, to zastanawiam się, czy Hartmut powiedział jej prawdę o więzieniu. Czy opowiadał jej na przykład, jak leżał przez trzy dni z wysoką gorączką, zanim wezwali do niego lekarza. Opowiadał o tym Zygfydowi, on opowiedział Mariannie, ta znów Johannesowi, a teraz wiem także ja. Nie jestem jednak pewna, czy wie o tym Gizela. Czy Hartmut mógł przed nią coś takiego przemilczeć? A jeśli tak, to dlaczego?

Potem jednak myślę o mojej tajemnicy i pojmuję, że istnieją rzeczy, które można opowiedzieć od razu, inne muszą poczekać na swój czas, a jeszcze inne na zawsze pozostaną niewypowiedziane.

Ta historia miała oczywiście swój ciąg dalszy. W końcu wyruszyliśmy w długą powrotną drogę do domu i na dworcu odnaleźliśmy Katię. Kiedy mnie zobaczyła, rozplakała się i rzuciła mi się na szyję. Pojechaliśmy pociągiem, a potem każde z nas wróciło do swojej wsi. Ja poszłam jeszcze z Johannesem aż do jego zagrody, do szopy z sianem, gdzie długo się całowaliśmy. Katia miała przekazać wiadomość o mnie mojej matce.

Kilka dni później w szkole byliśmy wzywani do dyrektorki. Wszyscy po kolei. Ja musiałam wyjaśniać, gdzie byłam w dniu demonstracji, a w końcu także, czego tam szukałam. Do dziś nie jestem pewna, kto nas wydał, ale Katia wyszła od dyrektorki szybciej niż ja.

W tamtym czasie stałam się bardziej widoczna. Zdecydowałam, że nie wezmę udziału w Jugendweihe, a zamiast tego przystąpię do konfirmacji (Jugendweihe to świecki obrzęd inicjacyjny, symboliczne wejście w dorosłość. W NRD miał charakter ściśle ideologiczny. Konfirmacja w kościele protestanckim stanowi odpowiednik katolickiego bierzmowania, ale nie jest sakramentem.). Na moją nieskazitelną dotąd kartę padł cień. Myślę, że Zygfyrd nie ma racji, nie mam tak zupełnie czystych akt.

Z różnych powodów nie wzięłam udziału w Jugendweihe, choć byłam jedyną taką osobą w klasie. W tamtym czasie często bywałam w domu pastora, a jeden z jego synów, David, często przychodził do nas. Przechodził przez płot i przynosił mi prezenty. Do rodziny pastora często przyjeżdżali goście z Zachodu, więc David był świetnie zaopatrzony w pyszną czekoladę, żelki, plakaty gwiazd rocka, a czasami nawet w

płyty. Siadaliśmy więc w pokoju mojej matki i słuchaliśmy zakazanej muzyki. Byłam w nim okropnie zakochana. Co kilka dni jadałam u niego kolację i żarliwiej niż dzieci pastora wypowiadałam przed jedzeniem słowa modlitwy: Przyjdź, Panie Jezu, bądź naszym gościem i pobłogosław dary, które nam zesłałeś. Żadne z tych dzieci nie było pionierem, żadne nie należało do komunistycznej Wolnej Młodzieży Niemieckiej. Rozmawiali o innych, mnie nieznanymi rzeczach i byli mądrzy jak nikt inny w naszej wsi. Mój podziw dla nich nie miał granic.

Kiedyś, na długo przed wielką ceremonią, cała klasa ósma otrzymała do domu tekst ślubowania składanego podczas Jugendweihe. Mieliśmy się duchowo przygotować na czekającą nas uroczystość. Tekst rozpoczynał się następująco:

Drodzy młodzi przyjaciele!

Jeśli jako młodzi obywatele naszego państwa, Niemieckiej Republiki Demokratycznej, wierni konstytucji, jesteście gotowi pracować wraz z nami, walczyć na rzecz szlachetnej idei socjalizmu i czcić rewolucyjne dziedzictwo narodu, odpowiedzcie: Tak, ślubujemy!

David powiedział mi wtedy, że powinnam się dobrze zastanowić, co to znaczy, zanim coś takiego poważnie przyrzeknę. Opowiadał też, że niektórzy ludzie po prostu zniknęli, dlatego że byli przeciwko państwu. On to podobno słyszał od ojca, a ojciec - jak mówił - nigdy nie kłamie. W tym samym czasie był u nas akurat jeden z braci matki i opowiadał o swoim przyjacielu, który dwa lata wcześniej został aresztowany za posiadanie i rozpowszechnianie literatury imperialistów - bo miał kilka książek zakazanych filozofów. Poszedł do więzienia w Budziszynie, skąd go po roku wypuszczono, ale wkrótce zachorował na chorobę nowotworową o bardzo agresywnym przebiegu i w niedługim czasie zmarł. Miał wtedy dwadzieścia dziewięć lat i był ojcem

dwojga dzieci. Matka z bratem dużo szeptali w tajemnicy, a z tego, co słyszałam, przypuszczali, że choroba tego młodego człowieka została mu jakoś zaszczepiona w więzieniu. Strasznie dużo musiałam wtedy o tym rozmyślać, bo rzeczywiście nie wyobrażałam sobie, że przejdą mi przez gardło słowa o „wielkiej i szlachetnej sprawie socjalizmu”. Do tego jeszcze zniknął syn urzędniczki z poczty, który po pijanemu wszedł w mieście na maszt z flagą, krzycząc co chwila: „Cholerne państwo!”. Miał na imię Anton - nigdy więcej go już nie widzieliśmy. David uważał, że nie powinnam ignorować takich znaków.

Ślubowanie składało się z kilku części, a ostatnia brzmiała:

Jeśli jako prawdziwi patrioci jesteście gotowi pogłębiać trwałą przyjaźń ze Związkiem Radzieckim, umacniać braterskie więzi z krajami socjalistycznymi, walczyć w duchu proletariackiego internacjonalizmu, walczyć o pokój i bronić socjalizmu przed imperialistycznymi atakami - odpowiedzcie: Tak, ślubujemy!

W tym miejscu miałam swój własny, czysto osobisty problem. W żadnym razie nie chciałam pogłębiać przyjaźni ze Związkiem Radzieckim, ponieważ mój ojciec zostawił nas z powodu młodej kobiety z tego kraju. Najpierw spędzał tam większą część roku, jeżdżąc zawodowo w sprawach gazu ziemnego, a wreszcie przepadł tam zupełnie i słuch o nim zaginął. Miałam więc osobisty powód do nienawiści wobec Związku Sowieckiego. Nie cierpiałam go, nie znosiłam też języka rosyjskiego, choć czyniłam z niego użytek, czytając listy pisane po rosyjsku, jakie matka regularnie znajdowała w kieszeniach marynarki ojca, i w ten sposób dowiadując się o jego sprawach.

Poza tym ogromniała we mnie tęsknota za kolorową różnorodnością Zachodu. Ja też chciałam mieć te wszystkie

rzeczy, nie chciałam przeciwko nim walczyć, chciałam je posiadać. Jednakże najważniejszym powodem była moja pierwsza miłość - David, dla którego zrobiłabym niemal wszystko.

Podjęłam więc decyzję. Matka płakała i mówiła, że jestem co najmniej tak samo uparta jak ojciec, jeśli nie znacznie bardziej. Jej gniew był do przewidzenia, ale miał swoje granice. Ja byłam niezachwiana. Ojciec Davida często powtarzał, że Bóg jest większy niż socjalizm, więc wołałam uczyć się na pamięć tekstów z katechizmu, wersów Biblii i wyznania wiary.

Tego wszystkiego jednak nie opowiadałam; Gizeli wystarczyła zaledwie mała część tej historii. Wydaje się, że ona nie chce nic wiedzieć o świecie, który oglądała z drugiej strony muru, odczuwając jedynie mieszaninę współczucia i lekkiej pogardy. W takich rozmowach widać, jaki dystans nas dzieli. Widziałam, jak wzięła dłoń Hartmuta i trwożnie objęła ją swoimi dłońmi, jakby się obawiała, że się jej wymknie - zanurzy się w przeszłości i tam pozostanie.

Potem nagle rozmowa schodzi na temat Volkera. Nikt dokładnie nie wie, dlaczego zaczął pić. Nie było przecież tak, że wszyscy w spółdzielni pili. właściwie dobrze mu się powodziło. Tylko z ojcem, Heinrichem, często dochodziło do kłótni, co wcale mnie nie dziwi, jeśli prawdą jest, że Volker jest synem Alfreda. Może on to przeczuwał, ale nikt mu tego nie powiedział. Babka Traudel zawsze powtarza, że kłamstwo zżera człowieka od środka. Długo można je trzymać pod pokrywką, ale w końcu wykipi - mawia. Alkoholizm Volkera jakoś jest z tym związany, jestem o tym przekonana. On w młodości miał nawet dziewczynę, przez jakiś czas mieszkali tutaj w zagrodzie, na poddaszu, gdzie teraz my mieszkamy. Ale między Zygfydem a Volkerem również dochodziło do kłótni, a ponieważ to Zygfyd był z nich obu bardziej

pracowity i zapobiegliwy, Volker musiał w pewnym momencie odejść. Miał to wszystkim za złe, szczególnie Alfredowi, który poparł wtedy Zygryda, choć zwykle stał po stronie Volkera. Na Volkerze nie można było jednak polegać. Kiedy pił, zapominał o zwierzętach i nikogo nie tolerował.

Fryda wychodzi do pokoju po drugiej stronie. Nie lubi tematu Volkera, choć jego samego chętnie widzi, przecież to jej najstarszy syn. Alfred w milczeniu człapie za nią. A Zygryd mówi coś, czego nikt nie oczekiwał:

- Gdybym zajrzał teraz do swoich akt Stasi, to jak myślicie, kto na mnie donosił? - śmieje się łobuzersko i spogląda na wszystkich, a Hartmut potrząsa głową. Gizela wodzi oczami od jednego do drugiego, a Johannes mówi:

- Mogę sobie to wyobrazić, tato.

Volker wie, że Zygryd to wie, i dlatego tak niechętnie tu zagląda.

Zostawiamy ich samych. Johannes bierze mnie za rękę i wyciąga na korytarz, a potem na schody. Myślamy jest znowu gdzie indziej. Ma plan: chce pojechać do Lipska i pójść na uczelnię artystyczną. Trwa tam teraz wprawdzie przerwa semestralna, ale przecież zawsze ktoś będzie. Nie pyta, czy chciałabym z nim jechać. To jego droga, a moja wiedzie dokładnie w przeciwnym kierunku. Za wcześnie jeszcze, żeby wiedzieć dokąd. Mam zmienne nastroje, żyję z dnia na dzień, owładnięta całkowicie terażniejszością, zanurzona w tym, co akurat się dzieje. Moją terażniejszością jest Henner. Johannes i przyszłość to wielka niewiadoma.

Rozdział 10

Mijały kolejne dni. Smętne, smutne dni, w czasie których nie miałam wiadomości od Hennera ani go nie widziałam. Nie było go nawet w sklepiku. Marianna mówi, że albo jest w ciągu, albo ma jakąś kobietę. Rozwściecza mnie to. Z drugiej strony to ja powinnam mu odpowiedzieć. „Przyjdź i zostań u mnie, tylko jeden dzień...”. Napisał wyraźnie; teraz kolej na mnie.

Gizela i Hartmut pojechali razem z Frydą do Bawarii. Dla Frydy to pierwsza zagraniczna podróż - my przecież ciągle jesteśmy NRD - była tak podenerwowana, że Marianna musiała jej spakować walizkę. W ogóle nie wiedziała, co ma zabrać, bo na co dzień nosi zwykle podomkę. Hartmut obiecał, że będzie teraz częściej przyjeżdżał; chce pomóc Zygfydowi w odzyskiwaniu ziemi od spółdzielni, jeśli to tylko będzie możliwe. No i akta - akta interesują go bardziej niż wszystkich nas razem.

Nie wiem, co mam robić. Kilka razy poszłam do zagrody Hennera, ale wszystko było zamknięte. Johannes wyjechał wczoraj i ma wrócić dopiero za trzy dni. Postanawiam iść do gospody „Pod Lipami” i zapytać, czy właściciel nie potrzebuje kelnerki do końca wakacji. Otworzył niedawno nową salę na świeżym powietrzu i powoli do naszej okolicy zaczynają przyjeżdżać turyści. Staram się ładnie wyglądać: czysta, jasna sukienka, trochę szminki na usta, buty na lekkim obcasie. Potem idę pełną kurzu drogą do gospody. Jest wczesne popołudnie, gorące i bezwietrzne; w powietrzu słychać lekki szum.

Wchodzę do środka i widzę Hennera siedzącego na swoim stałym miejscu. Jest pijany jak bela i plecie bezładnie o „przestępczym państwie, które mu spieprzyło życie, nawet żona go zostawiła, do Stasi też poszła, stara wywłoka”. W jednej chwili uginają się pode mną kolana. Wygląda okropnie,

taki brudny i brutalny, taki inny, niżbym chciała. Zmuszam się, żeby iść dalej, podejść do baru, proszę, żeby właściciel wyszedł na chwilę i cały czas mam nadzieję, że Henner może mnie nie zobaczyć. Prawą rękę opiera na stoliku, na plamie rozlanego lepkiego piwa, a lewa leży bezwładnie na poplamionych spodniach. Nie odwracaj się, myślę w duchu, ale on właśnie to robi. Patrzy na mnie z dołu, krzywi się nietaktownie i krótko się śmieje.

- Maryjka! Laleczka! - krzyczy. - Dla niej wszystko jest proste, ona stąd wyjedzie i nigdy nie wróci. Nigdy! Co ona ma właściwie robić z Johannesem, z tym chłopczykiem?

A potem śmieje się tak głośno, że nawet stali bywalcy pijący przy sąsiednich stolikach patrzą na niego z zakłopotaniem. Cała się trzęsę, a właściciel gospody mówi:

- No doskonale, w takim razie zaczynasz w przyszłym tygodniu i zostaniesz przez lato. Świetnie się składa, bo Gabi znowu będzie miała dziecko i niewiele może robić.

Wychodzę i po prostu idę przed siebie. Nie wiem nawet dokąd. Nogi same mnie niosą drogą do lasu. Idę długo i jestem już naprawdę daleko, gdy słyszę za sobą dyszenie. Dogonił mnie, nim zdążyłam o tym pomyśleć. Jego ręce ciągną mnie na ziemię i padamy, nie mając żadnego oparcia. Henner leży na mnie i mocno mnie trzyma, tak długo, aż nie mogę się ruszyć. Potem klęka nade mną i mówi tak trzeźwo, jak wcześniej był pijany:

- A teraz pójdziesz ze mną!

A ja otrzepuję sobie sukienkę z ziemi, wracam do Brendelów, mówię Mariannie, że muszę iść do matki i nie wiem jeszcze, kiedy wrócę, zabieram najpotrzebniejsze rzeczy z poddasza, do torby wkładam potajemnie jakieś warzywa i kawałek mięsa ze sklepiku - i idę. Poszłabym zapewne także wtedy, gdyby Johannes był w domu. To niczego nie zmienia, o niczym nie przesądza.

Kiedy do niego przychodzę, jest już umyty i przebrany. Zdumiewa mnie, jak szybko wytrzeźwiał. Jeszcze nic nie mówię, chcę go ukarać milczeniem. Zaczynam kroić warzywa. Cebulę i czosnek podsmażam na maśle, wrzucam do tego kartofle i warzywa drobno pokrojone w kostkę, jakieś przyprawy, które znajduję w jego szafce, gotuję przez kwadrans, dodaję trochę śmietany, trochę mąki. A potem mięso: dwa grube kawałki polędwicy, delikatne i soczyste.

- Nakryj stół, Henner! - mówię do niego. - Za chwilę będzie jedzenie.

Nagle Henner wygląda całkiem młodo. Na ustach igra mu kpiący uśmiech, ale stół nakrywa bez słowa sprzeciwu.

W czasie jedzenia nieustannie mnie obserwuje, jakby chciał się upewnić, że nie zniknę mu nagle z oczu. Podoba mi się to. Wiem, to próżność, ale powinien patrzeć na mnie i tylko na mnie, powinien tylko mnie pożądać. Żadnej innej. Tylko mnie.

Kiedy wstajemy od stołu i przechodzimy do innego pokoju, szepczę mu do ucha zdanie, które - teraz już wiem - powiem mu tylko jeden raz:

- Zrób ze mną wszystko, co zechcesz.

I on to robi.

*

Następnego ranka budzi mnie szczekanie psów. Ktoś musi stać przy bramie, może to tylko jakieś zwierzę. Muszę iść do toalety i próbuję wstać, unoszę nogi i staję na zimnej podłodze, ale one odmawiają mi posłuszeństwa. Henner zrywa się. Bierze mnie na ręce i niesie do toalety i z powrotem. Przypomina mi to kotkę, noszącą swoje młode w zębach za skórę na grzbiecie. Dzisiaj taką kocią mamą jest dla mnie Henner. Ostatniej nocy trochę płakałam i raz prosiłam, żeby przestał. Odpowiedział na to bardzo cicho i takim dziwnym

głosem, że powinnam była się wcześniej zastanowić, że teraz jest już za późno.

Psy ucichły, a Henner myje mnie ciepłą gąbką. Odgarnia mi włosy z twarzy i doprowadza mnie do ładu. Potem gotuje herbatę i idzie do wsi po bułeczki. Jest przy mnie przez cały dzień, myje mnie i karmi. Rozchorowałam się nie na żarty. Mam rozpaloną głowę i okropnie bezładne myśli, ale mimo to czuję się szczęśliwa. Tylko kiedy Henner odchodzi od łóżka, staję się niespokojna. Kiedy się ściemnia, Henner stawia na podłodze obok łóżka małą lampkę i zaczyna mi czytać.

Swoją chłodną, dobrą dłonią
Wszystkie rany zamknij, by
Wykrwawiły się do środka -
Czuła Matko Boleściwa - ty!
Zamykam oczy i poddaję się gorączce.
Noc mnie milcząco roztopia w ciemności
Ja martwym cieniem byłem w dzień -
Wyszedłem więc z domu radości
I wszedłem w nocy cień.

(...)

Pośród głębokiej jesteś nocy
Ty, w czułym łonie niepoczęty
Nic nieznaczący, obojętny!
Pośród głębokiej jesteś nocy.
(Georg Trakl, Pieśń do nocy.)

Później czuję jego chłodne dłonie na swoim rozpalonym gorączką ciele, ale nie wiem, czy to jawa, czy sen.

Gruszeńko, Gruszeńko, czy na pewno chcesz pozostać u Dymitra?

Nocą leży obok mnie i nie może spać, przewraca się z boku na bok. Gorączka zmienia moje postrzeganie. Wydaje mi się, że od Hennera dzieli mnie odległość co najmniej jednego metra, a przecież mogę go dotknąć. Nawet moje własne ręce i

nogi wydają się umykać. Oddaję się temu uczuciu, leżę na brzuchu z rękami pod głową, przysypiam i budzę się na zmianę, a czasami czuję go znowu w sobie. Bierze mnie, jak mu się podoba - aż w końcu zasypia.

Z jednego dnia robią się dwa, a i trzeciego wciąż jeszcze tu jestem. Henner twierdzi, że w gorączce dużo mówiłam, ale bez ładu i składu.

Jestem jeszcze okropnie słaba, a dziś przecież wraca Johannes. Jeśli nie zastanie mnie w zagrodzie, pojedzie do mojej matki, żeby mnie zabrać. Wtedy wszystko się wyda.

Obok łóżka stoją różne puste filiżanki. Henner robił wywary z ziół i podawał mi je łyżeczką, tak mówi w każdym razie. Ja tego nie pamiętam.

Jestem niespokojna, muszę być w zagrodzie przed Johannesem. Muszę iść. Teraz, zaraz. Henner uprał moje rzeczy i podaje mi je do łóżka. Długo mi się przygląda. Jego oczy pytają, co wiem o tych nocach, czy posunął się za daleko. Pozostawiam go sam na sam z tym niemym pytaniem; ja tego przecież nie wiem.

Z zewnątrz do ciemnej izby sączy się światło dnia. Ubieram się starannie i wychodzę z tego domu jak z innego czasu. Tam, w środku, wszystko jest stare. Mury, łóżko, w pewnym sensie także Henner. Odprowadza mnie do bramy i mówi:

- Jestem tu, Maryj ko. Wiesz o tym.

Tym razem nie daje mi żadnej kartki na drogę.

Przed drzwiami domu Brendelów stoi Alfred i patrzy. Wita mnie, jak zwykle robi to Fryda:

- No, jest z powrotem? Dobrze było u mamy?

Jego wąskie usta układają się w złośliwy grymas, oczy się zwężają. Zanim jednak zdołam cokolwiek odpowiedzieć, z tyłu za mną zatrzymuje się wartburg, z którego wysiada Johannes. Serce tłucze mi jak oszalałe, czuję też silne

pulsowanie w głowie. Kiedy dziadek Lorenz przepadał z jakąś
dzierlatką, babka Traudel mówiła zawsze, że kłamstwo jest
najgorszym grzechem. Myślę, że miała rację.

Rozdział 11

Bogu dzięki Johannes jest tak przejęty wydarzeniami ostatnich dni, że nie zauważa mojej małomówności. Teraz to on wyrzuca z siebie opowieści o mieście, które wygląda szaro i okropnie, o ludziach, których spotkał na swojej uczelni i o klasie fotografii, jakiej nie ma nigdzie indziej. Miał ze sobą zdjęcia, a jeden ze studentów mu powiedział, że są naprawdę dobre, te jego zdjęcia. Dokładnie wyraził to słowami, że Johannes ma wycucie światła i kompozycji. „Światło i kompozycja!” - powtarza Johannes z naciskiem.

Potem chce mi zdjąć sukienkę, a ja sztywnieję. Na szczęście mam właśnie okres, więc nie muszę kłamać. Zaczął się właściwie już wczoraj, u Hennera, kiedy nie miałam nic ze sobą. On kładł mi po prostu na prześcieradło grube ręczniki. Często je zmieniał i w ogóle się przy tym nie wstydził. Myślę, że Johannes by tak nie potrafił.

Rozmawiamy więc o mieście i o teczce, którą musi przedstawić, ubiegając się o przyjęcie na uczelnię. Chce zrobić cały cykl o wsi: o mieszkańcach i ich domach, z zewnątrz i w środku. Mówi, że to nie może być zbyt dokumentalne, że to musi być sztuka, a to duża różnica, sztuka to coś innego. Nie wiem, czym różni się fotografia dokumentalna od artystycznej, więc Johannes natychmiast mi to wyjaśnia. Ale jego słowa do mnie nie docierają.

Później ja opowiadam o swoich planach letniej pracy w gospodzie „Pod Lipami”. Johannes nie ma nic przeciwko temu, bo i tak najbliższe tygodnie poświęci fotografowaniu i większość czasu będzie spędzał w ciemni. Teraz zresztą też od razu tam idzie - więc oddycham z ulgą.

Nie jestem już dziewczyną, którą byłam. Tylko kim ja teraz jestem?

Upał panujący w naszym pokoju wygania mnie na zewnątrz. Zabieram ze sobą Braci Karamazow. W sklepie na

dole jest dzisiaj Łukasz; pomaga matce. Marianna jest w bardzo złym humorze. Od czasu, gdy Fryda wyjechała do Bawarii, ma dwa razy więcej pracy. Na co dzień to Fryda gotuje dla całej rodziny; teraz ten obowiązek spadł na nią, a ona w dodatku jest naprawdę nie najlepszą kucharką. Ale Fryda ma wrócić już za tydzień. Raz zadzwoniła do sklepu, gdzie jest telefon. Marianna szybko tam pobiegła. Fryda nie robiła wrażenia szczęśliwej, mówiła później Marianna, właściwie tylko utyskiwała.

Rozmowa schodzi na brakujące mięso, które przyrządziłam Hennerowi i które mu tak bardzo smakowało. Marianna mówi do mnie surowo:

- To bardzo ładnie, że chciałaś coś zanieść mamie, ale nie można przecież tak po prostu wziąć i nic nie powiedzieć.

Ma całkowitą rację, więc przyrzekam jej uroczyście, że następnym razem zapytam o pozwolenie.

*

Na łąkach trawa już dawno odrosła i znów jest wysoka. Jest sierpień, czekają nas drugie sianokosy, potraw. Leżę na brzegu rzeki i czytam Braci Karamazow. Wszystko w tej książce wydaje mi się znajome, choć nie mogłam czytać tego wcześniej. Wrażenie to utrzymuje się przez kilkadziesiąt stron. Jestem pewna, że nie doszłam jeszcze tak daleko, zresztą zawsze wkładam do środka zakładkę - ale wiem, co będzie dalej.

Dymitr nie jest mordercą. Fiodora Karamazowa zamordował służący Smierdiakow, prawdopodobnie jego nieślubny syn. Smierdiakow twierdzi, że pomysł morderstwa wyszedł od średniego brata, Iwana. Nie zdejmuje to w żadnym razie winy z Mitii, bo nie ma jeszcze innych zeznań, a w dniu rozpoczęcia procesu Smierdiakow się wiesza. O Gruszeńce jest powiedziane tylko tyle, że obu ich, ojca i syna, popchnęła

w przepaść. Bardzo zjadliwe są przede wszystkim kobiety z miasta.

Jaskółki latają bardzo nisko nade mną - będzie padało. Widzę z daleka, że przy śluzie stoi Zygfyrd. Jest w coraz lepszym nastroju, bo od kilku dni snuje rozległe plany. Wszystko kręci się wokół nazwy „gospodarstwo biodynamiczne” - dużo o tym mówił Hartmut. Podobno w Bawarii są gospodarstwa ekologiczne spod znaku bogini Demeter, w których uprawia się wszystko tak, jak u nas, ale za produkty z nich dostaje się stosunkowo dużo pieniędzy. Pada nazwisko Rudolfa Steinera i okazuje się, że za tym sposobem uprawy kryje się cały światopogląd. Chodzi o jakąś wielostronną i zrównoważoną wspólnotę życiową - ludzi, zwierząt, roślin, gleby i wpływów kosmicznych, i o jakieś kosmiczne rytmy w uprawie roślin. Marianna pękała wprost ze śmiechu, powtarzała wielokrotnie słowa kosmiczne rytmy i tajemniczo tańczyła przy tym po kuchni. Ona czasami ma w sobie coś tak dziecinnego, chociaż przecież jest już taka stara - no, właściwie jest młodsza od Hennera, ale to jednak coś innego. W każdym razie Hartmut nie dał się zbić z tropu i cytował tego Steinera, który miał powiedzieć: „Rolnictwo zyskuje najpełniejszą postać, kiedy się je traktuje jako pewną formę indywidualizmu”. Zygfyrd z miejsca pojął znaczenie tych słów, Marianna wciąż zanosila się od śmiechu, a Fryda z Alfredem kiwali głowami.

- Mamo, to jest taka filozofia - starał się wyjaśnić Hartmut, ale niewiele dało się tu zrobić.

Potem mowa była jeszcze o zwierzęciu jako istocie obdarzonej duszą i o znaczeniu przeżuwaczy dla jakości ziemi. Hartmut powiedział też, że zwierzę musi mieć możliwość wchodzenia z otoczeniem w relacje postrzegania zmysłowego.

- A to oznacza - zrekapitulował uroczyście, ponieważ wszyscy patrzyliśmy na niego pytająco - że krowy muszą paść się na pastwiskach!

Teraz Marianna śmiała się już bez żadnych zahamowań.

W końcu Zygfyrd miał dość chichotu żony i potakiwania matki i wyszedł z Hartmutem i Gizelą na spacer, na łąki. To z kolei jego żona przyjęła z niezadowolaniem i rzekła do Frydy:

- Oni, wierząc w te zwierzęta z duszami, myślą chyba, że my tutaj, na Wschodzie, jesteśmy jacyś głupi.

Ale potem przyniosła encyklopedię i sprawdziła hasło Demeter. Przedstawiony tam wizerunek bogini wydał jej się naprawdę ładny i zapytała, czy nie jest trochę podobna do Demeter. I rzeczywiście, pewnego podobieństwa można się dopatrzeć.

Wiele dałabym za to, żeby wiedzieć, o czym teraz myśli Zygfyrd. Stoi mocno obiema nogami na ziemi i omiata wzrokiem pola.

Wieczorem znowu siedzę wraz z rodziną przy stole. Alfred już poszedł do łóżka. Od wyjazdu Frydy wygląda, jakby był chory. Dzisiaj rozmawiamy więcej niż zazwyczaj. Zygfyrd planuje pojechać kiedyś i zobaczyć, na czym polega takie gospodarstwo, co w nim takiego innego.

- Przecież to nie są czary, to rolnictwo - mówi, a Marianna tym razem skwapliwie mu przytakuje.

Johannes opowiada o swoich staraniach na uczelni, ale wbrew oczekiwaniom nie słyszy głosu ojcowskiego sprzeciwu, tylko wskazówkę, żeby dobrze się wszystkim przyjrzał i wracał, jeśli to nie będzie to. W przyszłości w gospodarstwie będzie dużo pracy. Potem pijemy wino, a na końcu dochodzi do kłótni, która nas wszystkich bardzo dotyka.

Marianna rzadko pije alkohol, a kiedy już pije, brak jej nieco umiaru i sama wypija całą butelkę wina. Dużo gadamy i

śmiejemy się, a wreszcie rozmowa schodzi na Hennera. Zygfyrd mówi, że Henner najlepsze lata ma za sobą, wiele się już w jego życiu nie zdarzy. Zniszczyła go NRD. Marianna broni go i mówi, że ciągle jeszcze jest przystojnym mężczyzną i że w ostatnim czasie stał się bardziej towarzyski, coś musiało mu się stać, że teraz tak dobrze mu się wiedzie, a gdyby jeszcze unikał alkoholu, to mógłby doprowadzić gospodarstwo do należytego porządku.

- On ci się podoba, ten Henner, co? - pyta ją Zygfyrd.

- Gdybym nie miała ciebie, Siggi, to z pewnością z łóżka bym go nie wyrzuciła - odpowiada Marianna słowami, które dyktowało jej chyba wino, ale w których kryła się też być może prawda. Dla Zygfyda jest to zdecydowanie za wiele, podobnie jak dla Johannesesa, który rzuca matce ostre spojrzenie. Marianna zauważa to i łagodzi, na ile to możliwe, ale co się stało, to się nie odstanie, wieczór jest zepsuty. Do tego zaczyna się jeszcze rozmowa na temat, który zapewne od dawna zaprzęta głowę Zygfyrdowi, ale dziś nie sposób już go powstrzymać. Chodzi o pieniądze na życie. Od pewnego czasu w kasie brakuje pieniędzy - takie rzeczy się dotąd nigdy nie zdarzały. W łazience przybywa natomiast małych tubek z różnymi kremami i fiolek z perfumami, a w pokoju leżą kolorowe czasopisma, z okładek których patrzą idealnie gładkie i piękne kobiece twarze. Są to nowe obiekty pożądania, wytwarzane przez Zachód, którym kobieta taka jak Marianna nie jest w stanie się oprzeć. Jednak Zygfyrd nie rozumie takich rzeczy. Nie interesuje go, czy skóra jego żony jest nagle bardziej miękka w dotyku i obojętne mu, czy pachnie sianem, czy bzem. Może nawet woli zapach siana. Nie wiemy, czy Zygfyda tak zdenerwowała ta deklaracja na temat Hennera, czy marnowanie pieniędzy, w każdym razie wstaje, bierze jedną z pustych butelek po winie i rozbija ją o kant stołu.

- Nie rób ze mnie głupka, Marianno, inni już tego próbowali! - krzyczy. Wybiega z pokoju na podwórze, gdzie woła: - Kobietom to jednak nie można wierzyć! To się już nie zmieni! Głupie baby!

Wraca do domu dopiero późno w nocy. Johannes mówi, że dotychczas tylko raz widział ojca w takim stanie - było to dwa lata temu, kiedy podczas wiejskiej zabawy Marianna wielokrotnie tańczyła przytulona z bratem właściciela gospody, o którym wiadomo było, że jest w Stasi. Obaj byli podpici, a w przypadku Zygryda alkohol odkrywa nie najlepsze strony, choć poza tym jest przecież rozsądnym człowiekiem.

Zaciągnął ją wtedy do domu i tam, w sypialni, sprawił jej lanie. Łukasz leżał obok i wszystko słyszał.

Po tej scenie czuję się podle. Chciałabym być u Hennera, chciałabym być wolna. Żyłabym z nim tak długo, jak długo by się dało, a gdyby już się nie dało, pozostałabym mimo to.

Rozdział 12

Następnego ranka tuż po piątej Zygfryd stoi punktualnie w stajni. Takie rzeczy Marianna zawsze w nim podziwiała i dzięki nim dzisiaj wciąż jeszcze go kocha. Jego zdecydowanie, siła, poczucie obowiązku. Wczorajszy choleryczny napad nijak się ma do niemal dwudziestu lat małżeństwa. Raczej dobrych lat. Koło południa atmosfera zaczyna się nieco poprawiać, a zagęszcza się ponownie, gdy w sklepie pojawia się Henner. Kupuje mięso, wędlinę, kartofle, pora, pomidory i jeszcze koszyczek malin. Nie ze względu na mnie tu przyszedł, ale cieszy się, gdy wchodzi i obsługuje go zamiast Marianny. Ona nie ma odwagi pokazać mu się na oczy, chociaż Henner nic o całej kłótni nie wie. Cieszy się więc, że Zygfryd ją woła i prosi, żeby mu pomogła na łące. Być może chce ją tylko odciągnąć z domu. Zauważyłam, że w sprawach miłości starsi są równie nierozumni jak młodzi. Zostaję sama z Hennerem, bo Johannes i Łukasz pojechali do miasta załatwić coś ojcu. Tylko Alfred szwenda się jak zawsze, a ja zbyt łatwo zapominam o jego obecności.

Pakuje zakupy Hennera do papierowej torby i stawiam ją na ladzie.

- Wyjdź tu do mnie, Maryjko - mówi. - Chciałbym cię objąć.

Popycha nogą drzwi, tak że lekko się przymykają, ale nie są całkiem zamknięte. Wtedy opanowuje mnie dziwna, nie wiadomo skąd pochodząca chęć, żeby osunąć się przed nim na kolana. On tymczasem odsuwa na bok zakupy i jednym ruchem podnosi mnie na ladę. Jego ręce wędrują, gdzie chcą.

- Zwariowałeś? A jeśli wejdzie Marianna? Chyba nie bardzo się tym przejmujesz.

- Kiedy znowu do mnie przyjdiesz? - pyta tylko, a po krótkiej przerwie dodaje szeptem: - Przyzwyczailem się już do ciebie.

Ma szczery uśmiech, to mnie boli. Głaszcze mnie po włosach, po rękach, po szyi, ustach, miękko i również trochę smutno. Tamte noce, kiedy leżałam u niego z gorączką, były jak obietnica, a teraz on się zjawia i domaga się jej spełnienia.

Coś przy drzwiach się poruszyło. Może to był kot, a może jakieś inne stworzenie. Henner podnosi mi sukienkę.

- Zadałem ci ból - mówi, nie patrząc na mnie, i szybko dorzuca: - Ale nie żałuję tego.

Jego ręce leżą spokojnie na moich nogach.

- Powiedz coś, Maryjko, powiedz coś!

Ale ja nie wiem, co mam powiedzieć. Nie wstrzymuje mnie to, czego on się domyśla. Po prostu nie znajduję jeszcze odpowiednich słów, żeby to wyrazić, odczuwam tylko jakiś nieokreślony lęk, który wydobywa się z mrocznego zakątka duszy i zaraz znowu znika. Nie o siebie się obawiam, nie. O niego. Tyle potrafię powiedzieć.

Jestem pewna, że to przy drzwiach to Alfred. Myślę, że on od dawna wszystko wie. Wszędzie zagląda, wszystko widzi, a to dlatego, że nikt nie traktuje go poważnie, nikt na niego nie zwraca uwagi. Dlatego jest taki niewidoczny.

- Nie wiem jeszcze, kiedy będę mogła przyjść. Jeśli powiem, że znowu idę do matki, zaczną coś podejrzewać. A co, jeśli spotkają matkę kiedyś w mieście i spytają o mnie? Co wtedy?

- Nie wiem, Maryjko - odpowiada, wzruszając ramionami.

Jestem tym ogromnie rozczarowana, strącam z siebie jego ręce i zsuwam się z drugiej strony lady. Musiał od razu dostrzec w moich oczach zawód, bo obchodzi ladę, chwytając mnie za przeguby dłoni i mówi pewnym głosem, jaki właśnie chciałam usłyszeć:

- Ale przyjdiesz!

A potem słyszymy odgłos wjeżdżającego na podwórze samochodu.

- Dobry, Henner - mówi Johannes, wchodząc.

Wchodzi za ladę, całuje mnie, a w tym czasie Henner już wychodzi. Takie to wszystko parszywe, a jednak to robię.

Johannes pyta, kiedy będziemy jeść, ale w kuchni jeszcze nic nie zrobione. Brakuje nam Frydy, wszyscy to dostrzegamy. Zabieram się do gotowania. W ostatnich tygodniach wiele się nauczyłam, nawet Zygfyrd mnie chwali i mówi, że nigdy by się po mnie takich umiejętności nie spodziewał. Moja pozycja w rodzinie umacnia się równie szybko, jak ja się od tej rodziny oddalam. Wszystkim im brakuje jednak wyczucia subtelności.

- Ta Maria... - mówi Zygfyrd - kto by pomyślał!

Swoje imię zawdzięczam tęsknocie matki. Jako dziecko komunisty rzadko przestępowała kościelne progi, ale kiedyś obejrzała jasełka i dziewczyna grająca rolę Maryi wywarła na niej takie wrażenie, że od tamtej pory chciała mieć na imię Maria. Moja matka pochodzi znanad morza i tutaj, w Turynгии, nigdy się nie odnalazła. Nie znosi tego wiecznego w górę i w dół, pagórków i dolin, które ja tak kocham. Dawniej, kiedy była ze mną w ciąży, mój ojciec po prostu spakował jej rzeczy i zabrał ją tutaj ze sobą. Ona przez całą drogę płakała i przestała dopiero, gdy przyjechali do wsi, w której się urodziłam. Powinna była właściwie pójść do szpitala, ale ponieważ ojca ani dziadków nie było w domu, a ona nie zdążyła do najbliższego telefonu, który był w sklepie, przyszłam na świat na podłodze kuchni w domu dziadków. Później matka właściwie nie była nieszczęśliwa z tego powodu, bo wiedziała od innych kobiet, że w szpitalu dzieci były od razu zabierane, a matki dostawały je tylko co cztery godziny do karmienia. Mnie mogła mieć przy sobie. Przez

wiele dni nie wypuszczała mnie z rąk, od czasu do czasu tylko kładła mnie do wózka, ale nawet wtedy siedziała obok i mi się przypatrywała. Wiem to od babki, która wtedy bardzo to ganiła, ale teraz nic o tym nie wspomina.

Później jeździliśmy na północ, jak często tylko było to możliwe, i zawsze przy pożegnaniu było dużo płaczu. Tam właśnie, u dziadków na północy, po raz pierwszy widziałam Zachód. Pojechaliśmy na krótką wycieczkę do miasteczka D. Na trzecim piętrze czynszowej kamienicy mieszkał pewien krewny mojej matki. Z okien jego mieszkania widać było Zachód. Za Łabą i pasem łąk stał jeden jedyny dom, ale nigdy nie wolno mi było tam iść. Dość dokładnie przypominam sobie myśli i doznania z tym związane. Miałam chyba z siedem lat i pamiętam, że nie mogłam oderwać wzroku od tego domu. To było wprost niepojęte, że zaledwie kilkaset metrów od nas żyli ludzie, których nigdy nie będziemy mogli spotkać. A przecież niemal ich widzieliśmy! I oni nas także. Mogliśmy sobie pomachać albo dawać znaki świetlne, jak to robiłam z kolegą mieszkającym po sąsiedzku w naszej wiosce. Żołądek mi się ścisnął i pamiętam jak dziś, że nie chciałam jeść ciasta, choć było z truskawkami. Kiedy pożegnaliśmy się z wujkiem, zeszliśmy

schodami na dół i wyszliśmy na ulicę, a ja pobiegłam na drugą stronę do ogrodzenia i wsadziłam nos między kraty. Matka wołała, żebym wracała i w końcu mnie stamtąd oderwała. Wilczury ujadły, a jeden z żołnierzy uniósł broń i krzyknął:

- Ręce od ogrodzenia!

Czegoś takiego się nie zapomina.

A teraz już od roku możemy jeździć na Zachód, ale byliśmy tam tylko dwa razy.

W każdym razie Zygryd chce pojutrze, w niedzielę, jechać do Bawarii. Wymyślili to w ten sposób, że kiedy

Hartmut przywiezie Frydę, to od razu zabierze jego i Zygfyd zostanie tam przez tydzień i przy okazji obejrzy jedno gospodarstwo biodynamiczne zrzeszone w ruchu Demeter, bo zupełnie na tym punkcie oszalał. W tym czasie jego pracę będzie musiał wykonywać Johannes. Oprócz niego będzie też Alfred, który może wreszcie poczuje się potrzebny i ważny.

W poniedziałek zaczyna się też moja praca. Właściciel gospody chce mnie wprowadzić i pokazać, jak się to wszystko robi, a od wtorku będę pracowała samodzielnie. To dobrze, przynajmniej zajmę głowę innymi myślami i zarobię trochę pieniędzy.

Przy zmywaniu pomaga mi Marianna. Pachnie dzisiaj podobnie jak żona Hartmuta - pytała ją przecież, jak nazywają się te perfumy. Kiedy kończymy, głaszcze mnie po głowie i mówi:

- Jesteś teraz prawdziwą pomocą, Mario.
I znowu wpadam w kiepski nastrój.

Rozdział 13

Sierpień jest moim ulubionym miesiącem. Wciąż jeszcze jest gorąco, ale już nie tak uciążliwie jak w lipcu. Kiedy lato skłania się ku jesieni, kiedy zbliżają się moje urodziny, ogarnia mnie lekka melancholia. Będę miała siedemnaście lat, a z każdym rokiem rośnie we mnie poczucie, że coraz więcej znaczę na świecie. Teraz, kiedy ten świat tak się poszerzył, moje znaczenie zmalało. Ale w gospodarstwie jestem już trochę potrzebna, choć spokojnie daliby sobie radę i beze mnie.

Mam śmiały plan: spędzę swoje urodziny z Hennerem. To się da całkiem łatwo zorganizować. Z rana będę u Brendelów, ale Johannes przez resztę dnia będzie musiał pracować w gospodarstwie, bo nie będzie Zygryda. Pójdę więc na godzinę lub dwie do matki. Tam powiem, że muszę wracać do Johannes, któremu inaczej będzie przykro. Ona to zrozumie. A potem polami - kukurydza sięga mi już po biodra - zejść w dolinę, do jego zagrody.

Dzisiaj wraca Fryda. Z niecierpliwością czekamy na jej opowieści. Kiedy wreszcie przyjeżdża, wygląda na zupełnie chorą i od razu kładzie się na sofie w swoim pokoju. Hartmut mówi, że już od trzech dni jest nie do wytrzymania i że nawet porządnie jeść nie chciała. Myślę, że jeśli ktoś taki jak Fryda spędził całe życie w tym gospodarstwie, czasami wyjeżdżając najwyżej do pobliskiego miasteczka, a ledwie raz nad Bałtyk, to taka podróż do Bawarii jest już poważną wyprawą. I mam rację. Potem Fryda opowiada nam, jak niedobrze się czuła tak daleko od domu, w gościnnym pokoju Hartmuta, wyposażonym w nowoczesne meble. Zrobiła się bardzo niespokojna i brakowało jej Alfreda. Właśnie Alfreda! W każdym razie już jej lepiej, że jest w domu, a wieczorem czuje się zupełnie dobrze.

- Zajmowałaś się kuchnią, Mario? - pyta mnie i po raz pierwszy nie zwraca się do mnie w trzeciej osobie.

Dziś poniedziałek. Zygfyrd wyjechał, a ja idę do gospody, która dziś jest nieczynna, otwarta tylko dla stałych gości. Jako pierwszych obsługuję tutejszych pijaków; ku mojej wielkiej radości nie ma z nimi Hennera.

Pracy jest niewiele, ciągle to samo: wódka, piwo, czasami tatar.

Po dwóch godzinach właściciel uważa, że wszystkiego się już nauczyłam i odsyła mnie do domu. Jest jeszcze wcześniej, Johannes zapracowuje się w stajni, a ja czytam prawie do końca historię braci Karamazow.

Rozumiem teraz, dlaczego Henner ucieszył się, że wole Gruszeńkę od Katarzyny Iwanownej. Ale i ona potrafi być zła, bo kiedy Dymitr dostał wyrok - dwadzieścia lat łagru na Syberii - i Katarzyna Iwanowna jeszcze raz go odwiedza, choć przed sądem zeznawała przeciwko niemu, nieoczekiwanie pojawia się Gruszeńka, a Katarzyna Iwanowna prosi ją o wybaczenie. Gruszeńka odpowiada wtedy: Złe jesteśmy, jedna i druga! Obydwie złe! Gdzieżby nam przebaczać, tobie i mnie? Ot, uratuj go, a całe życie będę się modlić za ciebie. Chce więc tylko dziękować Katarzynie, a nie wybaczyć. Dymitr jest tym zrozpaczony, ale Gruszeńka mówi: Usta jej harde mówiły, nie serce. Uratuje cię, to wszystko jej przebaczę...

Tego właśnie chce Henner. Serca, nie dumy.

Ostatni rozdział, pogrzeb Iliuszczki, pozostawiam sobie jednak na później.

Wieczorem Johannes jest tak zmęczony, że ledwie trzyma się na nogach. Nie nadaje się do tej ciężkiej pracy w gospodarstwie. Myślę, że Zygfyrd to wie i dlatego zgadza się na te jego studia, jest przecież rozsądnym człowiekiem. Nawet dłonie Johanna wyglądają zupełnie inaczej niż ręce jego

ojca. Szczupłe, jasne i delikatne. Kiedy trzyma w nich widły do gnoju, to nie jest to tak naturalne jak u Zygryda. Można by pomyśleć, że niezależnie od naszych decyzji nasze ciała mają od początku swoje przeznaczenie. Dłonie Johannes, łapska Zygryda, moje ciało, które w tej chwili wydaje się w całości stworzone dla Hennera.

Myślę o jego dłoniach, podobnych do rąk Zygryda, a przecież zupełnie innych. Te dłonie czekały, żeby móc mnie dotykać.

*

Alfred siedzi leniwie na ławce na dole. Wygląda na zadowolonego - jego Fryda wróciła. Są ze sobą związani, to ta tajemnica, której nigdy nie wyjawia. Dziś na podwórzu panuje cisza. Liści kasztanowca nie porusza najlżejszy wietrzyk. U stóp Alfreda leży kot. Johannes śpi, Łukasz już od dawna, Fryda odpoczywa po wyjazdowej przygodzie, a Marianna siedzi wreszcie spokojnie nad swoimi kolorowymi pismami, które zaczęła ostatnio chować przed Zygrydem. Za to kury wciąż jeszcze są na dworze, choć jest już ciemno. Myślę, żeby je zapędzić do kurnika, ale w końcu zostawiam to Alfredowi i kładę się do łóżka obok Johannes.

Kiedy następnego ranka wychodzę na podwórze, Marianna siedzi na ławce i płacze. Łokcie oparła na nogach, a twarz przykryła dłońmi. Płacze tak głośno, że wkrótce w oknach pojawiają się także Alfred i Fryda. Sama spostrzegam, co się stało: lis wydusił wszystkie kury.

Najgorsze, że stało się to akurat wtedy, kiedy nie ma Zygryda i cała odpowiedzialność spada na Mariannę. Zygryd ma na temat kobiet własne zdanie: nie można im powierzyć żadnej pracy, bo wszystko zrobią nie tak. Nie jest to sprawiedliwa opinia, ale na ten temat z Zygrydem nie ma dyskusji. Zastanawiamy się, co można zrobić i Johannes

proponuje, żeby kupić nowe kury. Na to Marianna od nowa zaczyna szlochać:

- Przecież on to od razu zauważy. Każde zwierzę zna osobiście.

Naprawdę mówi „osobiście”. Chce mi się śmiać, ale opanowuję się, jak potrafię.

W końcu wychodzę do gospody, gdzie zaraz zaczynam pracę, i stamtąd dzwonię do Hartmuta. Nie potrafię sobie nawet wyobrazić, że niedługo i my także będziemy mieli własny telefon. Wydaje mi się to niezwykłym luksusem i postanawiam, że nigdy nie zapomnę czasów, kiedy było inaczej. Hartmuta nie ma w domu, ale do telefonu podchodzi Zygfyrd. Słucha mnie w milczeniu. Myślałam, że nie będzie wiele mówił - i rzeczywiście.

- No właśnie, nie można jej powierzyć żadnej samodzielnej pracy - mówi po dłuższym milczeniu, gdy skończyłam.

A potem odkłada słuchawkę. Dzień zaczyna się pechowo.

Kiedy wracam wieczorem do domu, na wjeździe stoi jakiś nieznany samochód. To mój ojciec - siedzi na ławce i czeka na mnie.

O ojcu należy powiedzieć, że właściwie nie jest ojcem.

Niewiele mam z nim wspomnień. Zawsze słyszałam, że jest na montażu, a kiedy przyjeżdżał na urlop do domu, zaraz wszczynał kłótnie. Możliwe, że zaczynała też matka, w każdym razie było dużo krzyku. Najsilniejszym wspomnieniem z dzieciństwa jest nieobecność ojca. Rodzice byli wprawdzie małżeństwem, ale ojciec rzadko z nami mieszkał. Najpierw były montaże, potem trasy po Związku Radzieckim. Kiedy miał urlop i przyjeżdżał do domu, był ciągle niespokojny, chodził tam i z powrotem, znikał w lesie i długo nie wracał. Nawet w najbardziej mroźną zimę trzeba było rozpalać grill w ogrodzie: ten zwyczaj przywiózł z Rosji,

tam też przez cały czas grillowali. Mężczyzn rozgrzewała wódka, a kobiety i tak miały na sobie grube futra. No właśnie, te kobiety. Kiedy był w domu na urlopie, często jeździł do miasteczka i kupował damską bieliznę. Twierdził, że w Rosji tego towaru brakuje i można go korzystnie sprzedać. Ale nie sądzę, żeby te rzeczy sprzedawał.

Nigdy nie wiedział, w której jestem klasie. Kiedyś, kiedy bardzo nieumiejętnie próbował mnie wychowywać, powiedziałam do niego:

- Ciebie to ja już słuchać nie będę.

- Jesteś tak samo głupia jak matka! - odparł. Jeszcze dziś słyszę te słowa; pozostawiły mi w głowie bolesne echo. W jego kieszeniach matka wciąż znajdowała zdjęcia i listy. Kobiety zmieniały się razem z miejscowościami na trasie.

Przez długi czas go nienawidziłam. Nienawidziłam jego brody, spojrzenia, niespokojnych małych oczu, jego szybkiego sposobu chodzenia i mówienia, nienawidziłam w nim wszystkiego. Matka była przez cały czas przygnębiona. Chodziła po domu w chmurze smutku, który udzielał się także mnie i który nieustannie drażył mi duszę. Wiedziłam, że nigdy się z niego nie wyzwolę.

Potem zbudował dla nas dom - to jedyny raz, kiedy pozostał dłużej - ale właściwie nie budował go dla nas, tylko dla matki i dla mnie. Dom nie sprawił, że byłam weselsza; mieszkaliśmy w nim z matką same. Kiedy wreszcie pojechał, było mi lepiej. Mnie, ale nie matce. Tego nigdy nie rozumiałam.

Później pojęłam, co go tak wciąż wyganiało z domu: była to tęsknota za światem i za tym, co daleko. W samej NRD było mu po prostu za ciasno. Ten mały kraj, zewsząd otoczony murem, był dla niego jak klatka dla dzikiego zwierzęcia. Natomiast w Rosji wszystko było wielkie i niemal bezkresne. Lepiej tam oddychał niż tutaj na wsi. Poza tym kobiety

osładzały mu samotność, przez którą cierpiał i której ciągle szukał.

Już dawno mu wybaczyłam, chociaż nie dał mi dzieciństwa, a tego nie można zrekompensować żadnymi prezentami ani przeprosinami.

Wszyscy mówią, że dzieciństwo to beztroska. Nie wiem, jak ta beztroska smakuje, ale tęsknota za nią ciągle jeszcze we mnie tkwi.

Babcia Traudel często mi mówi, że jestem do niego podobna, że też mam w sobie ten niepokój i ten upór.

A teraz, proszę - na ławce siedzi on, Ulrich, mój ojciec.

Patrzy na mnie z uśmiechem, zrywa się i przyciska mnie do siebie. Potem idziemy kawałek razem.

- Dlaczego nie mieszkasz już w domu? - pyta, a jego spojrzenie błądzi nad łąkami.

- Bo wolę być tutaj - odpowiadam i to mu wystarcza. - A ty? Słyszałam, że znowu się żenisz?

- Tak - kiwa z zadowoleniem głową. - Spróbuję raz jeszcze... Nastia to świetny człowiek.

- Słyszałam, że ma dopiero dziewiętnaście lat - mówię i od razu denerwuję się, że mówię takim ostrym tonem. Ale on tego nie zauważa.

- Tak. Dziewiętnaście. Ale świetny człowiek - powtarza, jakby to było coś szczególnego, być świetnym człowiekiem w wieku dziewiętnastu lat.

- Nie chodzę do szkoły, tato - mówię z kolei, a on spogląda w stronę tartaku, w którym dziś panuje cisza.

- Aaa, skończyłaś już?

- Nie. Po prostu już nie chodzę. Nie wygląda na zaskoczzonego.

- Bez ukończenia szkoły też można być porządnym człowiekiem. Poza tym jutro skończysz osiemnaście lat, jesteś

wystarczająco dorosła, żeby wiedzieć, co robisz. A właśnie, przywiozłem ci też prezent.

- Siedemnaście - mówię. - Będę miała dopiero siedemnaście lat.

- Siedemnaście? - pyta zdziwiony. - Naprawdę...? No cóż... na pewno postąpisz jak trzeba, Mario.

- Tak, postąpię jak trzeba.

Za nami, na brzegu rzeki stoją młode buhaje i chłepczą wodę.

Myślę w tej chwili o Zygfyrdzie i o tym, jak jednym przemyślanym zdaniem potrafi wyrazić swoją opinię, nie sprawiając nikomu przykrości. Czuję się bardzo słaba.

- A z Johannesem? - pyta, wyraźnie chcąc zacząć jakiś inny temat. - Wszystko dobrze? Świetny chłopak, ten twój przyjaciel.

- Tak, świetny - mówię bezdźwięcznie. Zastanawiam się, jak oceniłby Hennera. Możliwe, że dobrze by się zrozumieli i poszli razem na wódkę.

- Chodź, wracamy. Dam ci jeszcze prezent. Potem muszę wracać.

- Do Nastii? - pytam, a on przytakuje.

Dalej idziemy w milczeniu przez łąki w stronę zagrody, mijamy krowy z młodym cielęciem, przechodzimy przez stodołę i dochodzimy do jego samochodu, łady. Ojciec wyciąga duży prezent, owinięty w złoty papier.

- Jak spędzisz jutrzejszy dzień? Będiesz świętowała z Johannesem? - pyta na pożegnanie.

Nagle czuję ogromną potrzebę opowiedzenia mu wszystkiego, naprawdę wszystkiego. Nie wzgardzi mną, wiem to. Jest moim ojcem. Zrozumie.

Ale on wsiada do samochodu i odjeżdża.

Rozdział 14

Kiedy się budzę, serce bije mi już nienaturalnie szybko. Mam siedemnaście lat. Johannes specjalnie wstał przede mną i przyniósł z dołu śniadanie. Siedzimy w łóżku i jemy świeże bułeczki z marmoladą i jogurt z miodem, do tego pijemy kawę i sok pomarańczowy. Jest jeszcze bardzo wczesnie, ale Johannes musi za chwilę zacząć pracę. Słyszę, jak Marianna pomstuje, że nie może przecież wszystkiego robić sama i gdzie on się podziewa! Wie, że to słyszymy. Prezentem od Johanna jest zdjęcie w ramce, którą sam zrobił. Na zdjęciu jestem ja - stoję w ogrodzie warzywnym, z tyłu koło płotu. Mam na sobie krótką sukienkę i białą kamizelkę i patrzę przed siebie ku torom kolejowym. Światło jest delikatne, nieco przygaszone, zapada wieczór. Wszystko wokół mnie ma pozacierane kontury, wyraźna jest tylko moja twarz. Nie pamiętam, kiedy zrobił mi to zdjęcie. Nie wiedziałam w każdym razie, że je robi. Wylewnie mu dziękuję i wypędzam go do pracy w gospodarstwie.

Potem przynoszę prezent od ojca. Też obraz. Okropnie kolorowe abstrakcyjne malowidło olejne jakiegoś rosyjskiego artysty. Najpierw widzę tylko kolory, ale później zaczynam dostrzegać wyłaniające się z chaosu kształty otaczające kobiecą postać: jedno oko, serce, krzyż. Kobieta ma lśniąco czerwone włosy i przystrojony kwiatami letni kapelusz, którego brzegi przechodzą w morze różnych odcieni zieleni. Ma nagie piersi, a po lewej stronie widoczna jest twarz prawosławnego popa. Przed nim klęczy mężczyzna i wznosi wzrok na kobietę. Jego szyję oplata wielka ręka. Reszta rozpływa się w jaskrawej czerwieni. Wystarczy, że zamrugam oczami, a wszystko staje się tylko pozbawionym kształtu kolorem. Teraz znowu czuję się podle; pakuję obraz w błyszczący papier i wkładam pod łóżko.

Mam jeszcze dość czasu. Gdybym od razu poszła do Hennera, do zmroku zostałyby nam prawie dwanaście godzin. Ale muszę też iść do matki.

Johannes do tego czasu będzie zajęty; praca nie idzie mu tak łatwo jak ojcu. Zakładam swoją najładniejszą sukienkę - tę jasnozieloną w różowe kwiatki, obcisłą u góry i mocno rozszerzaną w dole. Została uszyta specjalnie dla mnie i według moich wskazówek. Solą w oku babci Traudel było to, że często chodzę w spodniach, może dlatego, że ona w całym swoim życiu nigdy nie założyła spodni, nawet w najsroźszą zimę. We wsi są dwie krawcowe, kupiła więc materiał i mogłam wybrać, jaka ma być ta sukienka.

Szczotkuję włosy tak długo, aż zaczynają lśnić. Ściągam je na karku w węzeł. Na schodach spotykam Frydę i Alfreda. Schodzą właśnie na podwórze. Składają mi życzenia, a Fryda przynosi z kuchni kopertę. W środku jest dwadzieścia zachodnich marek.

Potem idę szybko jak tylko potrafię do matki. Już na mnie czeka - ustawiła na stole bukiet kwiatów. Są też Traudel i Lorenz. Już prawie ósma, liczę mijające godziny i siedzę jak na rozżarzonych węglach. Od matki dostaję książkę, rajstopy w kropeczki i piękny szal na ramiona. Żeby nie musiała pożyczać od Marianny, mówi. Jemy ciasto i rozmawiamy o błahostkach. Chcą mi zapewne oszczędzić drażliwego tematu. Od dziadków też dostaję kopertę. Jest w niej to samo, co w kopercie od Frydy.

Wpycham w siebie ciasto i powtarzam ciągle, jakie jest dobre. A potem z ust wypływają mi kłamstwa. Nie poznaję samej siebie. Nie mam nawet wyrzutów sumienia, pragnienie Hennera jest zbyt wielkie. Krótco przed dziesiątą wychodzę z domu tylnymi drzwiami, przechodzę przez ogród - i biegnę. Obok kościoła i cmentarza, mijam ostatnie pojedyncze domy i wchodzę do lasu. Do zagród wiedzie tędy najkrótsza droga:

najpierw przez las, potem polami w dół do rzeki, przez most kolejowy, wzdłuż torów aż do Hennera. Mam ze sobą skórzaną torebkę na ramię z prezentami. Zaczynam schodzić. Z miasta przyjeżdżają tu na wspinaczkę, z linami i całym wyposażeniem, ale ja tego nie potrzebuję. Przytrzymuję się małych drzewek i zjeżdżam w dół, a kiedy skalna ściana staje się stroma, ściągam buty, jak dawniej w przedszkolu. Kiedy byłam mała, wspinaliśmy się tutaj i schodziliśmy, i tylko raz ktoś spadł. Miał na imię Haiko, złamał sobie obojczyk, rękę i oba stawy skokowe. Miał wtedy sporo szczęścia. Ja jednak schodzę cała i zdrowa na dół i biegnę po podkładach kolejowych do mostu, przykładam prawe ucho do szyny, słyszę szum nadjeżdżającego pociągu, odczekuję, aż przejedzie i biegnę dalej przez most, wzdłuż torów, a potem łąką pod górę do zagrody. Na całą drogę potrzebowałam mniej niż dwadzieścia pięć minut.

Kiedy docieram do bramy, uświadamiam sobie, że nie zapowiedziałam mu ani tego, że przyjdę, ani tego, że są moje urodziny. Czekam przez chwilę. Oddech mi się uspokaja, nasłuchuję jakiegoś znaku z wnętrza tej zagrody, która wypluwa mnie za każdym razem jak jakieś obce ciało.

Słyszę psy. Musiały stać niedaleko za bramą, bo szczekanie tak szybko się zbliża, że nie mogły biec z daleka. Teraz pozostaje mi tylko czekać; on zaraz tu przyjdzie. Upływa jednak cała wieczność, nim słyszę kroki i skrzypienie kamyków pod jego ciężkimi butami. Uchyła lekko bramę i zaraz wciąga mnie do środka. Potem znowu zamyka. Za każdym razem, gdy przekraczam jego progi, nie wiem, kim będę, gdy będę stąd wychodziła. Na zewnątrz świat się zmienia, a tutaj czas się zatrzymał.

Henner wpycha mnie do domu, schodami do pokoju na górze, którego jeszcze nie znam. To pokój jego matki. Pod oknem stoi łóżko, a na ścianach regały po sam sufit

wypełnione książkami. Ludzie ze wsi skromniej je oceniali, a przecież zwykle wszystko wyolbrzymiają.

W kącie po prawej stronie stoi piec kaflowy, na podłodze leży tkany chodnik w pasy. Łóżko świeżo pościelone. Henner sadza mnie na brzegu i wchodzi między moje nogi. Patrzy na mnie z góry, ręką unosi mi głowę, drugą rozpina sobie spodnie. W głowie mam całkowitą pustkę, ale ten jeden jego ruch, pewność czystego pożądania, przyprawia mnie o zawrót głowy, który przyćmiewa wszystko inne. Jestem teraz samym czuciem.

Kiedy ciała powiedziały swoje, wreszcie i my odnajdujemy słowa. Mówię mu, że mam już siedemnaście lat, jestem kobietą, ale on się tylko na to uśmiecha. Jeszcze nawet nie południe. Leżymy cicho, jego prawa ręka mnie obejmuje, nasze stopy się dotykają. Boję się, że już nic w życiu nie będzie równie silne i piękne - bo co jeszcze można przeżyć po takich doznaniach? Nigdy nie byłam tak szczęśliwa. Ciało przeszywają mi dreszcze, przytulam się do niego. Czuję się tak, jakby podarował mi coś, co miało się zdarzyć dużo później.

Henner odrywa mnie od tych myśli; proponuje, żebyśmy zrobili sobie wycieczkę.

Przed bramą stoi stara wołga. To cud, że jeszcze jeździ, jest starsza ode mnie, ale on niedawno ją kupił. Nie pytam, dokąd jedziemy, jest mi to zupełnie obojętne. Wąską drogą dojeżdżamy do szosy, potem skręcamy w lewo. W ten sposób nie musimy jechać koło zagrody Brendelów i koło gospody. Jestem zmęczona i nieustający warkot oraz kołysanie samochodu w końcu mnie usypiają. Kiedy się budzę, jesteśmy niedaleko granicy. Po obu stronach stoją puste już budki strażnicze z otworami strzelniczymi. Przed nami stacja graniczna. Na krótko się zatrzymujemy, podajemy urzędnikowi dokumenty, on kiwa głową, wędruje wzrokiem

ze mnie na Hennera i z powrotem - a potem po prostu przejeżdżamy. Wciąż jeszcze niewiarygodna wydaje mi się ta nieograniczona możliwość jechania przed siebie. Powoli uświadamiam sobie, co tu się stało i co to dla nas wszystkich oznacza. Ale teraz ważniejszy jest Henner, na nim skupia się całe moje myślenie i odczuwanie.

Mija dobra godzina, nim dojeżdżamy do jakiegoś małego miasteczka. Parkujemy w bocznej uliczce, dalej idziemy pieszo. Henner ma na sobie brudne buty i poplamione spodnie. Tylko koszula jest wyjątkowo śnieżnobiała. Ręce trzyma w kieszeniach i milczy. Idziemy szerokim deptakiem z nieskończoną liczbą sklepów po obu stronach. W kawiarniach siedzą ludzie, niektórzy spoglądają za nami. Czuję te ich spojrzenia na plecach. Myślą pewnie, że to mój ojciec, a ja odczuwam nieodpartą potrzebę dotknięcia go. Nie robię tego jednak.

Henner pyta, czy chciałabym coś kupić; chce mi coś podarować, może jakąś sukienkę. Obserwuję mijające mnie kobiety i dziewczyny i zastanawiam się, co musiałabym kupić, żeby być trochę bardziej podobną do nich. On idzie obok mnie, spojrzenie skierowane zupełnie do środka, w ogóle ich nie widzi, tych innych kobiet. W tej chwili sami sobie wystarczamy. Nie potrzebuję nowych ubrań.

Zatrzymujemy się dalej, przed kawiarnią na małym placyku z fontanną. Siadamy. Wciąż jeszcze nie potrafię się odnaleźć, mając taki duży wybór. Kawa z mlekiem, cappuccino, pojedyncze i podwójne espresso, i normalna kawa w filiżance lub w dzbanku. Henner patrzy podobnie bezradnie jak ja, kiedy więc przychodzi kelnerka, przypominam sobie Monachium i mówię: - Dwie kawy z mlekiem poproszę.

Pijemy powoli i niewiele mówimy. Pod stołem na mojej nodze spoczywa jego ręka. Potem wpadam na pewien pomysł i mówię do niego, jak kiedyś Johannes do mnie, że „muszę iść

coś załatwić". Wydaje się, że mu to nie przeszkadza, mówi tylko:

- Nie odchodź zbyt daleko, nie znasz okolicy. Upływa jednak dość dużo czasu, ponieważ także na Zachodzie trudno dostać to, czego szukam. Jakoś mnie to pociesza.

Kiedy przychodzę, on stoi przed kawiarnią. Skrzyżował ręce na piersiach i rozgląda się wokół. Jego twarz robi wrażenie skamieniałej. Staję przed nim, ręce mu się rozluźniają i opadają w dół, ale zaraz znowu się napinają, a dłonie zaciskają się w pięści:

- Gdzie byłeś tak długo, do diabła? Myślałem, że coś ci się stało.

- Zgubiłam się - kłamię, bo nie chcę zdradzić swojej tajemnicy.

- Cholera...

Nic więcej nie mówi. Potem chwyta mnie za rękę i ciągnie obok migotliwych wystaw sklepów, a ja chciałabym kupić buty, które wpadły mi w oko, kiedy chodziłam sama. Czarne na niskim obcasie i z dwoma skrzyżowanymi paseczkami z przodu. Ale on ani na chwilę nie przystaje, nic też nie mówi. Jedziemy z powrotem do domu.

W podróży jest ponury i milczący. Okropnie mi z tym niedobrze. Od czasu do czasu patrzy na mnie, ale nie wypowiada ani słowa. Wołga trzeszczy i kolebie, Henner jedzie tak szybko, że na zakrętach lecę raz w jedną, raz w drugą stronę. Bardzo się boję, że mógłby wysłać mnie zaraz do domu.

W końcu gdzieś za granicą, na którejś z wyboistych dróg, kładzie mi rękę na karku i głaszcze mnie szorstkimi opuszkami palców, co odczuwam jak dotyk kociego języka. Oddycham z ulgą. Dojeżdżamy krótko przed piątą po południu, mamy jeszcze jakieś trzy godziny.

Na podwórzu Henner od razu się uspokaja, obskakuja go psy, wraz z zamknięciem bramy nikt nie może przeszkadzać. Potem idzie do stajni, do koni.

Rozpakowuję torbę i zaczynam gotować. Kiedy była u nas Gizela, dała Mariannie przepis na rosół o podobno doskonałym smaku. Powiedziała, że to właściwie zupa dla kobiet w połogu, ale nic to, mężczyznom też smakuje.

Biorę dwa kurze udka, starannie je myję i wkładam do garnka z trzema litrami wody. Do tego wrzucam zwykłe warzywa jak do zupy - marchewkę, seler, kalarepę - trochę rodzynek, jedno jabłko, trzy małe cebule, sześć ząbków czosnku, jednego pora i dodatki, których tak długo szukałam, że Henner się o mnie martwił: daktyle, korzeń lotosu i ziele angielskie. Na koniec dodaję czubatą łyżkę przyprawy rosółowej i soli, a potem zupa gotuje się dwie godziny. Po ugotowaniu trzeba odcedzić wszystkie dodatki, oddzielić mięso od kości, pokroić je i podawać czystą zupę z mięsem.

Kiedy Henner wraca, przystaje w drzwiach i wciąga w nozdrza zapach. Potem jego spojrzenie pada na kuchenny fartuch, który znalazłam w szafce obok garnków i szybko nałożyłam na sukienkę. Fartuch należał do jego babki, która zmarła dopiero kilka lat temu, mając niemal dziewięćdziesiąt lat. Podchodzi, obraca mnie, śmieje się i mówi:

- To mi się podoba.

W czasie, gdy zupa się gotuje, jeszcze raz idziemy do pokoju z książkami.

Później powoli się ubieram, fartuch leży koło łóżka - i tam go zostawiam. Henner stoi przy oknie i przygląda mi się. Na jego twarzy maluje się tęsknota - a może to tylko zapadający zmrok delikatnie przyciemnia mu rysy.

Schodzimy schodami do kuchni, gdzie przygotowuję zupę. Henner siada przy stole i czyta jakąś książkę.

- Przeczytaj mi to głośno, Henner!

Jego głos brzmi spokojnie, słowa wymawia powoli i dobitnie: Ci samotni ludzie, tak gburowaci i nazbyt oddani własnym skłonnościom, ale pełni dobroci wobec siebie nawzajem, wobec zwierząt i wobec ziemi! (Knut Hamsun, Błogosławieństwo ziemi.)

- Bardzo mi się to podoba - przerywam mu i pytam, co to za książka.

- Powiem ci, kiedy przyjdiesz znowu - odpowiada z uśmiechem i odkłada ją na bok.

Henner mówi, że zupa smakuje znakomicie, i dodaje, że nigdy jeszcze nie jadł tak świetnego rosółu. Zachowuję się, jakby to było normalne; nie chcę okazać mu, jak bardzo jestem z tego dumna. Ale kiedy się z nim rozstaję, czuję, jakby coś rozrywało mi piersi.

Rozdział 15

W drodze do Brendelów uczucie dumy znika; wydaję się sobie nędzna i podła. Proszę, Johannes czeka na przyjaciółkę, Fryda może przygotowała kolację, ale Maria jest syta - syta pod każdym względem. Nie pojmuję, jak mogę ich tak oszukiwać, ich, którzy mnie tak przyjaźnie przyjęli. Potwornie się wstydzę, ale nie potrafię tego żałować.

Mam szczęście, że kiedy przychodzę, Johannes wciąż jeszcze pracuje na łące. Najdalej za pół godziny zrobi się ciemno, zbyt krótko, żeby zmyć z twarzy wyraz oddalenia. Sama go widziałam w lustrze, a Henner powiedział:

- Wyglądasz zupełnie inaczej niż na początku. Jesteś teraz piękniejsza.

Zastanawiam się, czy i oni to zobaczą. Ale nie, nie widzą, co lekko uspokaja moje nieczyste sumienie. Ta ich nieświadomość doprowadza mnie niemal do wściekłości. Tylko Alfred, ten się zorientował. Patrzy tak na mnie podczas kolacji, aż ciarki przechodzą mi po plecach. Nie sądzę, żeby on tak pomyślał. On to poczuł. On przecież wiele nie myśli, ale ma dobry instynkt.

Mój biedny Johannes jest taki zmęczony i nie domyśla się, jak mnie to cieszy. Jego wyczerpanie chwilowo mnie ratuje. W czasie kolacji opowiada, że zaraz po powrocie ojca chce zacząć robić zdjęcia wsi. Niektórych mieszkańców już pytał i większość nie ma nic przeciwko temu. Kiedy on mówi o Akademii, Marianna zawsze siedzi zupełnie cicho. Ktoś jej powiedział, że w mieście są narkotyki.

Johannes macha na to tylko ręką i mówi, że takie rzeczy go nie interesują. Potem zwraca się w stronę matki i pyta:

- Czy Henner przychodzi czasem do sklepu? Chcę go zapytać, czy mógłbym pójść kiedyś do niego i porobić zdjęcia w jego obejściu. To dobre miejsce na fotografowanie: stary dom, te psy, konie...

Marianna przytakuje i mówi, że go zapyta, kiedy następnym razem przyjdzie. Nie przełknę już ani kęsa. Ale Johannes ma więcej pomysłów, wydaje się nawet, że zmęczenie zupełnie z niego wyparowało.

- Ty też mogłabyś pójść ze mną, Mario. Henner na pewno nie miałby nic przeciwko temu, żebym zrobił ci tam parę zdjęć.

Myślę, że jednak miałby coś przeciwko, z całą pewnością by miał. Alfred aż się trzęsie. Jego okropna twarz zawisa przez chwilę nad talerzem zupy, ale swoim krzywym spojrzeniem przecina mnie na dwie części. Teraz to powie, myślę. Wszystko skończone. Już prawie się cieszę, że wreszcie uwolnię się od tego przekłętą napięcia. Ale nie, nabiera powoli zupę i siorbie, a ja bezczelnie patrzę mu w twarz. Opuszcza wzrok.

- To będą naprawdę dobre zdjęcia, Mario - gada bez ustanku Johannes. - W tym starym domu wszystko wygląda przecież jak kiedyś, on nie ma nawet łazienki, tylko taką starą miskę do mycia, a meble to są nawet po dziadkach, nie, mamó?

- Tak, rzeczywiście - potwierdza Marianna. Niemal namacalnie dostrzegam, jak Johannes układa sobie w głowie różne motywy. Fryda dorzuca, że Henner nawet nosi jeszcze wodę ze studni. Nic dziwnego, że żona nie chciała tam zostać. Kwiaty, co w chłodzie śmiertelnym czekają, drżące, na ścieście - myślę, ale chyba nie tylko myślę, musiałam to też powiedzieć, bo Johannes pyta:

- Co mówisz?

Marianna też patrzy zaciekawiona, więc muszę powtórzyć. Mówię im całą zwrotkę:

Jesteśmy wędrowcami, co celu nie znają, Chmurami, które pędzi wiatr, Kwiatami, co w chłodzie śmiertelnym czekają,

Drżące, na ścieżce - swój ostatni akt. (Georg Traki, Pieśń do nocy.)

Marianna uważa, że to dość słabe, ale Johannesowi się podoba. Chce wiedzieć, skąd to wzięłam, a ja, nie spuszczać wzroku z Alfreda, wyjaśniam:

- Czytałam u matki, dziś cały dzień tam przecież przesiadziałam.

Ale Alfred je dalej, nawet na mnie nie spojrzy. Kot ociera mi się o nogi, a jego mruczenie wydaje mi się jak odgłos groźnego grzmotu. Na dworze śpiewają ptaki.

Jestem nędzną kłamczuchą, myślę, nędznym człowiekiem. Słyszę innych jakby z oddali. Na nodze czuję dotyk kociego języka, to budzi wspomnienie. Alfred nagle zaczyna się śmiać, a Frydamu wtóruje. Nie mam pojęcia, z czego się śmieją, ale wydaje mi się to diabelskim śmiechem. Myślę, że on tylko dlatego nic nie mówi, że chce mnie dręczyć. Chce się tym napawać do samego końca. To diabeł. Nagle czuję wstręt do jego ślepej miłości do Frydy. Rozumiem jednak równocześnie, że on, wiecznie poszkodowany, który raz miał szansę zostać rolnikiem na gospodarstwie, stał się zgorzkniały i podły. Nikomu tutaj nie może nic zrobić, bo przecież tu mieszka i Fryda nigdy by mu nie wybaczyła, gdyby źle się obszedł z Zygfydem albo z Marianną. Ale ja nie jestem stąd. Gdyby otworzył im oczy na to, kim jest Maria, nikt nie miałby mu tego za złe, może nawet byliby mu wdzięczni.

Teraz kot wskakuje mi na kolana i łasi się. Z kotami nigdy nic nie wiadomo.

- Chodź, idziemy na górę - mówi Johannes, a ja wstaję i trzymam go na ręce, kota, a potem mam nadzieję, że Johannes szybko uśnie.

*

Upływa trochę czasu, w którym nie mam okazji pójść do Hennera. Pracuję „Pod Lipami”, a Zygfyd wrócił z Bawarii

wcześniej, niż zamierzał. Od czasu tych poduszonych kur był dość niespokojny. Poza tym zobaczył, co chciał zobaczyć, czyli te gospodarstwa należące do ruchu Demeter. Opowiada nam o tym krótko i zwięźle, jak mu tam zaproponowali nocleg - w komnacie krasnoludków. Komnata krasnoludków! Zygryd trzęsie się ze śmiechu, ale zaraz krztusi się i odchrząkuje. I że używają tam jeszcze pługa z wołami. Wielkie nieba! Po co ta przesada. Jest to przekonujące, ale oczywiście nie żadne czary. Jego gospodarstwo nie potrzebuje żadnej przebudowy, antropozofia niczego takiego nie wymaga, tak naprawdę wszystko jest tak jak tutaj, porządne jedzenie własnego wyrobu, ze swojego gospodarstwa, bez chemii i leków, obora wietrzona i czysta, krowy na łące. Marianna na to, że ona od początku tak mówiła, ale Zygryd odpowiada, żeby zamiast tyle gadać, raczej pamiętała o kurach. Wtedy milknie obrażona.

Potem opowiada jeszcze, jak Gizela owinęła sobie Hartmuta wokół palca i że on z taką żoną by nie wytrzymał, i jaki jest zadowolony, że wreszcie może być w domu. Nie miał tam spokoju, bo przecież wiedział, że Johannes da radę zrobić najwyżej połowę z tego, co on, czyli połowę tego, co trzeba zrobić.

Przyjechał zaledwie godzinę temu, a już zabiera się do pracy. Johannes jest na razie wolny i zaczyna robić pierwsze zdjęcia wsi. Mam nadzieję, że gospodarstwo Hennera będzie fotografował na końcu. Może wtedy już to wszystko minie.

Jest późne lato, już czai się jesień, a ja nie mam pojęcia, co mam robić dalej. Właściciel gospody powiedział, że mogę tam nadal pracować, ale to nie jest rozwiązanie. Kiedy tylko zamknie część werandową, będą przychodzić głównie pijacy. Tylko w weekendy przyjeżdżają ludzie z miasta, czasami spotyka się tam też stowarzyszenie regionalne, więc nie będzie wiele pracy. Zygryd mówi, że powinnam wrócić do szkoły,

że jeśli nie chcę robić matury, to powinnam przynajmniej powtórzyć klasę. Mieszkać mogę nadal u nich, dodał, i to jasne postawienie sprawy bardzo mnie ucieszyło. Za dużo tego wszystkiego. Poruszam się jak dziecko we mgle, albo nie widzę żadnej drogi dla siebie, albo widzę ich zbyt wiele.

Chcę go znowu zobaczyć, ale on w ogóle nie przychodzi do sklepu. Marianna już się temu dziwiła, mnie też wydaje się to nienaturalne. Mówi się, że jakieś nagłe sprawy wezwały go do miasta, ale nikt nic dokładniejszego nie wie. Boję się, że o mnie zapomniał. Tak po prostu. Pójdę do niego dziś po pracy.

Rozdział 16

Właściciel gospody podlicza moje napiwki. Prawie siedem marek plus zapłata za osiem godzin to razem czterdzieści siedem marek. Niemało. Może znowu pojedziemy z Johannesem do miasta i gdzieś pójdziemy. Teraz jednak skręcam w prawo, a po jakichś stu metrach wchodzę na ścieżkę prowadzącą do Hennera. Kiedy stoję przed jego bramą, uginają się pode mną nogi. Nie widać ani jednego światła, nie ma też wołgi. Słyszę tylko, że po podwórzu biegają psy. Chodzę wokół, zaglądam, czy nie jest otwarte jakieś okno, ale wszystko jest szczelnie pozamykane. Gdzie on może być o tej porze? Ogarnia mnie dziecięca zazdrość, robię w tył zwrot i wracam do domu. Niech sobie nie wyobraża, że nie mam nic lepszego do roboty, niż myśleć o nim. Ostatecznie jest dla mnie o wiele za stary. Idę coraz szybciej i okropnie się boję, że ktoś mógł mnie widzieć, i to teraz, kiedy nic złego nie zrobiłam. To byłaby największa hańba, gdyby mnie ktoś tak bez sensu przyłapał.

Ach, ten Henner! Zapewne jest u jakiejś kobiety - bo gdzie indziej może być tak późno wieczorem? Skręcam właśnie w drogę do Brendelów, gdy jakieś auto jedzie przez most. Chowam się za grubą lipą i czekam. To on; jedzie sam.

Jestem tym tak uszczęśliwiona, że jak szalona biegnę do domu i wpadam na górę do Johannesesa. Obejmuję go gwałtownie i dzisiaj znowu ze sobą śpimy.

Ale następnego ranka, jeszcze przed rozpoczęciem pracy, idę znowu do zagrody Hennera i pod bramą wsuwam mu list. „Kup jutro kilka rzeczy u Marianny i powiedz, że później je odbierzesz, bo masz jeszcze coś do załatwienia. Przyniosę Ci je! Nie wiem, jak inaczej mogłabym przyjść. Maria”.

Nocą ułożyłam sobie taki plan. Johannes spał jak zabity; wieczorem jest zwykle bardzo zmęczony, bo pracuje jak szalony nad tymi zdjęciami. Nie miałam pomysłu, jak pójść do

Hennera. Powiem w takim razie, że idę do matki i że po drodze zaniosę mu te rzeczy. Mogę wykorzystać czas przed pracą w gospodzie, którą zaczynam dopiero wczesnym popołudniem.

Od samego rana nasłuchuję, czy nie przyszedł do sklepu. Było dziś kilkoro ludzi z wioski. Głównie starsze kobiety, które lubią poplotkować z Marianną. Tylko Hennera nie ma. Można się załamać, mdli mnie po śniadaniu i chce mi się płakać. Nie przychodzi, nie przychodzi, nie przychodzi. Kiedy się przebieram i wychodzę do pracy, w sklepie nadal go nie było. Rozpatruję wszelkie możliwe scenariusze: że psy zjadły mój list, że zwiął go wiatr, konie wdeptały go w ziemię, Henner jest chory lub pijany (albo jedno i drugie) i wreszcie - że on nie chce mnie już widzieć. Po prostu ma mnie dosyć. Nie potrafię sobie tego wyobrazić, a jednak wydaje mi się to prawdopodobne. Ta myśl jest straszniejsza niż obawa, że wszystko się wyda.

Wchodzę do gospody, rzucam torebkę za ladę i zaczynam pracę. Pod koniec dnia jestem pewna: między mną i Hennerem wszystko skończone. Koniec, kropka. Oprócz pustki czuję też przez krótką, bardzo krótką chwilę leciutką ulgę.

*

Siedzę w ogrodzie pod jabłonką, obok mnie na leżaku siedzi matka. Łagodne powietrze dobrze mi robi. Spokój także działa na mnie kojąco, i nawet obecność matki. Siedzę i patrzę przez płot. Właściwie nie ma tam czego oglądać.

Minęło już siedem dni, jak napisałam ten list. Powoli znowu zaczynam czuć swoje ciało, a nie tylko ból. To mój pierwszy miłosny zawód. Były chwile, kiedy myślałam, że naprawdę umrę z tej miłości. Określenie „złamane serce” wydawało mi się najprawdziwszą rzeczywistością, nie czułam w nim najmniejszej przesady. Dużo paliłam i praktycznie nic

nie jadłam. Chciałam się rozpląnąć. Umrzeć. Przeminać. Chciałam zniknąć. Brendelowie byli dla mnie bardzo dobrzy, ale cierpiałam okropnie. Nie mogłam wyjawić przyczyny tego cierpienia, musiałam je znosić całkowicie sama i to wydawało mi się nieproporcjonalnie wielką karą za moje postępowanie. Każdy gest przyjaźni tylko potęgował ból, każdy dotyk Johanna wywoływał płacz. Zrzucałam to na rodziców, nowe małżeństwo ojca, smutek matki, zawałony rok szkolny. Powodów było aż nadto.

Ale do pracy chodziłam. Gdybym zostawała w pokoju sama z pajakami, z pewnością bym oszalała. Nic o nim nie słyszałam, nie widziałam go. Mieszka tak blisko, a w ogóle go nie widać. Może umarł, myślałam. To by mi przynajmniej na zawsze zapewniło miejsce w jego sercu. Wolałam widzieć go martwym, niż myśleć, że mógł mnie już nie chcieć.

W końcu zatęskniłam za matką i domem i Johannes przywiózł mnie tu samochodem. Matka wystraszyła się moim wyglądem: chudością, trupio bladą twarzą i głębokimi cieniami pod oczami. Weszłam do domu, poszłam na górę do swojego pokoju i położyłam się do łóżka. Po mojej głowie goniły się wersy wiersza, którego pewnie nigdy nie zapomnę ...Kwiaty... śmiertelny chłód... czekają na ścieście... ścieście. Matka zagotowała herbatę, a babcia zrobiła zupę budyniową, którą zawsze chętnie jadłam, kiedy chora leżałam w łóżku. Chciałam wytłumaczyć jakoś ten swój stan, więc opowiedziałam o wizycie ojca, która tak fatalnie na mnie wpłynęła, i o zawałonym roku w szkole. Henner nauczył mnie przecież kłamać. To był czwarty dzień bez niego. Następne dni zbliżyły mnie do matki, która opiekowała się mną jak dawniej, kiedy byłam małym dzieckiem. Teraz, w ciężkim strapieniu, znowu stałam się jej dzieckiem, któremu trzeba pomóc.

Upłynęło siedem dni. Siedzimy w ogrodzie; nie umarłam, nawet znowu mogę jeść. Widzę też przed sobą jakąś przyszłość, choć wydaje mi się ona beznadziejna. Zamykam oczy i na skórze czuję słońce. Jest tu cicho, myśli wiszą w spokoju ogrodu, jakby były przyklejone, i nie rozpraszają się szybko. Wciąż jestem okropnie smutna.

Na drodze koło domu zatrzymuje się jakiś samochód. Słyszę dzwonek do drzwi i zaraz potem dobrze znany głos. Przez otwarte drzwi do ogrodu wchodzi Henner, idzie w naszą stronę i mówi z niesłychaną pewnością siebie:

- Brendelowie powiedzieli, żebym wstąpił po drodze i zobaczył, co z Marią. Johannes pyta, czy nie chciałaby wrócić do nich od razu teraz, ze mną. Pewnie się za nią stęsknił.

Wstaję, zbieram swoje rzeczy i wsiałam do samochodu.

Rozdział 17

Kiedy wsiadłam, a on zatrzasnął drzwi, matka macha mi przez ogrodzenie. Uśmiecha się i macha. Jak na filmie w zwolnionym tempie. Jest i babcia Traudel, też z uśmiechem mi macha. Odpowiadam im uśmiechem i podnoszę rękę na pożegnanie. W tym czasie Henner obchodzi auto i wsiada do środka. Dopiero teraz dostrzegam, że babcia ma na sobie śmiesznie kolorowy fartuch. Ciągłe mi kiwa ręką, jakbyśmy się miały więcej nie zobaczyć.

Potem Henner włącza silnik i odjeżdża. Jedzie szybko, ciężko oddycha. Wiele go musiało kosztować to opanowanie u nas w ogrodzie. Kłamstwa nie przechodzą mu przez usta tak łatwo jak mnie. Dopiero kiedy wyjeżdżamy ze wsi, mówi:

- Zawiozę cię teraz do domu, a sam pojedę do Brendelów. Powiem im, że spotkałem twoją matkę, która mi powiedziała, że potrzebujesz jeszcze spokoju i chcesz pobycć kilka dni w samotności. Zrozumiałaś, Maryjko?

Przytakuję mechanicznie i staję się dla mnie jasne, że niewiele brakowało, a umarłabym zupełnie bez powodu.

W domu Henner zanosí moją torbę na górę, do pokoju matki. Kąciki ust zwiesza ze zmęczenia.

- Połóż się teraz trochę. Ja zaraz przyjdę i zrobię ci coś do jedzenia.

Przed odejściem obejmuje mnie długo ramieniem, a ja wdycham ostry zapach kłamstwa.

To ostatni tydzień wakacji, ostatnie wolne dni tego lata.

Kładę się na łóżku. Na podłodze wciąż jeszcze leży fartuch, którego używałam poprzednio. Okno jest zamknięte i tak brudne, że prawie nic przez nie nie widać. Regały na książki pokryte kurzem, a chodnik cały poplamiony. Pierwszy raz jestem tu sama. Nie zauważyłam, że czuć tu stęchlizną i jak bardzo różnią się zapachem stare rzeczy od nowych. Prawie nie mogę oddychać. W kuchni na dole znajduję wiadro

i ścierkę i zaczynam mycie. Szeroko otwieram okno i próbuję sobie wyobrazić matkę Hennera, jak siedziała tu z książką w ręku. Przez okno widać tylko zamknięte ze wszystkich stron podwórze. Jestem tu całkiem sama. Murowany łuk bramy wygląda jak wejście do jakiejś twierdzy. U Hennera jest bezpiecznie i groźnie zarazem. Psy leżą w cieniu obok niecki z żarciem. Zapewne Henner nakazał im mnie pilnować. Wyobrażam sobie, że spoglądają tu, w górę. Cieszę się, że mnie zabrał. Tak się cieszę.

Myję okna, odkurzam regały, ścieram podłogę i trzepię chodnik. Wywieszam go po prostu przez okno i uderzam w niego rękami. A potem słyszę, jak on nadjeżdża. Auto burczy wzdłuż drogi, zatrzymuje się; słyszę trzaśnięcie drzwi i Henner podchodzi do bramy, potem idzie do domu. Wołam do niego i macham mu z góry, a on zasłania ręką oczy przed słońcem i się uśmiecha.

- Chodź na dół! - woła. - Mam coś do jedzenia, przyniosłem z gospody.

Kiedy siedzimy przy stole, patrzy na mnie długo i badawczo. Potem pyta:

- Co ty sobie myślisz, Maryjko? Tylko dlatego, że trzy dni byłem poza domem, od razu myślałaś, że wszystko skończone? Mój Boże, a ja miałem tylko parę spraw do załatwienia w mieście, ważnych spraw, finansowych. Całą masę zaszłości.

Ciągle jeszcze na mnie patrzy. Wstydzę się. Ręce trzymam splecione na kolanach; wyglądam przez okno.

- Kiedy wróciłem, znalazłem twój list - ciągnie. - Następnego ranka poszedłem więc do Marianny i zrobiłem duże zakupy, a potem czekałem na ciebie. Ale ty nie przyszałaś. Więc poszedłem znowu do Brendelów i sam przyniosłem te rzeczy. Dowiedziałem się wtedy, że jesteś chora i wychudzona. Nikt nie wie, co ci właściwie jest, a

właściciel gospody musiał sobie poszukać nowej pomocy. Następnego dnia poszedłem znowu. Marianna powiedziała, że cię tam w ogóle nie ma, że chciałaś wrócić do matki... Całymi dniami czekałem, aż przyjdiesz. I to wszystko dlatego, że raz coś poszło inaczej, niż sobie zaplanowałaś? Naprawdę myślałaś, że już cię nie chcę? - jest zły, widać to po jego czole i po oczach.

- Tak, właśnie tak myślałam - odpowiadam. - Nic mi nie powiedziałaś, nie wiedziałam, że wyjeżdżasz. Myślałam, że masz mnie dosyć. Myślałam, że umrę, Henner, że naprawdę umrę - przestaję mówić, bo nie chcę płakać. Co chwila przełykam ślinę.

Jedzenia nawet nie tknęliśmy.

- Teraz jedz! - mówi ostro, po ojcowsku, a po chwili dodaje: - Tak łatwo się nie umiera, dziewczynko. Możesz mi wierzyć.

Z jego gardła dobywa się dźwięk, coś jakby nieudany śmiech. Wychodzi z tego w końcu chrząknięcie, które zamyka ten dziwny odgłos. Gniew mu minął, jest chyba też trochę poruszony. W każdym razie dotyka mnie później zupełnie inaczej niż dotąd, delikatnie. Robi wszystko tak, że to ja przeżywam całą rozkosz, a na koniec proszę, żeby jeszcze tak robił. Inaczej niż Johannes, Henner chce wiedzieć, jak brzmi miłość, chociaż okna są otwarte. Przez całą noc mocno obejmuje mnie ramieniem i następnego ranka czuję się szczęśliwa i wyleczona.

*

Zostaję u niego przez całe cztery dni. Początkowo ciągle płaczę - bardzo mnie męczy przejście od pragnienia śmierci do bycia szczęśliwą. Dużo teraz rozmawiamy. Henner mówi, że nie wie, dokąd to wszystko prowadzi, ale że się ułoży. Jakoś. Nie pije już. Często mówi o swojej matce: jak wyglądała, że miała taką delikatną miejską twarz, ale prawie się nie śmiała. I

jak potem coraz więcej piła. Początkowo chowała butelki, gdzie się dało: w szafach, pod łóżkiem, w stajni koło koni i świń... Później już sobie nie zadawała tego trudu. W końcu zachorowała na raka i już tylko leżała w łóżku. Absolutnie nie chciała iść do szpitala, co dziadkowie Hennera dobrze rozumieli. Byli dziwakami.

- Umiera się w domu. I tak nie możemy przecież ciągle jeździć do szpitala - orzekł dziadek.

Henner miał wtedy piętnaście lat. Często siadał na jej łóżku i czytał jej na głos, nierzadko całe książki, od deski do deski. Był też przy niej, kiedy umierała. Krótco przed śmiercią wysłała go po ojca, któremu chciała wreszcie opowiedzieć tę historię z Rosjanami. Henner został za drzwiami i podsłuchiwał.

Właściwie wszystko się z tego wzięło, z tych rosyjskich gwałtów, z którymi nie potrafiła się uporać. Henner bardzo się tym przejmuje. Kiedy o niej mówi, zawsze staje się bardzo cichy i bardzo gniewny, ale ciągle do tego wraca. Nie sypiamy już w jej pokoju, tylko na dole, w pokoju obok kuchni, gdzie wziął mnie pierwszy raz. Wyglądam stamtąd czasami w stronę Brendelów i nie wiem, jak mam tam wrócić.

Opowiadam mu, że Alfred chyba wie o nas, ale on się tym nie przejmuje. Uważa, że kiedyś wszystko się wyda i że tak czy owak to będzie trudne i nieprzyjemne. Przyznaję mu rację, te kłamstwa są okropne, ale prawda też nie jest lepsza. Tymczasem wszystko ma pozostać tak, jak jest.

Posprzątałam kuchnię i położyłam piękny obrus. W południe gotuję, a wieczorem jemy chleb, masło, kielbasę, ser żółty i pomidory z cebulą. Henner często mi pomaga, nie każe się obsługiwać. Te posiłki lubię najbardziej. Dają mi poczucie, że robimy razem coś normalnego. Wszystko inne między nami jest przecież tak różne od tego, co znam.

Kiedy on pracuje, ja czytam. Później mu o tym opowiadam, ale większość moich lektur on już zna. Mimo to słucha uważnie i ciągle chce wiedzieć, jak oceniam tę czy inną postać i kto mi się najbardziej podoba. Kiedyś mówi:

- Czasami jesteś taka mądra, a potem znowu przekorna jak mała dziewczynka.

Obrażam się i staję się uparta, ale potem Kochamy się i wszystko zapominam. Teraz Henner kocha mnie inaczej. Nie tak dziko i z pasją, jak na początku. I niczego się nie wstydzi, co jest dla mnie zupełnie nowe. Mówi mi, co powinnam robić i pyta, czego bym chciała. Nigdy nie gasi światła, chce zawsze wszystko widzieć. Ja też mam widzieć - prosi, żebym nie odwracała wstydliwie wzroku od jego naprężonego członka. Wciąż mi powtarza, że nie robimy nic złego. Jemu zawdzięczam, że wreszcie tak myślę. Tak naprawdę to on jest moim pierwszym mężczyzną.

Bo też nikt mnie nigdy wcześniej nie uświadomił. Wszystko, co wiem o miłości, docierało do mnie przypadkiem, dzięki innym ludziom, którzy wiedzieli o niej więcej. Nadal jednak było w tym obrazie wiele niewiadomych.

Kiedy w południe podchodzi do kuchni i zagląda do garnka, wystarczy tylko jeden jego przypadkowy dotyk, żebym znowu go pożałowała. Szybko to zauważył i trochę mnie dręczy. Podchodzi, kiedy stoję przy kuchence, i wkłada mi powoli rękę pod spódnicę, sunąc coraz dalej i dalej. Delikatnie mnie głaszcz szorstkimi palcami, potem czuję te palce w sobie, ale wtedy on nagle je zabiera. Lubi, kiedy go proszę, żeby jeszcze nie kończył. Pyta mnie wtedy wielokrotnie:

- Co mam robić, czego mam nie kończyć, Maryjko, czego...? Powiedz mi, czego chcesz...

- Głaszcz mnie jeszcze... - szepczę, i on znowu zaczyna.

Jest w tym wszystkim oczywistość, która pozwala nam wiele sobie obiecywać.

Trzeciego dnia późnym popołudniem wyjeżdżamy konno. To nie jest bezpieczne, z domu Brendelów jest rozległy widok na łąki. Ale my czujemy się nietykalni. Ja dosiadam delikatnej Jelli, a on młodego ogiera, którego dopiero ujeździł. Do granicy lasu mkniemy galopem. Trudno mi utrzymać się w siodle. Pod osłoną drzew pozwalamy koniom na spokojny kłus. Jest piękny dzień, lekki, świetlisty i pachnący; nic nas nie martwi. Nagle Henner lekko kopie ogiera w bok, skręca i gna przed siebie. Odwraca się do mnie i nie widzi powalonego drzewa, które leży w poprzek drogi. Ogier przestraszył się przeszkody, staje dęba i Henner spada.

Znieruchomiałam w jednej chwili, nie mogłam go nawet ostrzec. Zsiadam, przywiązuję Jellę do drzewa i biegnę do niego. Stoczył się po łagodnym zboczku w dół i jęczy. Zanim zdążam do niego dobiec, woła uspokajająco:

- Nic mi się nie stało, Maryjko, nic się nie stało...

Kiedy jednak chcę mu pomóc wstać, nie daje rady. Mówi opryskliwie, że sam sobie poradzi. Lewa kostka spuchła od razu. Z trudem się podnosi i kuśtyka w górę zbocza, dochodzi do konia i ledwie na niego wsiada. Wracamy. Na podwórzu widać, że kostka wygląda źle, a opuchlizna przybrała niebezpieczne rozmiary. Kiedy idziemy do domu, musi wesprzeć się na mnie. Jest całkiem zasepiony. Przez cały wieczór nie może wstawać, a ja go pielęgnuję, jak potrafię. Przynoszę z lodówki lód, zawijam w kuchenne ścierki i przykładam do obolałej kostki, a w szafce nad zlewem znajduję maść przeciwbólową. Daję mu kanapki i nawet trochę wódki. Siedzę przy nim, ale on jest mrukliwy i podenerwowany. Mówi, że dziś powinnam spać na górze. Nic z tego nie rozumiem. Później, kiedy nie mogę spać, myślę o

matce Hennera, która zmarła w tym łóżku. Ogarnia mnie okropny strach i schodzę do niego na dół. Obok łóżka stoi prawie opróżniona butelka wódki, którą musiał sobie przynieść. Myślę, że śpi; leży na prawym boku i oddycha miarowo, a ja kładę się obok i dokładnie przylegam do niego całym ciałem, a wtedy on bierze mnie w ramiona i już nie wypuszcza.

Następnego ranka ktoś puka do drzwi. Na chwilę wstrzymujemy oddech. Henner wcześniej się opanował i powoli wstaje. Kostka trochę skłęśła; jeszcze go boli, ale już może chodzić. Słyszę, jak otwiera drzwi i zaczynam drżeć. To Johannes. Przyszedł robić zdjęcia, mówi, że chce wykorzystać poranne światło. Henner zachowuje spokój i mówi, że może fotografować na podwórzu, a nie w domu. Przemykam na drugą stronę do kuchni, a stamtąd schodami na górę do pokoju matki. Obserwuję Johanna z za firanki: chodzi wokół z aparatem i szuka najodpowiedniejszego ustawienia. Teraz znów chciałabym umrzeć. Okropna jest ta świadomość, że wszystko może się wydać, wolałabym tu, na górze, umrzeć z głodu, niż zejść na dół. Słyszę, jak Henner hałasuje w kuchni. Wreszcie - upłynęła chyba cała wieczność - przychodzi na górę, niosąc mi kawę i chleb. Kładzie palec na ustach, jakby się bał, że wywołam jakiś hałas, który nas zdradzi. Siedzimy w ciszy. Johannes idzie do stajni, do koni, wychodzi, idzie do studni i do stodoły. Robi zdjęcia domu i stajni, fotografuje drzwi wejściowe i wielką bramę wjazdową, psy i ławeczkę pod kuchennym oknem. Nie potrafię się opanować i patrzę w dół, śledząc jego ruchy. I właśnie wtedy on naciska spust migawki, a obiektyw aparatu skierowany jest lekko ku górze. Rzucam się na łóżko.

- Co się stało? - pyta szeptem Henner.
- Sfotografował mnie.
- Jak to, co ty mówisz? - pyta zdumiony, więc wyjaśniam:

- Miał uniesiony do góry aparat i myślę, że będę na tym zdjęciu.

- Do diabła, Maryj ko, to było niemądre! - mówi.

Johannes woła Hennera. Siedzę na podłodze pod otwartym oknem i próbuję zrozumieć ich słowa. Johannes pyta, czy będzie mógł przyjść jeszcze raz, z Marią, żeby zrobić zdjęcia w domu i czy Henner chce dostać któreś z nich, i co mu się stało w nogę, bo chyba kuśtyka. Henner udziela krótkich, mrukliwych odpowiedzi i Johannes odchodzi. Bramę za nim starannie zamyka i rygluje. Człapie z powrotem do domu i siada w kuchni przy stole. Po chwili schodzę na dół i siadam koło niego.

Uporczywe milczenie.

- To przecież nie moja wina, że przyszedł Johannes - mówię.

Spogląda na mnie i chce coś powiedzieć, ale słowa zamierają mu na ustach. Klękam przed nim na podłodze, kładę głowę na jego kolanach i czule do niego przemawiam. Gwałtownie oddycha, sadza mnie na kolana i chowa głowę na mojej piersi. I tak siedzimy długo, długo.

Rozdział 18

Tym razem pożegnanie było niedobre. Ogarnęła go dzikość naszych pierwszych kontaktów i kiedy już stałam przy bramie, wciągnął mnie jeszcze raz do domu i rzucił na łóżko. Nawet mnie nie rozebrał, podniósł tylko sukienkę, ściągnął i gdzieś odrzucił majtki. Jego ciężkie ciało zapadło się w poduszki i koce, zabrało mi całe powietrze; odczuwałam prawdziwy ból. Prawie mnie zgniótł swoim ciężarem, a jego żądza miała w sobie coś zwierzęcego, nieobliczalnego, coś, co przypomina rzeczy, które zdarzyły się na długo przede mną, o których nie chcę wiedzieć, a mimo to myślę, że je znam, jakby moja pamięć była częścią jakiejś większej pamięci. Odchyliłam głowę do tyłu, żeby móc oddychać. Zaciśnięte w pięści dłonie przycisnęłam do piersi. Kiedy chciałam coś powiedzieć, zamknął mi ręką usta i wyszeptał tonem napawającym mnie zgrozą:

- Bądź cicho!

Spodnie miał ściągnięte tylko do połowy. Rozłożył mi nogi na boki, a jego twarde przyrodzenie chciało wejść do środka. Ale ja się zamknęłam.

Tym razem naprawdę nie chciałam. Odsunęłam jego rękę i powiedziałam:

- Nie!

Już nie. Potem wstałam, poprawiłam ubranie i poszłam.

*

Wracam do Brendelów. Marianna stoi przy ladzie i plotkuje z żoną właściciela gospody, Johanna nigdzie nie widać. Przychodzi Alfred z jakimś wiadrem, które niesie przez podwórze. Wita mnie przyjaźnie, mówiąc:

- No, odpoczęła u mamy? Trochę się zaokrągliła. No tak, kiedy się ma zmartwienie, najlepiej jak się mama zaopiekuje.

Usta rozciągają mu się w krzywym grymasie, potem idzie dalej. Marianna przynosi zaraz szklanekę świeżego mleka i stawia mi ją w kuchni na stole.

- Johannes jest na górze, w ciemni - mówi, a mnie jest prawie niedobrze od warstwy tłuszczu na mleku. Wypijam jednak wszystko i idę na górę.

Ostrożnie stukam do ciemni.

- Zaczekaj chwilę, zaraz będę wolny! - woła Johannes.

Upływa kilka ładnych minut, nim otwiera. W środku przypięte spinaczami wiszą wilgotne odbitki. Johannes obejmuje mnie i głaszcze moją twarz.

- Już dobrze? - pyta. - Będziesz teraz tutaj?

- Tak, w porządku - mamrocę niewyraźnie.

Zaraz potem pokazuje mi zdjęcia. Są i te z zagrody Hennera. Pokazuje mi wszystkie po kolei i opowiada, jak je zrobił i dlaczego akurat tak. Słucham uważnie i czekam na moment, kiedy odkryje kobietę za firanką i wszystko się wyda. Wreszcie jest. Nie wyszło zbyt dobrze, trochę nieostre i przyciemnione, ale za firanką wyraźnie rysuje się kobieca postać. Johannes dostrzega to i milczy. Bolesnie mocno czuję teraz swoje ciało, czuję, jak tężeją mi usta i trudniej mi przełknąć ślinę.

Johannes patrzy i patrzy, a ja chcę to wszystko teraz powiedzieć. Powiem mu całą prawdę, spakuję torbę i pójdę z powrotem do Hennera. Tak, chcę to zrobić!

Johannes lekko obraca zdjęcie. Nagle uśmiecha się i mówi:

- Patrz, tam w oknie stoi kobieta. Teraz wiem, dlaczego nie pozwolił mi wejść. Nie chciał, żebym ją zobaczył... Szkoda, niewyraźnie ją widać zza tej firanki... Nie mam pojęcia, co te kobiety w nim widzą. Rozumiesz to?

- Nie - odpowiadam bezdźwięcznie. - Nie rozumiem.

Nie wiem, jak często będą jeszcze takie chwile, jak długo można kłamać. Ale chyba dłużej, niż myślałam.

*

Dni płyną spokojnie. Pomagam Frydzie w kuchni i dużo czytam. Czasami wyglądam w stronę zagrody Hennera, ale niczego szczególnego tam nie dostrzegam. Następnego dnia po moim powrocie, po obiedzie przyszedł do mnie Zygfryd.

- Musimy porozmawiać o twojej nauce, Mario - mówi. - W następnym tygodniu rozpoczyna się rok szkolny. Rozmawialiśmy z Marianną i postanowiliśmy, że możesz u nas zostać, ale pod warunkiem, że będziesz się uczyła. Musisz skończyć szkołę.

Uważnie go wysłuchałam i trochę się upieram, chociaż sama już dawno postanowiłam to samo. Mimo to zaczynam jeszcze jedno zdanie od „ale...”. Zygfryd od razu mi przerywa i mówi, że tu nie ma żadnego „ale”. Okropnie mu jestem wdzięczna za te słowa.

Potem chodzę po podwórzu i szukam sobie jakiegoś zajęcia. Spory tu bałagan. Pod dachem szopy stoją poopierane różne narzędzia: widły do siana i do gnoju, łopaty, grabie, stara kosa, taczki, zdezelowana opona ciągnika i inne różności. Podwórze jest zasłane resztkami siana i kurzymi kupami. Biorę dużą miotłę i wymiatam to wszystko za bramę. Fryda patrzy przez kuchenne okno i kiwa z uznaniem głową, a potem prosi, żebym przyniosła z ogrodu cebulę. Zygfryd zażyczył sobie na kolację smażonych kartofli z boczkiem. Marianna chodzi z wielką konewką wśród wielkich donic i obficie podlewa swoje kwiaty. Nuci przy tym jakąś piosenkę, tu i tam coś czasem skubnie przy listkach kwiatów. Kiedy w polu widzenia pojawia się Zygfryd, udaje bardzo zajęta, ale kiedy jest sama, siada czasami pod kasztanowcem i zamyka oczy.

Stoję cicho w chmurze siana i kurzu bez wciągania powietrza. Dobrze mi robi praca w gospodarstwie. Natychmiast widać jej efekty, inaczej niż przy czytaniu czy w szkole. Pod koniec dnia człowiek jest niewyobrażalnie zmęczony i głęboko śpi.

Tak upływa kilka dni; odpoczywam od Hennera.

*

31 sierpnia wieczorem, w piątek, siedzimy wszyscy przed telewizorem i oglądamy wiadomości. Umowa zjednoczeniowa podpisana, NRD będzie teraz częścią Republiki Federalnej. Będziemy jednym krajem. Mimo to Zygryd ma zatroskaną twarz.

- Ale przecież oni nie mogą tak z dnia na dzień przeplancować tutaj całego swojego systemu. To musi potrwać, trzeba powoli wszystko dopasować, inaczej będzie jeden wielki bałagan - mówi.

- Ach, ty znowu swoje - macha ręką Marianna. - Nie mógłbyś się chociaż raz po prostu cieszyć?

On jednak kręci głową i mówi:

- Tak nie można. Jeśli wszyscy mają tam pracować, to tutaj wkrótce nie będzie żadnych zakładów.

Staram się słuchać, ale co chwila biegnę myślami do Hennera i zastanawiam się, czy on też ogląda telewizję? Nie widziałam u niego telewizora. Obchody święta zjednoczenia mają być 3 października. Od tego momentu NRD ma przestać istnieć. Zabawne. Kraj, w którym wszyscy się urodziliśmy, po prostu się rozwiązuje, znika i już nigdy go nie będzie. Johannes jest bardzo tym przejęty i trochę za dużo pije. Myślę, że jest szczęśliwy. Zygryd także nie wygląda w gruncie rzeczy na nieszczęśliwego, ale zawsze znajdzie jakiś powód do narzekania. Marianna nie porusza tego tematu, mówi tylko, że chciałyby koniecznie w najbliższej przyszłości zobaczyć góry Bawarii. Hartmut i Gizela powiedzieli, że w każdej

chwili są u nich mile widziani, ale na święto zjednoczenia jeszcze raz przyjadą do nas. Johannes się gorączkuje i chciałby świętować zjednoczenie w dużym mieście, nie na wsi. Fryda i Alfred rzucają ciągle jakieś „ach” i jakieś „hm...”, a Łukasz trochę się nudzi. Zygfryd nie pozwala mu jednak odejść do swojego pokoju.

- To historyczny moment, będziesz to kiedyś wspominał.

Mnie też udziela się uroczysty nastrój. Przez chwilę milczymy i słuchamy prezenterki wiadomości. Tej samej co zawsze. Wcześniej informowała o posiedzeniach Izby Ludowej i o przekraczaniu planów rocznych.

Nagle Zygfryd się zrywa. Kręci się w kółko, potem znowu siada.

- Tam po drugiej stronie, u Hofera w młynie, są maszyny jeszcze sprzed wojny. Co on zrobi, jeśli będzie się musiał stosować do tych wymagań Zachodu? To samo w fabryce papieru, wiesz przecież, Marianno, tam są maszyny stare jak świat. Byłem u Hartmuta i w tym ekogospodarstwie, oni tam mają zupełnie inne przepisy. Choćby tylko kwestie bezpieczeństwa. Tak się nie da. Tu już wielu ludzi straciło pracę w zakładach chemicznych, gdzie pracowała matka Marii, a niedługo jeszcze więcej zostanie bezrobotnymi, mówię ci.

Zaperzył się i mówi bardzo głośno. Marianna złości się, że psuje jej odświętny nastrój. Przycisza telewizor i mówi:

- Przecież zawsze narzekałeś na państwo, prawda? To co, nie cieszysz się teraz w ogóle, czy jak?

- Pewnie, że się cieszę! - grzmi Zygfryd. - Ale przecież nie o to chodzi... nastają zupełnie nowe czasy.

- Nie rozumiem cię, Zygfryd. Trzeba trochę odczekać. Nikt nie wie, co teraz będzie.

- Co będzie z młynem Hofera, nietrudno przewidzieć. W ciągu pół roku zostanie zamknięty. Bez dwóch zdań,

gwarantuję ci - mówi łagodniejszym tonem, siedząc już przy stole.

Kręci głową i dodaje:

- Nie możemy tego zrobić na łapu-capu w kilka miesięcy, bo na Zachodzie budowanie tego trwało kilka dziesięcioleci. To głupota, Marianno.

Teraz wszystkim zrobiło się już nieprzyjemnie. Johannes daje mi znak i wychodzimy. Kiedy idziemy schodami na górę, mówi, że ojciec ma rację, ale że dobrze jest, jak jest.

Rozdział 19

Zaczął się wrzesień i znowu chodzę do szkoły. Rano Johannes odwozi mnie motorowerem na przystanek autobusowy, a po południu wracam pieszo. Muszę powtarzać klasę i jestem teraz o rok starsza od reszty. Dziewczyny rozmawiają o rzeczach, które wydają mi się bardzo odległe. Jak w wakacje pierwszy raz całowały się z chłopakami i jak jeden z nich próbował dotykać ich piersi. Chrząkają zmieszane i uważają, że to nieprzyzwoite. Większość to jeszcze piętnastolatki. Ja pewnie mówiłabym to samo. Ale mnie chłopcy unikają, właściwie w ogóle ze mną nie rozmawiają.

Jestem wśród nich obca. Robiłam z Hennerem rzeczy, o których im się nawet nie śniło, pod tym względem jest między nami przepaść. Gdy oni nabiorą doświadczenia, które mogłoby nas trochę zbliżyć, mnie już tu nie będzie.

Nauka przychodzi mi łatwo. Większość i tak już wiem. Często trzymam pod zeszytami książkę i czytam podczas lekcji. I tak nie ma nikogo, z kim mogłabym porozmawiać. Może zostanę księgarką. To przynajmniej jest coś, co mnie interesuje.

Wszyscy widzimy też, kim będzie Johannes.

Fotografuje jak szalony. Ja nie jestem już głównym motywem jego zdjęć. Przeszawił się na twarze mieszkańców wsi. Koniecznie chce też sfotografować Hennera, ale jeszcze go o to nie pytał. A ja go od kilku dni nie widziałam. Tylko raz jechał za nami samochodem, kiedy Johannes odwoził mnie do autobusu.

Teraz od autobusu wracam pieszo. To prawie trzy kilometry. Po lewej stronie drogi są łąki, a za nimi rzeka. Po drugiej stronie rzeki wznosi się pokryta lasami góra. Nad całym krajobrazem płyną leciutkie, delikatne nitki babiego lata, które wplątują mi się we włosy. Kukurydza na polu po prawej stronie jest już wysoka, zrywam sobie jedną jeszcze

niedojrzałą kolbę i zjadam. Idąc, czuję się wolna jak nigdy dotąd.

Z tyłu zbliża się samochód. Panuje tu taka cisza, że natychmiast słyszę jego warkot. Powoli mnie mija i zatrzymuje się kilka metrów dalej. Otwiera od środka drzwi i mówi:

- Wsiadaj!

Nie trzeba mnie długo o to prosić. Henner rzuca mi spod oka pytające spojrzenie, a ja się do niego uśmiecham. Jedziemy do zagrody Brendelów.

Marianna stoi koło płotu i rozmawia z Frydą, która od kilku dni chodzi o lasce. Kiedy przyjeżdżamy, Henner opuszcza szybę i woła:

- Dzień dobry wszystkim! Podwiozłem Marię, jedziemy jeszcze na wybieg, bo Maria chce pojeździć na Jelli!

Nie mam nawet czasu okazać zaskoczenia, bo od razu włączył wsteczny bieg i odjeżdża.

- W porządku - słyszę wołającą Mariannę. - Powiem Johannesowi.

Przejeżdżamy krótki odcinek do jego zagrody i nikniemy w starym domu, który wydaje mi się coraz dziwniejszy, bo na zewnątrz wszystko przyspiesza, a u Hennera bez zmian. Jego nie porwał ten nurt, on jest taki, jaki był zawsze.

I znowu na początku jest bardzo gwałtowny. Mówi, że to dlatego, że jest mnie spragniony. I zaraz dorzuca:

- Niedobrze, że tak rzadko przychodzisz, Maryjko.

Stoimy w kuchni. To było kilka dni, a mogło być ich więcej, gdyby nie jechał tą drogą. Sam przyznaje, że to jest nie tylko pożądanie, to jest głód. Za każdym razem, gdy go ten głód tak przyciśnie, że koniecznie chce mnie mieć, a jego ręce robią wulgarne rzeczy, o których mówią usta, ja potrzebuję zaledwie kilku chwil, żeby go pożądać z taką samą siłą. On to wie, dlatego nie zwraca uwagi na nieskuteczny opór, który

stawiam, bo wydaje mi się, że wymaga tego przyzwoitość, a czasami dlatego, że Henner traci opamiętanie.

Johannesowi nigdy bym nie pozwoliła na to, co Hennerowi daję zupełnie naturalnie. Nie potrafię powiedzieć, dlaczego tak się dzieje. Do Johannesesa nie pasuje takie zachowanie, a w jego obecności ja też jestem inna. Jego namiętność do fotografii jest większa niż namiętność do mnie. Mimo to on mnie kocha.

U Hennera jest odwrotnie. Jego pożądanie jest absolutne. Dopiero potem jest wszystko inne. Po jego oczach i po wyrazie twarzy zawsze od razu wiem, jak bardzo mnie pragnie. Grubiaństwo jest u niego tak samo naturalne jak delikatność u Johannesesa. Już mnie to nie przeraża, wiem teraz, że on taki po prostu jest. Nie potrafi kochać z umiarem.

Później daje mi książkę należącą niegdyś do jego matki. To poezja, tam przeczytałam ten wiersz, który nie dawał mi spokoju. Rzadko tak się cieszyłam z otrzymanego prezentu. Książka jest stara i pięknie oprawiona, pachnie tym domem i Hennerem. Często głaszczę jej okładkę. W środku jest nazwisko matki. Panięskie nazwisko, Helena Mannsfeld. Delikatnie je przekreślam i piszę pod spodem swoje. Henner się uśmiecha i mówi, że książka jest w dobrych rękach, że ja zrozumie te wiersze i będę wiedziała, kim są wędrowcy, co celu nie znają... I muszę iść; jest już późno.

*

Tuż przed siódmą jestem przy stole z Brendelami.

Alfred siedzi naprzeciwko mnie i pyta, jak było u Hennera, bo wcale nie widział, że bym jeździła, chociaż był na łąkach koło nasypu kolejowego i widział jego gospodarstwo. Odpowiadam, że pojechałam do lasu, ale on pyta, czy na Jelli. Wietrzę podstęp i mówię, że nie, na Artusie, wzięłam go wprost ze stajni, a nie z wybiegu i pojechałam z tyłu, drogą przez pola kukurydzy do lasu.

- Aaa, to potrafi już jeździć młodym ogierem, a jeszcze tak niedawno miała problemy z kulawą klaczą - mówi Alfred.

- Dużo ćwiczyłam - przytakuję mu, przeżuając.

- Tak, tak... - mruczy dalej - tak, tak...

Nikt nie zauważył ostrego tonu w jego głosie, nikt oprócz Frydy, która rzuca mi pytające spojrzenie. Biorę sobie jeszcze kawałek pieczeni na zimno i uśmiecham się do Alfreda.

Wieczorami kłamstwo łatwiej mi przychodzi. Kiedy z rana chłodne światło nieubłaganie oświetla całe twarze, czuję się okropnie. W przejrzystości tych porannych godzin moje postępowanie zdaje się więcej ważyć, sumienie wydaje się więcej znaczyć, a moralność jest bardziej czujna. Z upływem dnia moje poczucie obyczajności zanika. A nocami nie ma go zupełnie. ;

*

Potem właściciel gospody pyta mnie, czy mogłabym przyjść raz jeszcze do pracy w weekend. Potrzebuje dodatkowych ludzi do obsługi, ponieważ jest spotkanie Towarzystwa Miłośników Regionu, mają obradować w ładnej salce tanecznej za restauracją. Towarzystwo Regionalne to prawdziwe wyzwanie: zaczyna się zawsze spokojnie - przemawia przewodniczący, mówi o pięknie naszej ziemi i jakie znaczenie ma dbałość o nią - ale wszystko to jest tylko pretekstem do późniejszego picia. Picia bez umiaru. Początkowo wszyscy siedzą na swoich miejscach przy stolikach i rozmawiają. Z czasem nikt już nie siedzi na swoim miejscu, a ponieważ wszystkie napoje zapisuje się na podstawkach do piwa, trzeba biegać po sali i dopasowywać podstawki do właścicieli. Niektórzy chowają swoje podstawki do kieszeni, inni je gubią, oszaleć można.

Wiele osób nosi odświętne regionalne stroje, ja również. Marianna uważa, że to czarujące. Tak się wyraziła. Natomiast Johannes kręci na to nosem.

Na tej imprezie lecą szlagiery, członkowie Towarzystwa śpiewają też pieśni ludowe. Niektóre, te naprawdę ładne, śpiewam razem z nimi. Czasami któryś ze starszych panów porywa mnie wtedy do tańca, potem przejmuje mnie następny, a w końcu podają mnie sobie z rąk do rąk jak jakieś trofeum. I wtedy zaczyna się robić niebezpiecznie. Ciągłe muszę kogoś ostro napominać, żeby zabrał łapy. Ich żony patrzą na to pobłaźliwie albo starają się niczego nie dostrzegać. Zabawa kończy się zazwyczaj koło północy. Większość z tych miłośników regionu jest koło sześćdziesiątki i dłużej nie wytrzyma.

Przed pierwszą salą zabaw jest już niemal pusta, tylko w części restauracyjnej siedzi jeszcze pięciu ostatnich. Wypili już tyle wódki i piwa, że nawet właściciel gospody obawia się, że nie dojdą do domów. Jednym z nich jest dawny policjant Riedel, obecnie już ze dwa lata na emeryturze, ale nadal najlepiej o wszystkim poinformowany. Mówi się o nim, że przez całe lata zajmował się Hennerem i utrudniał mu życie. Kiedy od Hennera odeszła żona, ludzie mówili - i to jest najpopularniejsza wersja tej historii - że to policja i безпеka nasłały ją na niego, żeby mieć nad nim kontrolę. W młodości Henner był zaangażowany politycznie i miał kontakt z pewnym muzykiem, który nazywał się Lutz i pisał polityczne pieśni, za co później trafił do więzienia. W każdym razie kiedy ta kobieta się wprowadziła, Henner zaczął mieć problemy. Najpierw wszystko było dobrze, aż tu nagle zaczęły się częstsze kontrole w gospodarstwie. Henner czasami spotykał się z Lutzem i jeszcze jednym przyjacielem, który podobno interesował się końmi, ale tak w ogóle był scenografem w miejskim teatrze. Od czasu, kiedy zamieszkała z nim żona, w dni, w które spotykał się z przyjaciółmi, niby przypadkiem zaczęli zachodzić do nich policjant i jeszcze jeden taki, o którym wiadomo było, że należy do Stasi. Stasi

uważała pewnie, że jest on dobrze zakonspirowany i nikt o nim nie wie, ale tu na wsi zazwyczaj ludzie wiedzieli, kto był tajniakiem, a kto nie.

Hennerowi przytoczono zapisane słowa, które zapewne wypowiedział, ale jedynie w wąskim gronie i tylko kilka osób mogło je słyszeć. W pewnym momencie Henner zorientował się, że może istnieć jakiś związek między Ursulą i odwiedzinami policjanta - i poprosił ją o wyjaśnienia. Wszystkiemu zaprzeczyła, ale następnego ranka zniknęła razem ze swoimi rzeczami. Niedługo potem całkowicie pijany Henner uderzył policjanta pięścią w twarz, a później, kiedy policjanci przyszli go zabrać, stawiał silny opór. Trafił wtedy na kilka tygodni do więzienia. Niczego nie zdołali mu dowieść, tylko czynny opór przeciwko władzy ludowej.

Od tamtej pory nie pozwolił żadnej kobiecie przebywać u siebie dłużej, a od czasów więzienia zaczął też znacznie więcej pić.

A teraz ten policjant siedzi sobie przy stoliku i z patosem podkreślanym gestykulacją wywodzi, jak to dobrze, że Niemcy się znowu zjednoczą. W tym momencie do gospody wchodzi Henner. Jest zupełnie trzeźwy i przychodzi pewnie ze względu na mnie - zna przecież to towarzystwo - ale zobaczywszy tego policjanta, idzie wprost do jego stolika i dosiada się bez słowa.

Starsi panowie piją co niemiara: wódkę, bimber, winiak, co podleci. I wtedy się zaczyna. Przynoszę do stolika nową kolejkę, a policjant Riedel kładzie mi rękę na pośladkach i mówi:

- Gdybym był młodszy, wziąłbym tę dziewczynę od razu!

I śmieje się przy tym jak głupi. Wydostaję się z jego rąk i odchodzę za ladę, ale Henner wstaje, zachodzi policjanta od tyłu, chwyta go za kołnierz i ciągnie za drzwi.

- Stop! - woła właściciel. - Nie chcę tu żadnych awantur, idź do domu, Henner, już cię tu nie ma!

Idę za nimi, inni zostają na swoich miejscach, jakby się nic nie stało. A ci dwaj stoją na zewnątrz, tuż za drzwiami. Mam wrażenie, że Henner zaraz tego policjanta zabije. Chwył go rękami za gardło, słyszę charczenie tamtego, więc mówię do Hennera natarczywie, ale cicho:

- Zostaw go. Idziemy zaraz razem do domu, ale go zostaw. Pójdę z tobą, ale puść go, proszę. Puść, puść, puść...!

Nie wiem, jak często to powtarzam, w każdym razie w którymś momencie policjant leży na ziemi i rzyga, a Henner chwyta mnie za przegub ręki i ciągnie ze sobą. Nie poznaję go, jest tak zdenerwowany. Próbuję się oswobodzić, ale mocno mnie trzyma. Otwiera jednym kopnięciem bramę i wciąga mnie do środka. Nawet witającym go psom się obrywa. Wtedy wreszcie mnie puszcza. Nadgarstek okropnie piecze, a on wbiega do domu i rozrzuca jakieś rzeczy. Garnek z jedzeniem z obiadu rzuca o ścianę, łamie krzesło. Stoję przy drzwiach i patrzę; nie boję się go. Po kilku minutach najgorsze mija, ale kuchnia wygląda tragicznie.

- Ta nikczemna świnka, ten knur, ten potwór...! - wyrzuca z siebie jeszcze wiele razy, ale i ten ostatni wybuch powoli się kończy. Kiedy wreszcie może usiąść, idę do lodówki i wydaję wódkę, której tu nigdy nie brakuje, biorę dwa kieliszki i napełniam je do połowy. Pije powoli z obu kieliszków, nie patrząc na mnie. Wstaję, zachodzę jego krzesło od tyłu, kładę mu ręce na skroniach i opieram głowę o jego głowę. Wciąż jeszcze jest jak skamieniały, jakby w ogóle mnie nie dostrzegął. Głowa zwisa mu bezwładnie do przodu, ramiona straciły sprężystość, jest jakby cały zapadnięty w siebie.

Stoję tam tak długo, jak długo wytrzymuję, a potem mówię do niego:

- Jutro przyjdę znowu. Teraz muszę iść do domu, Johannes czeka. Ale jutro przyjdę znowu.

Podkreślałam te słowa ponad miarę, bo sądzę, że mnie nie słyszy. Jutro niedziela. Nie mam bladego pojęcia, jaki pretekst wynajdę, żeby nie spędzać jej u Brendelów, ale tym się nie martwię. Jeśli kiedykolwiek byłam potrzebna Hennerowi, to właśnie teraz. Kiwa głową, a ja proszę go, żeby się położył. Wstaje i chwiejnie przechodzi do małego pokoju. Przysiadam na brzegu łóżka i przykładam rękę do jego głowy. Zabiera ją stamtąd i długo trzyma w mocnym uścisku. A potem odchodzę.

Następnego ranka - spałam dłużej niż zazwyczaj i późno schodzę na śniadanie - wszyscy już wszystko wiedzą. O pijatyce, o kłótni, o mojej interwencji i o tym, że z nim poszłam. Gabi z gospody była w sklepie po mleko i jajka i wszystko opowiedziała.

Johannes pyta, czy zwariowałam, że w środku nocy poszłam z Hennerem, o którym przecież wiadomo, jak brutalny potrafi być, a więc że z tym brutalnym Hennerem poszłam do domu.

- Do domu... - powtarza i uderza dłonią w czoło.

Nie bardzo wiem, co odpowiedzieć, jakam się, że miałam przeczucie, że potrafię go uspokoić. Obawiałam się, że jeśli zostawi się go samego, może się stać coś znacznie gorszego. Johannes mi przerywa:

- O to właśnie chodzi. Mogło się zdarzyć coś znacznie, znacznie gorszego - ty sama z Hennerem w jego domu, w dodatku w takim stanie, w jakim on był. Jesteś taka naiwna, Mario, tak mnie to denerwuje...

Próbuję się usprawiedliwiać, ale to nie ma sensu. Wszyscy myślą tak samo jak on. Mam szczęście, że mnie nie „zhańbił”, jak kilka razy wyraziła się Marianna. Widocznie lubi to słowo, a może jest po prostu zazdrosna i też chciałaby zostać przez

niego „zhańbiona”. Jestem zła, kiedy tak się mnie czepiają. Co ja w ogóle tam tak długo robiłam, właściciel gospody mówił, że to trwało bardzo długo. On bacznie wszystko obserwował, byłam u Hennera co najmniej godzinę. Jeszcze trochę, a byłby zadzwonił po policję. W ciągu godziny, odpowiadam, Henner mógł mnie trzy razy zgwałcić i policja już by nic nie pomogła. Od dzisiaj właściciel gospody dla mnie nie istnieje, to wiem na pewno.

Alfred i Fryda milczą, ale widzę, jak Alfred się uśmiecha. Najchętniej wepchnęłabym mu w gębę tę jego nadgryzioną bułkę i dołożyła jeszcze następną. Tylko Zygfryd naprawdę się zastanawia:

- Czegoś takiego Henner by nie zrobił, on nie jest taki - mówi.

Jestem mu za to bezgranicznie wdzięczna.

Po śniadaniu przynoszę kilka rzeczy i mówię, że pójdę do matki. Johannes chce mnie odwieźć, już nie jest zły, ale teraz to we mnie wstąpiła złość, że mnie tak obsztorcował przed wszystkimi. Wzrusza ramionami i wykonując rękami bezradny gest, pozwala mi zejść po schodach, po czym zamyka za mną drzwi. A ja idę do Hennera.

*

W kuchni wszystko jest posprzątane. Nic nie przypomina o wydarzeniach minionej nocy. Henner siedzi przy stole i je. Ani drgnie, kiedy wchodzę. Nawet wzroku na mnie nie podnosi. Przechodzę obok niego niemal bezszelestnie i wnoszę swoją torbę do sąsiedniej izby. Potem biorę krzesło i siadam obok niego. Obserwuje mnie kątem oka i spokojnie je dalej.

To on powinien powiedzieć coś pierwszy. Ja też potrafię milczeć.

Jak długo tak siedzimy? Nie wiem.

Długo.

W tym domu trudno mi przychodzi określanie czasu. Czasami godziny są jak całe dni, innym razem mijają jak minuty. Henner dawno już skończył jeść, ale jeszcze długo panuje cisza. W końcu przykładam dłoń do jego policzka, a on wydaje z siebie taki okropny jęk i spuszcza wzrok.

- Zabiłbym go - mówi, a ponieważ ja milczę, dodaje: - I siebie też!

To słowa, które stoją między nami jak ściany.

Nie wiem, jak powinno być, ale wierzę w to, co on mówi.

- Ty mnie nie potrzebujesz, Maryjko. Masz siedemnaście lat. Mój Boże! Czego ty tu szukasz?

I długo na mnie patrzy. Nie muszę się namyślać, ale przeciągam milczenie, nim powiem:

- Chcę ciebie! Jestem wystarczająco dorosła, babcia Traudel też miała siedemnaście lat, nie możesz mnie ot tak, po prostu odesłać.

Jego spojrzenie zatrzymuje się na mnie. Oczekiwałam, że mnie wykpi, a tu nic...

- Nie odeślę cię - mówi. - Chcę ci tylko powiedzieć: widzisz, jak tu jest. Widziałaś, jaki jestem. Niczego nie mogę ci zaoferować, zupełnie niczego.

Gdy to mówi, prawą ręką robi lekceważący gest. Nieoczekiwanie bardzo mnie to dotyka.

Przełykam kilkakrotnie ślinę, zanim mogę powiedzieć:

- Jest mi to obojętne, chcę tylko być blisko ciebie. Nic więcej.

Uśmiecha się zmęczony i ciężko przyciąga mnie do siebie. Siedzimy całkiem pogrążeni w sobie, cichsi niż cisza w zagrodzie. Długo. Bardzo długo.

Resztę dnia spędzamy w łóżku. Mało mówimy, nieustannie się dotykamy, a on czyta mi ostatni rozdział z Braci Karamazow. W pewnej chwili Alosza mówi: Na pewno zmartwychwstaniemy, na pewno się zobaczymy i wesoło,

radośnie opowiemy sobie nawzajem, co było. Proszę go od razu, żeby przeczytał mi to jeszcze raz; to słowa pełne nadziei i piękna. A on cieszy się moją radością.

Rozdział 20

Wróciłam wieczorem. Jestem milcząca, mówię, że mam jeszcze lekcje do odrobienia i idę na górę do naszych pokoi. W sąsiedniej izbie na poddaszu okociła się Selma - ma pięć młodych za sprawą jakiegoś włóczęgi ze wsi. Nawet Johannes uwiecznia to na zdjęciach. Nie wiem, ile już zrobił tych fotografii, ale zapewne kilkaset. Leżą wszędzie wokoło i przypominają mi upływający czas. Jego pierwsze zdjęcia wydają mi się już stare. Teraz wyglądam zupełnie inaczej. On też to widzi, ale tylko na zdjęciach. Kiedy stoję przed nim, wydaje się tego nie dostrzegać.

Z Hennerem umówiłam się, że ma mnie odbierać ze szkoły we wtorki i czwartki. Johannesowi powiem, że w te dni chodzę z dziewczynami z klasy połączyć po mieście albo na lody do parku. W sobotę zrobię sobie Dzień Matki. W rzeczywistości pójdę do mamy z rana, ale jeszcze przed obiadem wrócę drogą przez las do Hennera i zostanę u niego na noc.

Powoli kończy się wrzesień z pięknymi dniami późnego lata. I ja, i Henner gładko wchodzimy w rytm kłamstwa i naszej miłości. Widujemy się regularnie, a kiedy przejeżdżamy samochodem koło drogi prowadzącej do Brendelów, kładę się płasko na tylnym siedzeniu, żeby nikt mnie nie zobaczył.

Początkowe oczarowanie minęło; nasze spotkania mają teraz w sobie spokój przyzwyczajenia. Henner nie rzuca się na mnie od razu, jak to robił dawniej, a niekiedy w ogóle tylko ze sobą rozmawiamy. Obawa, że wszystko wyjdzie na jaw, ustąpiła przekonaniu, że prawda nie zawsze musi wyjść na jaw. Zastanawiam się, co jeszcze dzieje się w ukryciu, czego jeszcze nie wiem i o czym nigdy się nie dowiem.

Nie pracuję już w gospodzie, odkąd się dowiedziałam, że jej właściciel z całym spokojem odczekałby, aż Henner mnie

zgwałci, a dopiero później zawiadomił kogo trzeba. Opowiadam to Hennerowi, a on mruczy niechętnie:

- A więc ten łotr tak o mnie myśli...

Ale tak naprawdę nigdy nie troszczył się o to, co mówią o nim inni ludzie.

Wydaje mi się, że jest teraz bardzo uporządkowany, remontuje niektóre rzeczy w gospodarstwie, naprawia płoty, dba o konie i planuje zmiany w domu. Nie jest prawdą, że nadal nosi do domu wodę ze studni; robi to tylko latem. Ma normalny wodociąg jak wszyscy wokół, ma nawet bojler do podgrzewania wody.

Pomagam mu uporządkować dom, myję okna i piorę firanki, szoruję podłogi, a szafy i regały uwalniam od wieloletnich warstw kurzu. Dziwi się, kiedy widzi, ile udaje mi się zrobić. I nie może się mnie nachwalić. Wtedy cała pąsowieję z radości.

Można by tak żyć, myślę sobie.

Nic tu nie słyszymy o wydarzeniach politycznych. On rzeczywiście nie ma radia ani telewizora. Ma tylko adapter, ale i jego nie potrzebujemy. W tygodniu nie mamy na to dość czasu, a we wspólną sobotę czytamy sobie na głos fragmenty książek. Myślę, że Henner jest niespełnionym artystą. Śmieje się, kiedy mu to mówię, ale to taki gorzki śmiech. Nic dziwnego, że nie ma we wsi przyjaciół. Ludzie na wsi nie przepadają za dziwakami, a co dopiero, kiedy taki dziwak dużo czyta. Patrzyli na to z pobłażaniem, dopóki nie zanieczyścił pracy w gospodarstwie. Dawniej było tu przecież więcej zwierząt, najwięcej jak to było możliwe na takim niewielkim kawałku ziemi: krowy, świnie, kury i konie - i tylko one teraz pozostały. Trzeba było kupować im karmę; niewielkie dzierzawione kawałki pola nie wystarczały na dostateczne zaopatrzenie gospodarstwa w siano i paszę.

Kiedy zmarła matka Hennera, to był 1965, jego ojciec i dziadkowie wciąż jeszcze dobrze sobie radzili z gospodarstwem. Osiem lat później zmarł dziadek, a w 1980 także ojciec. Henner miał osiemnaście lat, gdy poszedł pracować do spółdzielni przy hodowli krów. Po pracy musiał jeszcze obrobić swoje gospodarstwo. Spółdzielnia nie była miejscem dla niego, wciąż dochodziło do kłótni z innymi, bo Henner miał swoje zdanie i był uparty. Właściwie chciał dbać wyłącznie o własną zagrodę. Zaczął to robić, kiedy babka została ze wszystkim sama. W końcu miał za dużo obowiązków i stopniowo ograniczał ilość zwierząt, a wreszcie pozostały mu tylko konie. Do nich był przywiązany i na nich znał się najlepiej. Za pieniądze ze sprzedaży pozostałych zwierząt dokupił nowe, dobre konie hodowlane i po kilku latach jego stajnia stała się znana w okolicy. W porównaniu z końmi z Zachodu te jego są jakoby pozbawione wartości, ale tutaj nikt w to nie wierzy.

Historia z Ursulą miała miejsce w roku 1974, rok po moim urodzeniu. Henner siedział w więzieniu, kiedy moja matka karmiła mnie piersią. Często sobie to wyobrażam.

Jest wiele rzeczy, które nas dzielą, ale jest też kilka, które nas łączą - i o nich chętniej słucham. Podobnie jak ja Henner był pionierem, ale nie wstąpił do Związku Młodzieży Niemieckiej, nie przystąpił też do Jugendweihe. Nie można powiedzieć, że Hennerowie byli wrogami państwa, oni nawet nie myśleli politycznie. Chcieli tylko w spokoju prowadzić gospodarstwo. No oczywiście, matka Hennera nienawidziła Rosjan, ale miała przecież po temu inne powody. Myślę, że im było w gruncie rzeczy obojętne, w jakim systemie żyli. Chcieli po prostu być rolnikami i nie martwić się, czy syn dojechał raz w tygodniu do miasta na zbiórkę pionierów, żeby tam zajmować się nie wiadomo jakimi głupstwami.

Członkostwo w Jugendweihe uniemożliwiła babka. Była katoliczką i obstawała przy tym, żeby Henner przynajmniej został konfirmowany po ewangelicku, najbliższa parafia katolicka była po prostu zbyt daleko. Mógł oczywiście przystąpić do obu obrzędów, świeckiego i religijnego, ale babka powiedziała, że nie można dawać Panu Bogu świeczki i diabłu ogarka. W tych sprawach była uparta. Związek Młodzieży Niemieckiej zabierałby też chłopakowi dużo czasu, więc pod tym względem rodzina była jednomyślna i to było zrozumiałe. Organizacja zmuszała przecież do ciągłego udziału w imprezach i zgromadzeniach, w różnych akcjach i obozach wakacyjnych. A gospodarstwo nie pozostawiało wiele wolnego czasu.

Ja też nigdy nie wstąpiłam do Związku Młodzieży. Było to związane głównie z Davidem. Mogłam pozyskać jego sympatię pod jednym warunkiem: nie mogłam należeć do oficjalnych struktur, bo to go nie interesowało. Później zresztą zakochał się w jednej takiej, która do Związku Młodzieży należała, ale wtedy to mnie już było obojętne, bo poznałam Johannesesa.

Dla Hennera i dla mnie miało to decydujące znaczenie, bo nie moglibyśmy zrobić matury ani studiować. W moim przypadku wszystko zmieniło zburzenie muru. Dla Hennera zmiany przyszły za późno.

Nie wiem, czy on by studiował. Miał odpowiednie przygotowanie, to na pewno, ale był też rozdarty między gospodarstwem a tym kuszącym innym światem, jaki otworzyły mu książki. Czasami jeździł więc do miasta, gdzie kiedyś poznał Lutza i tego scenografa. Mógł z nimi rozmawiać o rzeczach, których nikt w domu nie rozumiał. Co by zrobił, gdyby w chwili upadku muru miał siedemnaście lat?

Ale on nie chce o tym myśleć. I tak niechętnie mówi o sobie. Minęła cała wieczność, nim wszystko to z niego

wydobyłam. On jest jednak dziwnym człowiekiem, ten Henner. O mnie wie więcej. Tylko to najważniejsze nie przechodzi mi przez usta.

Teraz już zupełnie naturalnie chodzę od jednego gospodarstwa do drugiego. Do wszystkiego można się przyzwyczaić. Wyrzuty sumienia odczuwam tylko wtedy, gdy Johannes kładzie ręce na moim ciele. Ostatnio ciągle mu odmawiałam. Wydaje mi się, że przyjmuje to z opanowaniem graniczącym z obojętnością. Jestem z tego zadowolona i niezadowolona jednocześnie. Może to właśnie jest prawdziwa miłość, bo akceptuje mnie taką, jaka jestem?

A Henner? Jego to ja biorę takim, jaki jest.

Kocham Hennera. Tego właśnie nie potrafię mu powiedzieć. Kocham go prawdziwie, nawet kiedy jest pijany i kiedy milczy, a najbardziej wtedy, kiedy mnie dotyka. Kocham go. Tak to wygląda.

Rozdział 21

U Brendelów dużo się zmienia, a Zygfyrd robi wielkie plany.

Znowu siedzimy razem przy stole, a Zygfyrd mówi więcej niż w poprzednich miesiącach. Wprost trudno go poznać.

Chce wydzierżawić ziemię od spółdzielni i od kilku gospodarzy we wsi. Musi mieć co najmniej trzydzieści hektarów, głównie łąk, kilka hektarów zbóż i jakiś hektar pod uprawę warzyw.

- Planuję szeroki płodozmian - mówi poważnie.

Nikt nie wie, co to znaczy, więc objaśnia nam, że to niesłychanie ważne dla ziemi i pozwala ograniczać ilość szkodników. Dwa lata koniczyna, potem pszenica, jęczmień, groch, żyto i znowu dwa lata koniczyna. Mówi też o zawartości azotu w glebie i o naturalnym nawożeniu. U niego ma być jednak inaczej niż w tym gospodarstwie biodynamicznym, które widział w Bawarii. Nie potrzebuje „antropozoficznej nadbudowy”, to według niego dziwactwo. Liczbę krów zwiększy z dziesięciu do dwudziestu pięciu, a z mleka chce wytwarzać sery i jogurt. Na górze, w pomieszczeniach Frydy, ma być urządzona serownia, a w piwnicy magazyn. Zygfyrd ciągle podkreśla, że to nie żadne czary, że nie święci garnki lepia. Trzeba przebudować stajnię, potrzebny jest też garaż na maszyny rolnicze. Krowy muszą mieć przyzwoite pastwisko, odnowić trzeba też izbę na mleko z udoju. Mówi, że na razie pozostawi kilka owiec, bo ser owczy z Niemiec jest rzadkością. Wyliczył sobie, że kiedy wydzierżawi grunty, będzie mógł całe pożywienie dla zwierząt wytwarzać sam. Nawet pasze treściwe, których zwierzęta potrzebują oprócz siana. Kiszonek nie musi mieć, bo źle wpływają na sery z surowego mleka.

Marianna się dziwi i milczy. Fryda i Alfred starają się nadać za tokiem jego wywodów. Łukasz rzuca ojcu pełne

podziwu spojrzenia, a Johannes siedzi z opuszczoną głową. Pewnie się obawia, że nie uda mu się stąd wyrwać.

Teraz Zygryd zastanawia się, żeby może nie sprzedawać od razu cieląt, tylko podtuczyć je na własnej paszy, a po dwóch, trzech latach zabić i samemu sprzedawać mięso i przetwory. Wtedy jednak miałyby za mało siana.

- Co o tym myślicie? - pyta nieoczekiwanie. Milczenie.

On jednak nie przerywa, mówi, że wszyscy mielibyśmy wtedy mnóstwo pracy - wszyscy - przy tym słowie każdemu z nas zagląda głęboko w oczy. Mnie także. Nie wiem, co on sobie wyobraża. Muszę chyba wyglądać dosyć głupio, bo Zygryd śmieje się na całe gardło i mówi:

- A Maria przejmie pierwsze dojenie, o piątej rano...! Wprowadzimy ją też w tajniki robienia serów, jak mówię, to nie są przecież żadne...

- ...czary! - dopowiada Marianna i klepie go po ramieniu.

Znowu się śmieje i wkłada sobie do ust duży kawałek kiełbasy.

Takiego Zygryda jeszcze nie widziałam. Jest w prawdziwej euforii. Żadne z nas nie zdziwiłoby się, gdyby w rzeczywistości wszystko stało się dokładnie tak, jak on nam opowiedział.

Liczba kur jest teraz większa niż przed lisią jatką. Zygryd haruje jak wół, nie traci ani minuty. Nawet Johannes i Łukasz muszą porządnie zakasywać rękawy. W ostatnim czasie Marianna rzadko plotkuje z innymi kobietami. Zadbła bardzo o sklep, urządziła go jak prawdziwe cacko. Nawet Alfred musiał zabrać się bardziej sumiennie do pracy, co go zresztą trzyma dalej od kieliszka.

Ja stałam się pełnowartościowym członkiem rodziny. Mam swój udział w wystroju sklepu: pomalowałam ściany, powypisywałam etykiety i zrobiłam miejsce na przyszłe towary z gospodarstwa. Już niedługo Fryda zacznie wypiekać

chleb z własnej mąki, a piecze świetnie. Ja zaproponowałam, żeby do jogurtu dodawać wanilię albo inne składniki. Zygfried wszystkim nas zaraził swoim zapachem.

Przed sklepem stoją teraz po obu stronach donice z kwiatami i tablica z promocjami dnia. Za rok, a najdalej za dwa lata ten sklep po prostu pęknie od tego wszystkiego, co chce w nim sprzedawać Zygfried. Ale on myśli już o dostawach; on w ogóle myśli przyszłościowo. Dla Johannesesa i dla mnie jest to trochę dziwne - my przecież jeszcze nie wiemy, kim będziemy za rok ani gdzie będziemy mieszkać.

Johannes na wszelki wypadek fotografuje wszystko już teraz i mówi, że należy gospodarstwu robić reklamę w mieście.

W gospodarstwie panuje atmosfera, która bardzo mnie pobudza do działania.

Wszystko tutaj tętni życiem znacznie bardziej niż jeszcze kilka miesięcy temu. Do tego są żniwa; trzeba pozrywać i przetworzyć jabłka, gruszki, śliwki i dziki bez. Zobowiązałam się zrobić przetwory z dzikiego bzu. Wielkie baldachy mają mnóstwo owoców, z których robię sok, galaretkę i marmoladę. Później będziemy to sprzedawać w sklepie. Marianna jest mi okropnie wdzięczna, bo to bardzo ciężka praca. Ja tymczasem odkryłam, że tę pracę można połączyć z czytaniem, więc się przy niej nie nudzę.

U Hennera robię to samo. W ostatnich latach przetwory robiła tu zwykle Gabi z gospody. Sam Henner pozwoliłby zapewne, żeby się to wszystko zmarnowało. Wiadrami znosimy do domu owoce: trochę zostawiam na przechowanie w piwnicy, a z reszty gotuję mus i robię marmoladę. Henner kupił na Zachodzie trochę dodatków, o które prosiłam: wanilię, cynamon, imbir, jeszcze jakieś, o których słyszałam od Gizeli. W kuchni tak fantastycznie pachnie, że on co chwila wychodzi, żeby móc znowu wejść i poczuć ten zapach.

Gotuję zupę z owoców dzikiego bzu i jabłek z odrobiną cynamonu i dużą ilością cukru. Od tych owoców mam zupełnie czarne ręce. Johannes zdziwił się kiedyś:

- Czarny bez gotowałaś już ze trzy dni temu, a palce nadal masz czarne.

- Bo tak to właśnie jest z dzikim bzem, że kolor trzyma się uporczywie - odpowiadam nieporuszona.

*

U mamy też dużo nowego. Kiedy przychodzę do niej któregoś sobotniego przedpołudnia, siedzi przy stole i je śliwki. Wygląda świeżo, nie taka wymizerowana, a i jej twarz ma jakby inny wyraz. Odgarnia włosy i z jakąś obcą nutą w głosie mówi, że chce mi coś powiedzieć. W ręce trzyma śliwkę, którą obraca we wszystkie strony, a w końcu mówi, że chce się przeprowadzić, wrócić w rodzinne strony. Nic nie odpowiadam, ale czuję, jak pulsują mi skronie.

Oględnie i ze łzami w oczach wyjaśnia, że nareszcie rozumie, że nie jest stąd i że nigdy nie poczuje się tutejsza. W domu - tak mówi: w domu - jest nawet dla niej praca. Napisała do brata, który nadal tam mieszka, odpisał jej. W przyszłym roku otwierają tam nowy hotel, teraz jest jeszcze w budowie, ale będą potrzebowali mnóstwa ludzi, także do księgowości, a wiele osób teraz stamtąd wyjechało. Kiedy mama o tym opowiada, wygląda na szczęśliwą, chociaż płacze. A potem pyta, czy chcę jechać razem z nią. Odpowiadając, nie mogę wytrzymać jej spojrzenia, ale nie waham się ani przez chwilę.

Mówię, że nie, nie mogę z nią jechać, tutaj mam szkołę, Johanna i wszystkich ważnych w moim życiu ludzi, oprócz niej oczywiście. Na to mama płacze jeszcze bardziej, a ja jestem smutna i nieszczęśliwa, że w ostatnich miesiącach spędziłyśmy razem tak niewiele czasu. Nie próbuje zmienić mojego nastroju, nie miałoby to sensu. Staram się więc bardzo, żeby miała wrażenie, że sama doskonale sobie

poradzę, choć będzie mi jej okropnie brakowało, a poza tym to tylko pięć godzin pociągiem i już mogę być u niej. Będę tak często robiła, we wszystkie wakacje i ferie, a potem, tak, potem wszystkie urlopy, a w ogóle to wszystko dla niej jest przecież piękne, może wrócić wreszcie tam, dokąd przez cały czas tęskniła.

Tak, odpowiada na to, zawsze tego chciała, a ja naprawdę nie pamiętam, żeby kiedyś miała tak rozświetloną twarz.

Oczywiście nie stanie się to tak szybko. Przeprowadzkę planuje na najbliższą wiosnę, a teraz chce tylko pojechać i się rozejrzeć, odwiedzić starych przyjaciół, złożyć podanie o pracę i nadać bieg innym koniecznym sprawom.

Nie wiem, co mam jej powiedzieć. Jednocześnie odczuwam radość i nie odczuwam. Boję się, że nie będę już miała dokąd wracać, nie będę miała matki, która mnie pocieszy w biedzie. Kto to teraz będzie robił? A ona mówi dalej, mówi szybko i znacznie więcej niż zazwyczaj. Ciągłe odgarnia sobie z twarzy włosy i ociera łzy, na zmianę, najpierw łzy, potem włosy. Mówi, że musi porozmawiać z Brendelami, bo trzeba parę spraw wyjaśnić, poza tym trzeba mi założyć konto, żeby mógł wpływać dodatek na dziecko i to, co ona zamierza mi co miesiąc wysyłać aż do czasu ukończenia szkoły.

Tak wiele jest do przemyślenia!

Ale ja o tym nie myślę. Zastanawiam się przez cały czas, do kogo pójdę, jeśli Henner nie będzie mnie już chciał widzieć. Jestem bliska powiedzenia jej wszystkiego, ale ona ciągle mówi o tej szansie, jaką wreszcie dostała, o dawnych przyjaciółach, z których wielu tam mieszka i kto wie, może znajdzie się tam jakiś mężczyzna, którego mogłaby pokochać, tyle osób się przecież rozwiodło, a wcześniej miała wielu, którzy chcieli z nią być.

- Ach - mówi - jak pięknie byłoby raz jeszcze znaleźć miłość...

Bardzo dobrze to rozumiem i życzę jej tego z całego serca. Potem spoglądam na zegar, jest już po wpół do pierwszej. I chociaż przed paroma minutami żałowałam, że nie spędzałyśmy ze sobą więcej czasu, teraz coś nagli mnie, by pójść do człowieka, który pod względem wieku idealnie pasowałby do niej. Podkreślam wielokrotnie i z naciskiem, że nie musi się o mnie martwić, że u Brendelów jestem co najmniej w tak dobrych rękach jak u niej. Mówiąc to, wyciągam spod krzesła swoją torbę i kiedy wreszcie przestaje płakać, wychodzę. Nie idę, tylko biegnę: krótki odcinek przez las i pola w dół, przez most wzdłuż łąk do mężczyzny, który już na mnie czeka.

Rozdział 22

Jest już prawie pierwsza, godzina później niż zwykle. Siedzi przy stole. Przed nim stoi talerz z jedzeniem, a także drugie nakrycie. Dla mnie. Kiedy wchodzę, biegnę do niego i rzucam mu się na szyję. A potem płaczę prawie tak samo jak matka, ale myślę, że znacznie więcej. W tej chwili on jest dla mnie wszystkim, ojcem, matką, kochankiem i przyjacielem, a trochę też wrogiem.

Tak bardzo się boję, że i jego mogę stracić, i z tego lęku niemal odchodzę od zmysłów. Sto razy musi mi powtórzyć, jak bardzo mnie pragnie, tylko mnie. Chcę poczuć to od razu i wystawiam na próbę prawdziwość jego pożądanego. Biorę jego rękę i wsuwam sobie pod sukienkę. Waha się przez chwilę i to już dla mnie za wiele. Biorę torbę i idę z powrotem do drzwi, a on mnie tam zatrzymuje i kontynuuje to, co ja zaczęłam.

Oddaję mu się z taką rozpaczą, że dla obojga jest to jakoś niesamowite.

Kiedy leżę wyczerpana już po, on przypatruje mi się i mówi:

- Stałaś się taką piękną kobietą...

To pierwszy raz, kiedy nazywa mnie kobietą. Gdyby wiedział, jak bardzo teraz czuję się dzieckiem, byłby zapewne rozczarowany.

Muszę więc być dorosła. Właśnie teraz, kiedy jest wokół tyle różnych możliwości, drzwi do dzieciństwa ostatecznie się zamykają.

I co? Nic. Bez huków, hałasów, bez grzmotów. Wszystko jest jak dawniej, chociaż wszystko się zmienia. Wstaję, idę na dół do kuchni i myję się nad emaliowaną umywalką, odgrzewam jeszcze raz jedzenie, które zostawiliśmy, wołam go i cieszę się, że się uśmiecha, schodząc po schodach. Jedzenie jest pyszne, ten Henner potrafi nawet gotować. Wyobrażam sobie zimę tutaj, kiedy on napali w piecu i w izbie zrobi się gorąco,

jak błyszczą kwiaty mrozu na szybach, jak ciągnie od okien i muszę kłaść koce na parapetach, jak śnieg napiera na dach, który aż trzeszczy pod tym ciężarem. Czy to byłoby nudne? Nie. Na pewno nie. Jeszcze nigdy nie potrzebowałam tak mało i nie wystarczałam sobie tak całkowicie jak w te dni spędzone z nim. Jeść, spać, kochać się, czytać, pracować, więcej nic. A to przecież jest wszystko.

Tu, w gospodarstwie, żyjemy sobie bardzo powoli. Wieczorem stawiamy na stole świece, otwieramy butelkę wina i palimy papierosy. Pytam go, co by zrobił, gdyby ktoś nas wydał, a on na to, że wtedy musiałabym się całkiem do niego przeprowadzić. Wcześniej czy później i tak będę się musiała przecież zdecydować, najpóźniej, gdy skończę osiemnaście lat. Jestem teraz zupełnie rozluźniona winem i spowita jego słowami, tym, co wciąż powtarza: to ty jesteś tą, której pragnę, ty i żadna inna. Pierwszy raz w życiu naszła mnie myśl o dziecku. Henner się uśmiecha i spekuluje na temat wyglądu tego dziecka. Myślę, że ten pomysł przypadł mu do gustu. W końcu on nie ma dzieci, a to przecież bardzo smutne, że kiedyś się umrze i nie zostawi po sobie żadnego śladu.

Jeszcze nigdy się nie zastanawiałam, z czego właściwie żyje Henner. Pracuje przecież jedynie w gospodarstwie, a konie są drogie.

Gdy go o to pytam, uśmiecha się tylko i mówi, żebym pozostawiła to jemu. Potem jednak opowiada mi, że w ostatnich latach żył ze spadku po dziadkach, którzy byli zapobiegliwi i oszczędni. Udzielał poza tym lekcji jazdy konnej, a dwa trakeńskie ogiery wypożycza regularnie do krycia klaczy. No i co roku sprzedaje młode zwierzęta.

Ma też plany związane z gospodarstwem. Mógłby wynajmować pokoje i zacząć znowu udzielać lekcji jazdy konnej. Dom jest duży, okolica piękna, a ja mogłabym zajmować się gośćmi. Mówi teraz z taką pasją, a marzenia o

wspólnej przyszłości ozdabia ujmującymi szczegółami. Jak w pokoju śniadaniowym w naszym domu - pensjonacie stać będzie zrobiona przeze mnie marmolada, a wszyscy będą pytać, kto ją robił, bo jest pyszna. Jak kupi jeszcze kilka mniejszych zwierząt dla dzieci naszych gości: kotki i króliki. I kury, koniecznie kury. Nie będziemy przecież kupować jaj u Brendelów. Musimy mieć swoje. Moglibyśmy też otworzyć swój własny sklepik z produktami z gospodarstwa, ja mam w tym już przecież doświadczenie. Przynosi następną butelkę wina i obraz naszej przyszłości staje się jeszcze ładniejszy.

Później w łóżku gładzi mój brzuch, jakby w środku było już dziecko, o którym rozmawialiśmy.

Nocą śni mi się moja śmierć. Stopy grzęzną w ziemi, a ciało się rozpływa. Nic mnie nie boli, to jest przyjemne uczucie. Jeszcze oddycham, jeszcze mogę myśleć, ale i to przemija. Budzę się i patrzę na niego. Śpi i trochę chrapie. To chrapanie zmusza mnie do uśmiechu; słuchając go, nie można przecież myśleć o śmierci.

*

Następny ranek u Brendelów to męka. Opowiadam o planach matki i pytam, czy mogę u nich na razie zostać. Oczywiście odpowiadają, że mogę. Czuję się okropnie. Oni w ogóle się nie orientują, kto przed nimi siedzi. Uświadamiam sobie, jak inaczej się tutaj zachowuję, jaka jestem dziewczęca i niewinna. U Hennera zachowuję się jak kobieta. Nieraz chciałam już wszystko powiedzieć; myślę, że nie do końca by mi uwierzyli, że robiłam coś takiego. Ale co stałoby się potem? Wszystko bym straciła. Johannes a i jego rodziców, także Hennera, bo zapewne wtedy matka zabrałaby mnie ze sobą. Nie mogę powiedzieć.

Marianna uważa, że powinniśmy usiąść wspólnie z matką i wszystko porządnie zorganizować. Zygryd sądzi, że

mogłabym też być trochę pomocna popołudniami i w czasie wakacji. Johannes unosi w górę brwi.

- Nie zaprzęgajcie jej zbyt do pracy - mówi. - Nie mamy zamiaru zostawać tu na stałe. Nie, nie mamy zamiaru, myślę, to tutaj na pewno nie jest na zawsze.

A potem powraca temat świętowania zjednoczenia. Czekamy na Hartmuta i Gizełę, tym razem bez dzieci, które zostaną u dziadków w Bawarii. Johannes chce jechać do Lipska, obojętne, czy pojedę z nim, czy nie, pozostali wybierają się do gospody. Właściciel chce zrobić w sali tanecznej duży bufet i pobierać dziesięć marek za wstęp, w cenie będą już wtedy napoje. Ten to dopiero ma głowę do interesów! Cała wieś ma się wspólnie bawić. Ludzi tu dużo nie ma, nie wszyscy też przyjdą. Ci najstarsi na pewno zostaną w domach przed telewizorami.

Nie wiem, co zrobić. Pociąga mnie wyjazd do Lipska, a do gospody już więcej nie pójdę. Najchętniej poszłabym do Hennera, może mi się to jakoś uda. On przecież nie ma nikogo oprócz mnie.

Alfred znowu tak na mnie patrzy, że przechodzą mnie ciarki. Chciałabym wiedzieć, co on zamierza, jeśli w ogóle coś zamierza. Może wystarczy mu, kiedy widzi, że się boję. Myślę, że to mu się podoba. Wreszcie ktoś się go boi. Dlaczego więc miałby coś mówić? On bez wątpienia wie o wszystkim i już dawno mógłby nas wydać. Obserwuję go kątem oka. Na głowie ma brudny kaszkiet, chociaż siedzimy przy stole i w dodatku jest niedziela. Brakuje mu kilku zębów, twarz pomarszczona, a skóra sucha jak pergamin. Nawet w niedzielę chodzi w poplamionym ciemnoniebieskim kombinezonie roboczym. Ma to niby świadczyć o jego samodzielności. Nikomu to jednak nie przeszkadza. Alfred jest trochę jak cuchnący stary pies, myślę i od razu się tego wstydzę, ale ja go po prostu nie znoszę.

Dziś w ogóle z trudem tu wytrzymuję. Nie mogę wysiedzieć przy stole, dębuję beznamiętnie w jedzeniu. Marianna przygląda mi się przenikliwie, a Zygfyrd pyta wprost:

- Nie smakuje ci jedzenie, Mario?

- Smakuje, dobre... - odpowiadam, choć żołądek mi się wywraca.

Ciągnie mnie do Hennera, ale Johannes chce zabrać mnie do miasta i przedstawić kilku nowym kolegom. Jest ostatnia niedziela września. Ostatnia niedziela przed świętem zjednoczenia. Wszystko dzieje się kiedyś ostatni raz. Często nie wiemy, że to będzie ostatni raz. Ale w tym przypadku wiadomo.

W drodze do miasta mówię: - Jeszcze trzy dni. Potem już nie będzie NRD.

- Już nie ma NRD. Wreszcie - odpowiada Johannes. - Nie rozumiem, dlaczego mówisz tak dziwnie, jakby cię to smuciło...

- Nie, to nie to - wyjaśniam. - Smutek to nie jest właściwe słowo, raczej melancholia. Nie, też nie. Zaduma. To właśnie to - zaduma.

Wyglądam przez okno. Niebo się chmurzy, pojedyncze krople uderzają w dach wartburga.

- Teraz, kiedy to wszystko się kończy, przypomina mi się tak wiele rzeczy - mówię. - Różności: jak na przykład na zajęciach WF - u zamiast piłkami rzucaliśmy ręcznymi granatami. Właściwie wcale się temu wtedy nie dziwiliśmy.

Johannes uśmiecha się krzywo:

- No i? Jak daleko poleciał twój?

- Najwyżej jakieś dwa, trzy metry. Najprędzej sama siebie bym wysadziła w powietrze.

Śmiejemy się oboje. Johannes jest teraz dla mnie jak brat. Jesteśmy ze sobą blisko i mamy tajemnice przed rodzicami, często się śmiejemy, a kłótnia między nami nigdy nie trwa długo. Po mieście chodzimy ręka w rękę, ale jego dotyk nie wyzwala we mnie tego, co jednym swoim spojrzeniem potrafi uczynić ze mną Henner.

Parkujemy wartburga i przez most idziemy do zamku. W dawnym sklepie z wyposażeniem kuchni od kilku miesięcy jest knajpa, której Johannes jest stałym bywalcem. Spędzamy tam całe popołudnie i wieczór. Wracamy późno, kiedy wszyscy w domu już śpią.

Wchodzimy schodami na górę, a Johannes wsuwa rękę pod moją sukienkę. I w tej chwili wiem, że nie będę już z nim spała, że muszę podjąć decyzję. To, czego on ode mnie oczekuje, należy do Hennera.

Rozdział 23

Następnego dnia nie idę do szkoły. Z rana wychodzę jak zwykle z domu, ale zaraz skręcam w lewo i szybko biegnę do Hennera. Kiedy wchodzi, on siedzi jeszcze przy śniadaniu. Na krześle stawiam torbę z książkami; psy powarkują. Henner patrzy zdziwiony, ale zadowolony, wstaje i podchodzi do mnie, bierze moje ręce i całuje mnie.

- Wszystko w porządku, Maryjko? - pyta. Kiwam głową i płaczę jednocześnie.

- Przyjdę do ciebie. To znaczy na zawsze. Przeniosę się do ciebie - mówię.

Nawet nie drgnął, jego spojrzenie o nic nie pyta, jest jakby nieobecny.

- Dłużej tak nie wytrzymam, nie chcę już tam mieszkać. Chcę zostać tutaj - powtarzam. Niemal niezauważalnie kiwa głową, a ja mówię dalej:

- Pójdę tam jeszcze raz, wszystko opowiem i zabiorę swoje rzeczy. Muszę też powiedzieć matce. Potrwa to jeszcze dzień lub dwa. To nie jest łatwe, Henner, ty to wiesz...

Wciąga głęboko powietrze, marszczy czoło. Oczekiwałam radości, eksplozji, wyraźnego znaku, czegoś, co mi powie, jak bardzo na mnie czekał. Tymczasem milczenie mówi co innego. Wreszcie pyta:

- Dobrze to przemyślałaś, Maryjko? Naprawdę dobrze się zastanowiłaś? Jesteś tego pewna?

- Tak, tak, tak, przemyślałam. Nie mam żadnych wątpliwości. Żadnych!

Henner siada i wydaje z siebie jęknięcie jak pod wpływem zbyt wielkiego ciężaru.

- Nie myśl, że ja cię nie chcę, Maryjko. Pragnę cię bardziej, niż myślisz - boleśnie wyciska z siebie słowa takim ponurym tonem, że ledwie to znoszę. - Nie chcę tylko, żebyś

zupełnie zrezygnowała z własnego życia. Jesteś pewna, że wytrzymasz ze mną... ? Nie znasz mnie...

- Nieprawda, znam cię lepiej, niż myślisz! - wołam bliska rozpaczy.

- Nawet jeśli. Uważasz, że ktokolwiek we wsi będzie z tobą rozmawiał? Może Marianna? - śmieje się urywanie i dodaje: - Byłaś już kiedyś naprawdę samotna, Maryjko? Wiesz, co to znaczy...? Masz siedemnaście lat! Inne dziewczyny w twoim wieku chodzą na tańce, mają rodziców i przyjaciół. A ty nie będziesz miała nikogo. Nikogo! Tylko mnie.

- Ale mówiłeś przecież.

- Tak, wiem, co mówiłem - przerywa mi. - I to wszystko jest prawdą.

- Kochasz mnie? - pytam i nie śmiem na niego spojrzeć. Wiem, że potrafiłabym rozpoznać kłamstwo.

- Tak, kocham cię - odpowiada zmęczony. - Ale to nie znaczy, że możemy wspólnie żyć.

Jego słowa przenikają mnie chłodem i ostrością. W jednej chwili rozpadam się na kawałki i krzyczę:

- Dlaczego nie, do cholery?!

- Wyjaśniłem ci to! - odpowiada głośno. - Będziemy zupełnie sami! Zdani tylko na siebie! Będziesz musiała dużo pracować. Nie będziesz miała przyjaciół. Żadnych atrakcji... - pod koniec ostatniego zdania jego ręka wykonuje ruch opadającej siekiery. - Ja długi czas tak żyłem, Maryjko, mam swoje dziwactwa, których się już nie pozbędę, rozumiesz? Ja mam czterdzieści lat! Więcej niż twoja matka!

Usiłuję mówić spokojnie, nadaję głosowi łagodny ton:

- Wiem to przecież, wszystko będzie dobrze. Nie jestem taka jak inne dziewczyny w moim wieku. Nie jestem już dzieckiem, Henner!

Przytakuje i obejmuje mnie rękami.

- Wiem. Chciałem cię mieć i mam cię. I jesteś tu... ale może przemyślisz to sobie jeszcze raz i bardzo dokładnie.

Powaga w jego głosie odbiera mi pewność, z którą tu przyszedłam, ale odpowiadam:

- Nie muszę, robię to już od wielu tygodni. - A jeśli matka cię zabierze? - gwałtownie wypuszcza mnie z objęć, w których czułam się tak dobrze.

- Po prostu z nią nie pojedę. Nie zabierze mnie jak tobołka. Zostanę tutaj.

Henner wyciąga z lodówki butelkę wódki, ja podchodzę do szafki ze szkłem i podaję mu kieliszek.

- Zrób coś dla mnie - mówi surowo - prześpij tam jeszcze jedną noc. Jeśli jutro będziesz chciała przyjść tutaj, wtedy przyjdź. Jeśli nie... - jego usta stają się bardzo wąskie.

- Przyjdę. Na pewno przyjdę.

Siadam mu na kolanach i obejmuję go za szyję. Bierze moje ręce i mocno mnie całuje. Rozpinam mu spodnie, a on niesie mnie do pokoju naprzeciwko. Toczy się między nami prawdziwa walka, jak na początku. Chciałabym, żeby był teraz delikatny, czuły, chciałabym, żeby delektował się tym, co robię, ale on, owładnięty tą swoją gwałtownością, zdziera ze mnie ubrania i rzuca mnie na łóżko. Leżę na brzuchu, on wykręca mi ręce na plecy i napiera nogami między moje nogi. Zdyszany szepcze mi do ucha:

- Taki też jestem, Maryjko, nie zapominaj...

Potem przewraca mnie na wznak, trzyma mi mocno ręce i powtarza to jeszcze raz. Odwracam się, po rozpalonej twarzy spływają mi chłodne i słone łzy, a on mówi ostro:

- Popatrz na mnie, Maryjko... przyjrzyj mi się dokładnie!

Powoli odwracam do niego głowę, próbuję powstrzymać szlochanie, które wstrząsa całym moim ciałem. On leży, ciasno przywierając do mnie. Oczy ma rozszerzone i przepełnione strachem.

Szeptę wielokrotnie jego imię, tak długo, aż mnie puszcza. Opada na mnie, niemal przyduszając mnie swoim ciężkim ciałem. Leży zatopiony w swoich myślach, obejmuje mnie rękami i wkłada mi dłonie pod głowę.

Wiem, co zamierza. Chce, żebym podjęła decyzję. Nie chce powiedzieć: „Zostań ze mną!”. Chce mi pokazać swoje najgorsze strony, żebym kochała go mimo wszystko. Albo odeszła. Ale ja nie odchodzę. Odsuwam go powoli od siebie, biorę jego rękę i kładę ją sobie na twarzy. On wciąż jeszcze dyszy, a kiedy się odrobinę odwracam, znowu mocno mnie chwyta. Teraz inaczej. Z lęku, że mogę odejść. Powtarzam mu kilka razy:

- Zostanę tu, Henner. Zostanę mimo wszystko. Leżymy w tym łóżku tak długo, jak długo trwają lekcje w szkole. Podjęłam decyzję. Babcia Traudel miała siedemnaście lat, kiedy wychodziła za dziadka Lorenza, i nadal są razem. Naprawdę nie rozumiem, dlaczego dzisiaj miałyby to być niemożliwe. Wszystko jest możliwe, mocno w to wierzę.

W końcu jednak wstajemy. Henner przynosi mi moje rzeczy porozrzucane wokół łóżka i siada przy mnie.

- Ja się dobrze sam urządziłem w gospodarstwie - mówi. - Byłem dość zły na ciebie, kiedy tu ze mną przyszedłeś po wypadku samochodem matki. Nie myślałem, że wtedy przyjdiesz, Maryjko, nie oczekiwałem tego.

Patrzy przez okno w stronę zagrody Brendelów.

- I nie myślałem, że przyjdiesz jeszcze raz... Wiesz, to obudziło pewne nadzieje...

Przejeżdża ręką po włosach i ciągle patrzy w tę samą stronę.

- Ale Johannes jest dla ciebie lepszy - mówi w końcu.

- Nie! Nie jest lepszy. Po tym wszystkim nie mogę do niego wrócić. Po tym, co przeżyłam z tobą, nie potrafię już z nim sypiać.

Obraca się do mnie.

- Jesteś na mnie zła o to, co wcześniej? Kręcę głową, chociaż bardzo mnie przestraszył. Potem wstaje i mówi:

- W takim razie idź i powyjaśnij swoje sprawy! Jeśli chcesz, pójdę z tobą.

- Nie - odpowiadam. - Sama to muszę załatwić.

Odprowadza mnie do bramy, mocno trzymając za rękę. Za nami człapią psy. Uchyła bramę na tyle, żebym się mogła przez nią prześliznąć, kładzie drżące dłonie na moich skroniach i całuje mnie w czoło.

- Wracaj szybko, Maryjko! - szepcze mi do ucha. - Czekam na ciebie!

Potem odchodzę. Kiedy odwracam się do niego raz jeszcze, brama jest zamknięta, a z domu nie dobiega żaden dźwięk.

Ten dom będzie odtąd także moim domem. Ma nieskończenie wiele pokoi i izb, ogromną piwnicę, zakurzony strych, na którym tajemnicze przedmioty w starych szafach czekają, by ktoś je kiedyś odkrył. Ten dom wciągnął mnie w siebie jak piasek morski muszlę, wkomponował mnie w siebie i wprowadził w swój prastary organizm.

*

U Brendelów wślizguję się do domu niezauważona przez nikogo i wchodzę na górę. Johannes jest w ciemni. Pukam i czekam, aż mnie wpuści. Od kilku dni przygotowuje swoją teczkę na Akademię, nikt nie wie, dlaczego robi z tego taką wielką tajemnicę. Ja dzisiaj już wiem.

Na ścianie, wokół fotografii zmarłych dzieci, wiszą teraz kolejne zdjęcia zmarłych dzieci. Johannes powyciągał je ze strychów starych ludzi ze wsi. Nad nimi i pod nimi umieścił fotografie żyjących. W żadnej rodzinie nie umarły wszystkie dzieci i niektórzy z dzisiejszych staruszków są siostrami lub braćmi tych z fotografii. To jest ten jego projekt. Chce

zestawić ze sobą zdjęcia zmarłych z ich żyjącym rodzeństwem. Teraz rozumiem, dlaczego nie chciał o tym nikomu powiedzieć; myślę, że Fryda uznałaby to za niewłaściwe, Marianna też z pewnością miałaby zastrzeżenia. Ja sama nie wiem, co o tym myśleć. Już nie wiem. Mam nadzieję, że przyjmą go na tę Akademię. Pojedzie i będzie mógł o mnie zapomnieć.

- Johannesie - mówię - muszę z tobą porozmawiać.

Odwraca się i pokazuje mi jakieś zdjęcie. Są na nim dwie stare kobiety. Bliźniaczki. Mieszkają po drugiej stronie wsi w małym domku zaraz obok sklepu.

- Popatrz - mówi - Hedwig i Heidrun Ott, z tamtej strony wsi. A tu... - unosi inne zdjęcie - Eberhard Ott, zmarły w wieku siedmiu lat na zapalenie płuc. Łód się pod nim załamał, zimą. A teraz wyobraź sobie: łóżko, na którym on tutaj leży, w którym zmarł, nadal stoi w tym domu, na poddaszu.

Wyciąga ze stosu następne zdjęcie.

- O, tutaj. To fantastyczne, Mario. Dzięki tym fotografiom zostanę przyjęty.

Używa teraz takich słów jak „wspaniałe”, „fantastyczne”, „nie do wiary”, „subtelne”. Zauważyła to także Marianna, która sądzi, że przejął je od artystów z miasta. Oni podobno też się tak skomplikowanie wyrażają.

Próbuję znowu: - Johannesie, ja naprawdę muszę z tobą wreszcie porozmawiać.

Przez cały czas zajmuje się sortowaniem zdjęć, układa jedno tu, drugie tam, już chce mi pokazywać kolejne, ale tym razem chyba mnie usłyszał, bo mówi:

- Pozwól mi jeszcze to skończyć, Mario, porozmawiamy wieczorem, teraz tak dobrze mi to idzie, mam tyle pomysłów, naprawdę myślę, że mnie przyjmą.

Zostawiam go więc i schodzę do kuchni. Jest tam Fryda, która piecze ciasto. Jutro przyjeżdża Hartmut, trzeba jeszcze

wiele przygotować. Ogarnia mnie jakiś dziwny spokój; zauważam każdy szczegół w tym znanym pomieszczeniu - zwiędnięte kwiaty na stole, misa z owocami, nad którą unoszą się małe muszki, pot pod pachami Frydy, osad mąki na jej włosach, delikatna rysa na misce z ciastem, słoje na deskach podłogi, mruczenie lodówki, zapach stajni, drożdże i Fryda. Przewiążuję sobie fartuch i pomagam jej w pieczeniu. Wkrótce będę to wszystko robiła sama, po sąsiedzku, u Hennera. Będę jego żoną ze wszystkimi tego konsekwencjami.

Przy kolacji raz jeszcze siedzimy razem. Brendelowie to dobrzy ludzie, ale jutro już mnie tu nie będzie. Zygfyrd je za czterech, ale on rzeczywiście ciężko pracuje. Marianna cieszy się ze środowej uroczystości, na którą specjalnie kupiła sobie nową sukienkę. Nie chce wypaść blado w porównaniu z Gizelą. Johannes w ogóle tu nie ma. Siedzi z nami przy stole, ale jego myśli krążą wokół zdjęć. Alfred nie zwraca na mnie uwagi, mlaszcze i siorbie jak zwykle, ale mnie to już nie przeszkadza. Każdy myśli o czymś innym. Przyglądam się wszystkim dokładnie. Już nigdy nie będziemy tu razem tak jak dzisiaj. Jutro wszystko będzie inaczej, dla mnie i dla nich.

Zastanawiam się, czy mi kiedyś przebaczą. Nie sądzę. Będą o tym rozmawiać krótko i ze wzburzeniem, uznają mnie za nikczemną, niewdzięczną, niemoralną, egoistyczną, a potem będą milczeć, tak jak to zawsze robili. Nie będą wymawiać mojego imienia, jak przez wiele lat nie wymawiali imienia Hartmuta, a imię ojca Volkera na zawsze już będzie brzmiało Heinrich, chociaż jest nim Alfred, od dawna jestem tego pewna.

Tak, na pewno będą milczeć. Ale przebaczyć mi nie przebaczą.

Po kolacji Johannes znika znowu w swojej ciemni. Długo na niego czekam, wreszcie późną nocą postanawiam, że prawda może poczekać do rana...

*

O świtaniu, w fazie między snem a przebudzeniem, słyszę syreny. Wyją gdzieś z oddali; ich dźwięk wdziera się do zawilego snu. Chwiejnie wstaję z łóżka i rozsuwam ciemnoczerwone zasłony w szczytowym oknie. Obrazy ze snu ostatni raz przelatują mi przez głowę i nikną w nieświadomości. Przed oczami mam łąki z owcami, daleko po lewej stronie las, a naprzeciwko gospodarstwo Hennera. Pomiędzy lasem a zagrodą biegną tory kolejowe.

Stoi tam pociąg. Koło torów prowadzi droga, na której widać samochody: policja, karetka pogotowia i jakieś prywatne auto. Dookoła spieszenie chodzą ludzie. Nagle dostrzegam psy. Oba siedzą w trawie obok torów. Przed nimi leży coś, co jest przykryte. Na ile mogę zobaczyć, nie jest to duże, jakiś koc czy plandeka. Nie jestem pewna.

Cicho się ubieram, cicho schodzę po schodach, przechodzę przejściem przez stajnię w kierunku torów. Idę i już wiem.

Z daleka idzie w moją stronę właściciel gospody.

- Nie idź dalej, Mario! Nie chcesz tego widzieć...

Przebiegam obok niego, nie patrząc.

Usłyszał psy, obudziły go bardzo wczesnym rankiem. Gabi powiedziała, żeby jeszcze spał i się tym nie przejmował, ale on wstał i pobiegł w tamtą stronę. Dogi siedziały przy głowie swego pana i czekały. Pociąg włókł jeszcze kawałek jego ciało. Maszynista siedział wciąż w lokomotywie i był w ciężkim szoku. Właściciel gospody z krzykiem pobiegł do domu i zawiadomił policję. Teraz jest niezwykle dumny z tego, że to on go znalazł. Będzie to opowiadał przez wiele lat. Taka historia nie zdarza się co dzień.

Nikt nie wie, co się stało. Henner pił, tyle wiadomo na pewno. Dlaczego przechodził przez tory o tej porze, jeszcze przed świtem, pozostanie zagadką. Głowa leżała po stronie

jego łąki. W ciągu kilku sekund całym moim ciałem owładnęła drętwota. Zaczęła się w głowie, a sięga aż po koniuszki palców u nóg. Ale się poruszam.

Idę dalej, do domu. Do naszego domu. Jedno okno jest otwarte, wspinam się na nie i wchodzę do środka. Na stole stoi kieliszek z wczoraj, kieliszek z wódką. Butelka obok jest pusta. Obok jest jeszcze słoik marmolady, jeden z tych, które sama zrobiłam. Wkładam do środka palec i oblizuję. Następnie, jakby mnie ktoś prowadził, przechodzę wszystkie pokoje, w których mieszkaliśmy, w których się kochaliśmy. Z pokoju matki biorę ze sobą dwie książki, choć chętnie zabrałabym wszystkie. Kilka rzeczy pakuję porządnie do torby stojącej obok szafy. Jakaś jego nieuprana koszula, pusty kieliszek z wczoraj, ręcznik wiszący obok umywalki, książki i lichtarz ze stołu.

Idę do matki, niczego nie czuję, po prostu idę.

Kiedy przychodzę, ona jeszcze śpi. Stawiam torbę obok jej łóżka i kładę się przy niej. Wszystko inne matka opowiada mi później. Jak się obudziła i mnie zobaczyła, jak zapytała, co się stało, a ja zaczęłam płakać i nie przestawałam, ciągle wstrząsana falami bólu, jak rzuciłam się na podłogę i krzyczałam, waląc głową o deski. Matka mówi, że takiego krzyku nie słyszała, jak żyje. Jak potem zadzwoniła po lekarza, który mnie zabrał do szpitala. Stwierdzili tam załamanie nerwowe.

Wtedy przenieśli mnie na oddział psychiatryczny dla młodzieży, gdzie przeleżałam kilka tygodni.

Wieczór zjednoczenia Niemiec przespałam pod wpływem środków uspokajających.

*

Trochę później, kiedy opowiedziałam matce - i tylko jej - całą prawdę, wróciłam znowu do Brendelów. Oni wiedzą tylko to, co konieczne: miałam załamanie nerwowe, którego

przyczyny nie do końca można było wyjaśnić. Chwiejna osobowość, wyprowadzka matki, brak ojca, powtarzanie klasy, wszystko razem przerosło uczuciowe możliwości siedemnastolatki w zawirowaniach trudnych czasów.

Jesienią wyjadę od Brendelów i przeniosę się z Johannesem do Lipska. Nie wiem jeszcze, co będę tam robiła, ale coś się dla mnie znajdzie.

Często myślę o słowach Aloszy, najmłodszego z braci Karamazow, że kiedyś wszyscy zmartwychwstaniemy, znowu się spotkamy i wszystko sobie opowiemy.

Naprawdę wszystko.